# Romans grecki.

## Jego powstanie i organiczny rozwój.

Napisał

***Tadeusz Sinko.***

—■—

W maju 1905 r. obchodzili Hiszpanie trzechsetną rocznicę pierwszego wydania najsłynniejszego romansu literatury powszechnej: »Vida y hechos del ingenioso Hidalgo Don Quijote de la Mancha«. Autor, Miguel de Cervantes Saavedra, pisząc swą nieśmiertelną satyrę na głupotę tych, którzy trawili czas na czytaniu rycerskich awantur w rodzaju Amadisa z Gallii, a przez to zaniedbywali inne studya i zajęcia i tracili związek z życiem i rzeczywistością, pogrzebał równocześnie średniowieczny gatunek fantastycznych opowieści rycerskich, zwanych już przy powstaniu swem, w XII w., romansami, romanz. Nazwa ta, pojawiająca się po raz pierwszy w Romanz des Francais, charakteryzowała przedewszystkiem i wyłącznie ludowy język tych rymowanych utworów. Bo w przeciwstawieniu do literackiej łaciny nazywano tę »lingua laica« Romancia seu lingua romansalis. Dopiero Roman de Troie mistrza Benoit de Saint More ożywia szereg zdarzeń i awantur, geste, miłosną historyą Troilusa i Kressydy i odtąd wszystkie tego rodzaju utwory, czy starożytną czy średniowieczną mają osnowę, obracają się około miłości, około tego, co my w życiu codziennem »romansem« nazywamy.

»Rzecz czyta się jak romans« mówimy pochlebnie o jakiemś dziele naukowem, w danym razie historycznem, którego i treść, a raczej materyał, składa się z wypadków niezwykłych, niecodziennych, i forma jest tego rodzaju, że nie wymaga od czytelnika żadnego trudu i wytężania uwagi; przeciwnie, czytanie sprawia przyjemność, jest rozrywką i wypoczynkiem. Frazes ten świadczy więc, że od romansu żądamy, aby był zajmującym i łatwym do czytania. — Ale i w ujemnem znaczeniu mówimy o uczonym, że zamiast podawać ścisłe wywody i dowody »opowiada romanse«, czyli fantastyczne kombinacye, nie oparte na realnej podstawie. Tu frazes o romansie jest echem owych »zmyślnych historyi«, które były duszą pewnego gatunku opowiadań, ubieranych od XV. w. w formę prozaiczną; jest równoznacznikiem »banialuk«, jak nazywamy twory i potwory nieokiełznanej wyobraźni ku uczczeniu »zacnej królewny ze wschodniej krainy, Banialuki«, bohaterki »Antyspastów Małżeńskich« Hieronima Morsztyna — Dodajmy jeszcze jeden frazes: »I wszystko skończyło się jak w romansie«, to znaczy, pomimo największych przeszkód Numa dziwną łaską losów wyszła wreszcie za Pompiliusza, a będziemy mieli wszystkie echa, dość wiernie charakteryzujące romans grecki.

Bo pojęcie »romans grecki«, mimo swej romańsko-helleńskiej postaci, nie jest hybrydą. Rzeczywiście był on zmyślonem, nieraz fantastycznem opowiadaniem prozą o kochającej się parze, którą po zaręczynach lub zaślubinach wrogi los rozdziela, pędzi po całym świecie na niebezpieczeństwa i przygody. Kochankowie wśród najcięższych pokus pozostają sobie wiernymi. Za to też na końcu tryumfują nad pokonanymi wrogami i w spokoju cieszą się nagrodą cnoty.

Więc — więc dzisiejsze czy wczorajsze historye o porwanych i odzyskanych Helenach i Oleńkach, Basiach i Danuśkach mają coś z Grekami wspólnego? Ze stanowiska rozwoju i historyi gatunków literackich to proste potomstwo romansów greckich. Od starszego Dumasa prowadzi wsteczna droga przez heroiczny romans XVII. w., związany z imionami Gomberville'a i panny Scudéri, aż do historyi cierpień Persilesa i Sigismundy (Los Trabajos de Persiles y Sigismunda), której autorem był zabójca romansu rycerskiego — Cervantes. A za przewodnika w tym nowym gatunku literackim obrał twórca Don Kiszota Greka Heliodora, autora etyopskiej historyi o Teagenesie i Chariklei. Akta wpływów romansu greckiego na literatury europejskie począwszy od r. 1535, w którym ukazało się pierwsze wydanie Heliodora, podaje nieoceniona książka Szkota Dunlopa The History of Fiction (Edynburg 1814. 1816. Londyn 1843), spopularyzowana niemiecką prze-

róbką Liebrechta (Geschichte der Prosadichtungen, Berlin 1851). Od Bernardina de St. Pierre (Paul et Virginie), od sielankopisarza (prozą) Gessnera, od autorów romansu pastoralnego prowadzi droga znowu wprost do Longosa, ale i Heliodora i Ksenofonta z Efezu i Achilleusa Tatiosa. A kto wie, jaką rolę ma w literaturach średniowiecznych historya o Apolloniuszu, królu tyrskim, i wszystkie opowiadania o Aleksandrze Wielkim i zburzeniu Troi, ten nie zdziwi się żywym interesem, z jakim historycy literatury powszechnej zajmowali się i zajmują romansem starożytnym. Polonista, który chce zrozumieć wywody Salomona Polskiego, Stanisława H. Lubomirskiego (w Rozmowach Artaxerxesa z Ewandrem) o zmyślonych historyach, co się *romanami* (nie *romaniami*, jak chce p. B. Gubrynowicz, Pam. liter. II, 1903, str. 193) nazywają, musi zajrzeć do Dunlopa, a ten zaprowadzi go aż do starożytności.

Inaczej zapatrują się filologowie klasyczni na ten dział swych studyów. Ponieważ romans grecki z pojęciem klasyczności, a więc jakiejś osobliwszej doskonałości czy wzorowości, nic wspólnego nie ma, przeciwnie z tego punktu widzenia raczej ujmę niż zaszczyt przynosi literaturze Homera i Sofoklesa: więc wolno się nim nie zajmować, wolno go nie znać. Nawet dla »szanującego się« filologa wystarcza, gdy wie, że istnieje o tym przedmiocie klasyczna książka Erwina Rohdego: »Der griechische Roman und seine Vorläufer« (1. wyd. Lipsk 1876; 2. wyd. tamże 1900), ale czytać jej nie musi. Bo choć nawet zabierze się do lektury, to nie dowiedziawszy się na kilkuset stronach nic o romansie greckim, a znudzony drobiazgowymi wywodami o elemencie erotycznym w poezyi aleksandryjskiej, o fabulistyce podróżniczej i utopijnej, nie czyta już ostatniego rozdziału i szuka łatwiejszego pouczenia w broszurce E. Schwartza: »Fünf Vorträge über den griechischen Roman« (Berlin 1896). Niestety i tu nawet po przeczytaniu czterech pierwszych wykładów o samych romansach greckich niczego się nie dowiaduje. Zrozpaczony, a żądny wiedzy, szuka ratunku u Francuzów. Wszak ci lekko i przystępnie najsuchsze nawet przedmioty traktować umieją. Tymczasem i przy lekturze uwieńczonego przez Akademię paryską dzieła M. Chassang'a: »Histoire du Roman chez les Grecs et les Romains« (1. wyd. Paryż 1859, 2. wyd. tamże 1862) tonie w natłoku elementów romansowych od Homera począwszy i znów do właściwych romansopisarzy się nie dobija.

Te doświadczenia żądnego wiedzy filologa wskazują, że problem początków i powstania romansu greckiego jest bardzo trudny i zawikłany, skoro podstawowe dzieła Chassanga i Rohdego tak obszernie

traktują jego prekursorów, a tak mało mają do powiedzenia o zachowanych okazach tego gatunku. Łatwiej radził sobie pierwszy historyk romansu, biskup Huet, kiedy w liście do sekretarza hrabiny de la Fayette, autorki romansu »Zayde«, w opowiadaniach oryentalnych widział źródło opowieści greckich. Jego »Lettre... de l' origine des Romans« (Paryż 1670), przetłumaczony na łacinę jako »Huetii Liber de origine Fabularum Romanensium« (Haga 1682), przez dwa wieki był podstawą poetyki tego gatunku. Na nim buduje i wspomniany Dunlop i znany minister oświaty z czasów Ludwika Filipa A. F. Villemain w »Essai sur les Romans Grecs« (w Mélanges historiques etc.), jak znowu Niemiec Nicolai kompiluje Chassanga w książeczce swej: »Entstehung u. Wesen des griechischen Romans« (Berlin 1867).

Więcej niż wszystkie powyższe usiłowania uczonych (a wymieniliśmy rzeczywiście wszystkie) przyczyniły się do rozjaśnienia genezy *romansu greckiego i jego historyi egipskie papyrusy i pergaminy*, opublikowane w ostatnich 12 latach. W r. 1893 wydał Ulrych Wilcken dwa fragmenty romansu o Ninusie i Semiramidzie ((Hermes 28, 161—193, Ein neuer griechischer Roman. Nazwa konwencyonalna: Der Ninusroman), obejmujące w wązkich kolumnach (wiersz przeciętnie po 20 liter) przeszło 300 wierszy, jeżeli się liczy i uszkodzone. Jakość papyrusu (dziś w Berlinie, jako P[ap. Berol.] 6926) i kaligraficznych uncyałów wskazują, że mamy do czynienia z resztkami egzemplarza księgarskiego. Rachunki pisane na odwrotnej stronie podają termin, przed którym egzemplarz był pisany i za makulaturę użyty: są datowane od 1. Payni 3. roku cesarza Trajana do 1. Payni 4. roku, to jest od 26. Maja r. 100 do 26. Maja r. 101. po Chr. Na tej podstawie można romans umieszczać najpóźniej w połowie 1. wieku po Chr., ale wolno go odnieść do schyłku czasów przed-Chrystusowych, może jeszcze do epoki Ptolemeuszów. Od poznania tych fragmentów, uzupełnionych przez E. Piccolomini'ego (Rendiconti d. R. Accad. dei Lincei ser. V, vol. II 1893, 313—332 i Nuova Antologia 1. Sierpień 1893) i Lionella Levi'ego (Rivista di filol. class. XXIII N. S. I 1894), wrócili uczeni z Wilamowitzem (Hermes 1900 p. 8, Gött. Gel. Anz. 1901, p. 30 sq.; już przedtem Aristot. u. Ath. II 32) do odrzuconej przez Rohdego tezy Chassanga, że romans grecki narodził się ze zwyrodniałej historyografii jońskiej IV. w.

Dwudziestoszesciowierszowa kolumna papyrusu berlińskiego z II. w. po Chr., wydana w r. 1895 przez Krebsa, a objaśniona przez Kaibla i Roberta (Hermes 30, str. 144 nn.), otworzyła perspektywę na związek romansu ze szkołą i deklamacyą sofistyczną, a także z mitologią czy

legendą. Fragment Mahaffy'ego (Rendiconti d. R. Accad. dei Lincei z 21. lutego 1897), pisany na odwrotnej stronie rachunków z czasów Domicyana, potwierdził, że aparat burz i rozbić, częsty w późniejszych romansach, ustalony był już w w. II (mimo innego zdania O. Crusiusa w Beilage zur Allgem. Zeitung, München 1897, Nr. 145, 3. lipca) A trzy fragmenty romansu o księżniczce Chione (62 wiersze po 12 liter), które Wilcken odczytał pod koptyjskim tekstem pergaminowych kart, kupionych w egipskich Tebach (spaliły się one wraz z okrętem w porcie hamburskim w r. 1899) i opublikował w r. 1900 (Archiv f. Papyrusforschung I, 2, str. 255 nn.) przysporzyły materyału, choćby tylko do porównania z »Historia Apollonii«. Wprawdzie ten romans uważał E. Krebs (Die Erzählung des Apollonius aus Tyrus, Berl. 1899) za oryginalny rzymski, napisany gdzieś w 1. połowie w III, przerobiony zaś przez jakiegoś chrześcijanina w w. V, ale Wilcken (Archiv l. l. str. 258, uw. 2) i K. Bürger (Studien zur Gesch. des griech. Romans II, progr. Blankenburg a. H., 1903) przytoczyli dostateczne dowody na istnienie oryginału greckiego i wyznaczyli mu miejsce wśród zachowanych romansów greckich. Mniej produktywne były uwagi G. Thiele'go (»Zum griechischen, Roman« w piśmie zbiorowem: Aus der Anomia, Archäologische Beiträge Carl Robert dargebracht, Berlin 1890 str. 124 nn.), stwierdzające na podstawie Auct. ad Herenn. I, 12, Cic. inv. I, 27 i Anon. Seguer. Rh. Gr. I p. 435 istnienie opowiadania, które bardzo było podobne do późniejszego romansu w szkołach retorów greckich i rzymskich już za czasów Sulli; i wywody Bürgera (Der antike Roman vor Petronius, Hermes 57, 1892, str. 345—358), które pomimo energicznego protestu Rohdego (Rh. Mus. 48, str. 125) podjął R. Heinze (Petron u. der griechische Roman, Hermes 34, 1899, str. 494—519), by dowieść, że Petroniuszowa satyra jest tylko parodyą patetycznego romansu greckiego. Istniał on w swej konwencyonalnej formie już na początku 1. w. po Chr. Trwałą natomiast wartość ma rozprawa Bürgera (Zu Xenophon von Ephesus, Hermes 27, 1892, str. 36—67), dowodząca, że zachowana forma romansu Ksenofonta z Efezu nie jest oryginalna, lecz pochodzi od późniejszego redaktora, który pewne partye pozostawiał bez zmian, inne znacznie skracał. Ważne to odkrycie potwierdziła analogia romansu Charitona. Sześć kart pergaminowych, kupionych przez Wilckena w Tebach (stąd Codex Thebanus), zawierają (a raczej zawierały, póki nie spłonęły) dwa rozdziały ósmej księgi romansu Charitona (VIII, 5, 9—6, 1; VIII, 6, 8—7. 3) w innej formie, niż jedyny kodeks florencki. Porównanie obu dowodzi, że mamy do czynienia z dwiema różnemi redakcyami zaginionego oryginału Charitona. Gdzie obie się zga-

dzają, tam brzmienie autentyczne; gdzie się rozchodzą, tam redakcya pełniejsza jest pierwotniejsza Redakcya tebańska pochodzi z wieku VII/VIII. Że oryginał powstał w w. II. po Chr., przypuszczał już W. Schmid, pisząc o Charitonie w encyklopedyi Paulego-Wissowy. Jego kombinacye głównie językowe i stylistyczne potwierdził papyrus: Grenfell i Hunt (»Fayum Towns and their papyri«, London, the office of the Egypt Exploration Fund) ogłosili papyrus z II w. po Chr., zawierający fragment romansu Charitona. Rohde uważał go za ostatnie ogniwo w łańcuchu zachowanych romansów i umieszczał gdzieś w VI. w. Za punkt wyjścia obrał streszczenie romansu Antoniusa Diogenesa i opowiedział prehistoryę jego fantastyki podróżniczej w rozdziale drugim swego dzieła (Ethnographische Utopien, Fabeln und Romane), a prekursorów erotyki romansowej zestawił i scharakteryzował doskonale w rozdziale pierwszym (Die erotische Erzählung der hellenistischen Dichter). Z obu tych rozdziałów, zwłaszcza z drugiego, historyk romansu greckiego dziś niewiele tylko szczegółów przejąć może; inne nie są mu potrzebne. Bardziej przyda mu się rozdział trzeci (Die griechische Sophistik der Kaiserzeit), a z czwartego (Die einzelnen sophistischen Liebesromane) tylko niektóre cegiełki adaptować może. Gmach zbudowany na takiej chronologii: Antonius Diogenes, Jamblich, Ksenofon z Efezu, Heliodor, Achilles Tatius, Chariton, Longus, runął. Że sam Rohde tego widzieć nie chciał i nawet romans o Ninusie ignorował, nie dziw. To dziwniejsze, że redaktor drugiego wydania książki Rohdego, Fryderyk Schöll, pisze w przedmowie takie zdanie: »Rohde würde kaum Veranlassung gehabt haben an den Grundlagen und wesentlichen Auffassungen der ersten Darstellung zu ändern«. Tymczasem właśnie jego podstawy i istotne pojęcia o romansie greckim się zmieniły. Stwierdził to w zeszłym roku autor dzieła o attycyzmie i artykułów o niektórych romansopisarzach (Achilles Tatius, Antonius Diogenes, Chariton) w encyklopedyi Paulego-Wissowy, Wilhelm Schmid w wykładzie, wygłoszonym w Stuttgardzie na zjeździe nauczycieli gimnazyów wirtemberskich (7. Maja 1904), publikowanym w »Neue Jahrbücher f. d. klass. Altertum« 13, 1904. 7 (Sierpień). Artykuł ten (Der griechische Roman), oświetlający obecny stan naszych wiadomości o istocie romansu greckiego i jego pochodzeniu, wypełniony jest przeważnie prostowaniem twierdzeń Thielego, ale w historyę romansów nie wchodzi, pozostawiając ją przyszłemu następcy Rohdego. Może nim będzie autor »Mimu«, Herman Reich, którego drugi tom wielkiego dzieła ma objąć wpływ mimu na romans. W każdym razie, nim nowa wielka książka o romansie greckim się zjawi, nie bez wartości dla filologów, dla których

Rohde jest przestarzały, będzie ta krótka historya romansu greckiego, obejmująca wyniki dotychczasowych badań i snująca je dalej.

---

Jedną z przyczyn, które opóźniały poznanie istoty romansu greckiego, jest brak wszelkiej poetyki starożytnej, wszelkiej teoryi tego gatunku literackiego. Powstał on po epoce klasycznej, twórczej na polu gatunków literackich, usystemizowanych przez Arystotelesa i jego następców, i teoretyka swego nie znalazł. Stąd nie ma nawet technicznej nazwy starożytnej. Wśród zachowanych w całości romansopisarzy Chariton określa swe dzieło jako διήγημα πάθους ἐρωτικοῦ (cf. πάθος ἐρωτικὸν ἐν Συρακούσαις γενόμενον διηγήσομαι I, 1). Heliodor (X fin.) jako σύνταγμα τῶν περὶ Θεαγένην καὶ Χαρίκλειαν Αἰθιοπικῶν. Jeżeli patryarcha Focyusz nazywa w swem streszczeniu romans Jamblicha Ἰαμβλίχου δραματικὸν, ἔρωτας ὑποκρινόμενον (p 221, 1 Hercher), a utwór Antoniusa Diogenesa τῶν ὑπὲρ Θούλην ἀπίστων λόγοι εἴκοσι τέσσαρες, potem zaś mówi o nim jako o δραματικόν (p. 233, 2 Hercher) i tą samą nazwą obejmuje romans Achillesa Tatiusa (cod. 87), Heliodora (σύνταγμα δραματικόν cod. 75 i n.), a dzieła wszystkich trzech mieni: ἐρωτικῶν δραμάτων ὑποθέσεις (cod. 94 i n.), więc ἐρωτικὰ δράματα, to po części uwzględnia treść romansów, pełną niebezpiecznych zdarzeń i awantur (δράματα już u Heliodora i Achillesa Tatiusa, Rohde p. 376[2] uw. 3), po części idzie za terminologią bizantyjską (np. Εὐμαθίου τὸ καθ' Ὑσμίνην καὶ Ὑσμινίαν δρᾶμα). Ale w nazwie δραματικόν (sc. διήγημα lub σύνταγμα) wolno też dopatrywać się szkolnej terminologii retorycznej.

Wśród ćwiczeń szkolnych (προγυμνάσματα) wymieniają retorzy opowiadania (διηγήματα lub διηγήσεις), nie związane z procesem i sądem (nie ἐπὶ κριτῶν, lecz καθ' ἑαυτάς) i rozróżniają wśród nich διηγήσεις βιωτικαί, ἱστορικαί, μυθικαί i περιπετικαί (np. Anon. Seguer. Rh. gr. I p 435, 12 sqq). Opowiadań historycznych i mitycznych objaśniać nie potrzeba: są to deklamacye na tematy, wzięte z historyi i mitologii. A istotę opowiadań biotycznych i perypetycznych poznamy, gdy zważymy, że retorzy zaliczają je do διηγήματα πλασματικά (np. Nikolaus, progymn. 2 p. 455 Sp. Rhet. III) i do biotycznych mim (biologia) odnoszą, διήγημα πλασματικόν zaś objaśniają przez δραματικόν (Aphthon. progymn. 2 p. 22, 44 sqq. Sp. Rhet. II). Ponieważ zaś w dramacie περιπέτεια jest nieodzowna, διήγημα δραματικόν nazywa się też περιπετικόν. Przykładów na takie opowiadania dramatyczne i perypetyczne szukał już Rohde w zachowanych kontrowersyach Seneki i deklamacyach Kwintyliana (p. 361[2]—366). Te-

maty wymyślał (stąd πλασματικόν) nauczyciel, uczeń je obrabiał. Podajemy parę spokrewnionych z motywami zachowanych romansów. Dziewicę, porwaną przez korsarzy, wystawiono na sprzedaż. Kupił ją koczot i umieścił w swym lupanarze. Prośbami skłaniała gości, by jej nie tykali, a zostawiali jej zapłatę dla koczota. Jakiś żołnierz nie uległ błaganiom, dziewica natarczywego zabiła. Zaprowadzono ją przed sędziów. Ci ją uwolnili i odesłali do domu rodzinnego. — Ponieważ Senece chodzi o przykład mowy niby sądowej, każe dziewicy ubiegać się ponownie o kapłaństwo i bronić się przeciw obywatelom, twierdzącym: Sacerdos casta e castis, pura e puris sit (Contr. I, 2).

Inny przykład: Młodzieniec, schwytany przez korsarzy, prosi listownie ojca, by go wykupił. Ojciec nie dał żadnej odpowiedzi. Córka herszta zakochała się w jeńcu i obiecała go uwolnić, gdy przysięgnie, że uwolniony ją poślubi. Przysiągł i oboje uciekają do rodziców młodzieńca, gdzie odbywa się ślub. Tymczasem nadarza się jakaś krewna sierota, którą ojciec na żądanie prawa chce wydać za syna jedynaka. A gdy ten nie zgadza się na rozwód z wybawicielką, ojciec go wydziedzicza. — I znów Seneka umieszcza sprawę przed sądem, gdzie syn broni się przed postanowieniem ojca.

Te dwa przykłady wystarczą na dowód, że młodzież rzymska (i grecka) ćwiczyła się już za Augusta w obrabianiu zmyślonych tematów, pełnych momentów dramatycznych. Ale były to krótkie deklamacye szkolne, podobne do naszych zadań szkolnych, a nie romanse. Teoryę ich sformułowali retorzy jeszcze przed czasami Sulli, jak to widzimy z Retoryki Herenniuszowej (I, 12) i Cycerona (de inv. I, 27). Nauczyciel Herenniusza nazywa διήγημα πλασματικόν argumentum i odróżnia w niem dwa rodzaje: unum (genus), quod in negotiis, alterum, quod in personis positum est. Zmyślone opowiadanie rzeczowe (in negotiis, in rebus positum) to ἔκφρασις πραγμάτων, opis wojen, bitew, podróży, ale i widoków natury, dzieł sztuki (p. Rohde 358[2]—361). Opowiadanie zaś o osobach nie różni się niczem od wspomnianego διήγημα δραματικόν (περιπετικόν). Retor rzymski takich żąda od niego przymiotów: illud genus narrationis, quod in personis positum est, debet habere: sermonis festivitatem, animorum dissimilitudinem, gravitatem levitatem, spem metum, suspicionem desiderium, dissimulationem misericordiam, rerum varietates fortunae commutationem, insperatum incommodum subitam laetitiam, iucundum exitum rerum. Podana i forma i treść. Forma: opowiadanie powabne, więc piękne i lekkie. W treści wymieniona najpierw różnica chara-

kterów u występujących osób: jedne mają być poważne (graves), drugie lekkomyślne (leves). Osoby te mają być narażone na różne przygody (rerum varietates) i zmiany losu (fortunae commutatio) Jakie uczucia przytem mają wypełniać ich serca, o tem uczy wyraz desiderium, który w tym związku może oznaczać jedynie tęsknotę miłosną. Więc miłość ma być osią akcyi. Ona napełnia serce kochanków nadzieją i trwogą, ona wywołuje sceny zazdrości (suspicio), ona skłania do udawania obojętności (dissimulatio), ona wreszcie każe się ulitować nad nieszczęśliwym kochankiem. Kochankowie, miotani niespodziewanemi nieszczęściami (insperatum incommodum), znajdują wreszcie łaskę w oczach losu i wszystko kończy się szczęśliwie, to jest rozłączeni schodzą się i łączą na szczęśliwe życie.

Powyższa interpretacya ustępu Retoryki Herenniuszowej zależna jest wprawdzie od znajomości zachowanych romansów greckich, które zawierają wszystkie wymienione momenty, ale mimo to może być prawdziwą, jeżeli jej ściśle zakreślimy granice. Thiele widział w owym ustępie sformułowanie poetyki gotowych romansów. Zapomniał o ich rozmiarach, zapomniał, że takie argumentum in personis positum nie było nawet wielką mową: było tylko drobnem ćwiczeniem, zadaniem. A ta okoliczność, że retorowie łacińscy innych gatunków opowiadania pozasądowego bliżej nie charakteryzują, przypuszczając ich znajomość u czytelników, a nad tym jednym obszerniej się rozwodzą, jest dowodem jego nowości Gdyby to był konwencyonalny już wtedy gatunek literacki, byliby go nazwali po imieniu, wskazali na jakiś okaz. Więc nie w opowiadaniu romansów, nie w ich układaniu ćwiczyła się młodzież w szkole retorów. Ale to pewna, że ten nieznany autor, który pierwszy romans napisał, przeszedł szkołę retoryczną, znał i opisy rzeczowe (narratio, quae in negotiis versatur) i opowiadania o zawikłanych losach osób (narratio in personis posita) i wszystkie inne formy ćwiczeń retorycznych. W tem pojęciu powiedzieć można, że romans wyszedł ze szkoły retorów

Aby odpowiedzieć na pytanie, kiedy się to stało, kiedy napisano pierwszy romans, trzeba przypomnieć sobie, które gatunki literackie wypełnione były przedtem treścią, właściwą później romansom Fabuła miłosna stanowiła w epoce aleksandryjskiej oś Argonautików Apolloniusza Rodyjskiego (Jazon i Medea), stanowiła ważny element w Μεσσηνιακά Rhianosa z Krety (Cudzołożna Messenka powoduje upadek twierdzy Ira. Dziewczynę, która wyzwoliła Arystomenesa z niewoli, wydaje bohater za swego syna. Sam żeni się z córką Damagetesa). A i takie epopeje Rhianosa, jak Ἀχαϊκά, Ἠλιακά, Θεσσαλικά, t. j. Opowieści achajskie,

elejskie, tessalskie nie były z pewnością wolne od erotycznych legend lokalnych. Ale właściwem naczyniem tych legend była z jednej strony objektywna elegia aleksandryjska, z drugiej epyllion. Książeczka nauczyciela wergiliuszowego o nieszczęśliwych miłościach (περὶ ἐρωτικῶν παθημάτων) dostatecznie tego dowodzi. Większość tych miłosnych historyi kończyła się nieszczęśliwie, tragicznie. Ale były i takie, które miały pomyślne zakończenie. Tu należy przedewszystkiem sławna elegia Kallimacha o Akontiosie i Kidyppie, zdobiąca jego Αἴτια. Ogłoszona bieżącego roku przezemnie książeczka o poezyi aleksandryjskiej (Sprawozdanie gimn. św. Anny w Krakowie za rok 1905) uwalnia mię od obszerniejszego rozwodzenia się nad tą erotyką aleksandryjską i jej formami. Tu wystarczy uwaga, że dopóki uprawiano epos romantyczne, a przedewszystkiem epyllion, na prozaiczny romans miejsca nie było. Epos ustąpiło miejsce epyllionowi. Epyllion zaś, podobnie jak pieśń bukoliczna, wyrodnieje już u Moschosa, a zwłaszcza Biona w ἐρωτύλον, w μελύδριον, heksametryczny anakreontyk. Auzoński poeta, opłakujący na początku I. w. przed Chr. śmierć Biona i skarżący się: καὶ τὸ μέλος τέθνακε καὶ ὤλετο Δωρὶς ἀοιδά, wypowiada te słowa nietylko na grobie bukoliki ale i całej wielkiej poezyi aleksandryjskiej. Z tej został tylko epigram, uprawiany przez takich poetów, jak Antypater ze Sydonu czy Tyru, Meleager z Gadary, Archiasz z Antyochii, Filodem z Gadary — słowem cały szereg małoazyatyckich Greków lub zhellenizowanych Semitów.

Nie jest to chyba rzeczą przypadku, że z pośród romansopisarzy Chariton pochodzi z Afrodisias w Karyi, Jamblich ze Syryi, Heliodor ze syryjskiej Emezy. Nie można też trafem tłumaczyć tego, że miasta małoazyatyckie, daleki Wschód i Egipt są widownią wszystkich romansów greckich W Grecyi czy Italii nie rozgrywa się żaden. Tylko Sycylię wciąga Chariton między swe sceniczne dekoracye. Ale i jego opowieść syrakuzańska rozgrywa się przeważnie w Milecie, bohaterowie Antoniusa Dyogenesa pochodzą z Tyru i wracają do Tyru; w tem samem mieście, a nadto w Tarsie i Efezie działają osoby historyi Apolloniusza. »Krajem dalekim« jest dla odmiany Kyrene, ale i Egipt. Od Efezu otrzymał tytuł romans Ksenofonta, który zapędza swą parę z Egiptu na Sycylię i do południowej Italii. Jedynie Rodos jest u niego miejscem klasycznem, jak znowu u Heliodora Delfy. Ale ten zmyka stąd coprędzej aż do najdalszej Etyopii. Jedynie Longos nie wykracza za granice Lesbos. Achilles Tatius znów wraca do Tyru. To małoazyatyckie pochodzenie wielu romansopisarzy, to ograniczenie się do wybrzeży małoazyatyckich, a unikanie miejsc klasycznych, jest wykładnikiem tej prawdy, że kolebką romansu greckiego jest Azya mniejsza. Tam Arystydes z Miletu zebrał na po-

czątku I. wieku przed Chr. ślizkie nowelki milezyjskie jako Μιλησιακά, tam pisali w tym samym czasie swe romanse retorowie azyatyccy.

Rohde dopiero za wszechwładnego panowania Azyanizmu w epoce Hadryana szuka korzeni romansu i, podnosząc wrogie usposobienie sofistów wobec wszelkiej rytmicznej poezyi (p. 357[2] nn.), sądzi że romans to jeden z konkurentów, mających zastąpić poezyę. Nie uwzględnia jednak przy tem dwuwiekowej luki od ostatnich aleksandryjskich bukolik i epylliów choćby tylko do Antoniusa Dyogenesa. Organiczny rozwój i upadek gatunków literackich, luzujących się bez przerwy, każe nam cofnąć się aż do początku w. I. Wprawdzie nie mamy wszystkich ogniw, łączących twórcę azyanizmu, Hegesiasa z Magnezyi (ca 250) ze sofistami Hadryanowskimi, ale widzimy azyanizm u epigramatyków, jak Antypater ze Sydonu, Archiasz z Antyochii i innych. Jeżeli w ich czasach Grecy nie pisali już epylliów, to tylko dlatego, że znaleźli dla tej treści nową formę. A raczej przejęli ją od — historyków. Suidas, nazywający Ksenofonta z Efezu i dwóch jego imienników, autorów Βαβυλωνιακά i Κυπριακά, historykami, szedł tylko za tradycyą, zaliczającą ten gatunek literacki do historyi. Ten związek z historyografią zaznaczają sami autorowie w takich tytułach jak Βαβυλωνιακά, Ἐφεσιακά, Αἰθιοπικά, które dopiero przez dodanie imion pary miłosnej np. τὰ κατὰ Ἀνθείαν καὶ Ἀβροκόμην lub τὰ περὶ Θεαγένην καὶ Χαρίκλειαν stają się romansowymi. A obieranie za bohaterów postaci historycznych, jak Ninus i Semiramida, stwarzanie tła niby historycznego choćby tylko przez Charitona i Antoniusa Dyogenesa jeszcze wyraźniej przemawia za pochodzeniem romansu z historyografii.

Oczywiście ta matka romansu już sama bardzo była romantyczna. Lekarz nadworny Parysatydy i matki Artakserksesa II i Cyrusa Młodszego, Ktesias z Knidos, krytykował ostro w swych Περσικά, wydanych koło r. 390, nieźródłowość i nieprawdomowność Herodota. Ale co sam wypisywał z rzekomych archiwów królewskich, spisanych na wołowych skórach, było tylko starą jońską legendą o assyryjskim Ninusie, bohaterskim zdobywcy całej Azyi; o córce Derketo, heterze Semiramidzie, która jako żona Ninusa okazywała nie mniejszą mądrość jak odwagę; wreszcie o wyuzdanym i zniewieściałym Sardanapalu, który zginął jak bohater. Czasy nowsze, wypadki znane mu z autopsyi traktował jako materyał czysto literacki, używał go do bardzo dramatycznych scen i epizodów. Słusznie starożytni nazywali go ποιητής w znaczeniu tego, co w starej polszczyźnie »wymysłkiem« się zowie. — Ksenofont, pisząc swą wymyśloną Κύρου παιδεία, nie powoływał się już nawet na rzekome źródła perskie. Korzystał tylko z przywileju filozoficznego historyka, któremu wolno było dla celów pedagogicznych i protreptycznych snuć na kanwie dziejowej

nauki i pouczania. Jeżeli Antystenesów dyalog o idealnym (cynicznym) władcy: Κῦρος ἢ περὶ βασιλείας zaliczany był do literatury filozoficznej, to Ksenofontowego Cyrusa nazywali Grecy dziełem historycznem. Rozstrzygała o tem historyczność niektórych osób i wypadków, a przedewszystkiem forma historyi. Sławny epizod o Pantei i Abradatasie jest tylko naśladownictwem tego rodzaju erotycznych epizodów, ulubionych przez historyków jońskich. E. Schwartz przypomina miłosną baśń wschodnią aleksandryjskiego historyka Charesa z Mityleny (frg. 37 Müller z Athen. XIII, 575 b sqq.): »Hystaspes miał brata Zariadresa. O obu mówili krajowcy, że byli synami Afrodyty i Adonisa. A panował Hystaspes nad Medyą i przyległym od dołu krajem, Zariadres zaś powyżej bram kaspijskich aż do Tanais. Z drugiej strony Tanais panował nad Maratami król Homartes. Miał on córkę imieniem Odatis. O niej historye piszą, że zobaczywszy we śnie Zariadresa, pokochała go, a to samo i jemu przydarzyło się w stosunku do niej. Żyli więc we wzajemnej tęsknocie, spowodowanej widziadłem sennem. A była Odatis najpiękniejszą z niewiast w Azyi, i Zariadres był piękny. Lecz gdy Zariadres wyprawił do Homartesa poseliny, pragnąc poślubić jego córkę, Homartes nie zgodził się na to, bo nie miał męskiego potomstwa. Chciał więc wydać ją za jednego z krewnych«. I dalej w tym afektownie prostym, wzorowanym na Herodocie stylu, opowiada Chares, jak król sprosił z całego państwa możnych, przyjaciół i krewnych, wyprawił wielką ucztę weselną, lecz nie wymienił szczęśliwego pana młodego. Odatis wchodzi na salę, ojciec oświadcza, że to jej wesele i rozkazuje jej napełniony winem puhar podać temu, którego wybiera za męża. Królewna rozgląda się do koła i z płaczem wychodzi. Uwiadomiła była Zariadresa o zbliżającem się weselu, a jego nigdzie niema. Jednak nie zawiódł on wyśnionej kochanki. Jechał dniem i nocą, zatrzymał wóz w ukryciu, sam z woźnicą ubranym po scytyjsku zjawił się przed pałacem, gdzie płacząca Odatis mieszała powoli wino. Stanął przed nią: »Odatis, jestem, jak chciałaś, ja Zariadres«. Poznała Odatis młodzieńca wyśnionego, oddała mu czaszę i pozwoliła się porwać na czekającym rydwanie. Niewolnicy i służebnice, wtajemniczone w miłość królewnej, zamilczały porwanie i powiedziały królowi, że nie wiedzą, gdzie królewna pojechała. »Opowiadają azyatyccy barbarzyńcy o tej miłości, podają ją za wzór do naśladowania, malują ją w świątyniach, pałacach i prywatnych domach. A własnym córkom wielu książąt daje imię Odatis«.

Wschodnie pochodzenie tej opowieści nie jest wymysłem Charesa: dowodzą tego analogiczne motywy późniejszych opowiadań perskich czy arabskich. Dochodziły one do wiadomości Greków, odkąd Aleksander

Wielki otwarł im bramy tajemniczych krain Wschodu. Jak bluszcz potężną kolumnę, tak fantastyczna legenda oplata bujnie bohaterską postać zdobywcy Wschodu. Historyk jego, Klitarch z Kolofonu pisze swe Persika w »poetycznej« manierze Ktesiasa, a Cynik Onesikritos z Eginy modeluje swego Aleksandra na wzór Ksenofontowego Cyrusa, jako ideał króla-filozofa. Cuda natury baktryjskiej i indyjskiej stanowią barwne tło tych »historyi«, kazania cyniczne włożone są w usta mędrców indyjskich, gimnosofistów. — Lud wolał »autentyczniejsze« od tych kompozycyi literackich listy Aleksandra W. do matki Olimpii lub nauczyciela Arystotelesa. Wreszcie i kapłani egipscy przyłożyli rękę do spopularyzowania Aleksandra W., przynajmniej w Egipcie, i dla uświetnienia i ulegitymowania jego dyadochów opowiadali, że Aleksander W. był synem Zeusa Ammona, a raczej jego kapłana Nektanebosa, ostatniego potomka Faraonów.

Kiedy azyańscy retorowie I. w. przed Chr. przyjęli w program ćwiczeń szkolnych »wymyślone« opowiadania w rodzaju baśni o Odatis i Zariadresie, znajdowali zebrany i przygotowany materyał przez wspomnianych historyków jońskich, opowiadających o cudach Wschodu. Stąd wschodnia scenerya i wschodni koloryt zachowanych romansów. Historya Odatis zawierała i różne charaktery (gravis Homartes, levis Zariadres) i tęsknotę miłosną oddalonych od siebie kochanków (desiderium) i niespodziewane nieszczęście (Odatis ma wyjść za krewnego) i nagłą radość (w ostatniej chwili przybywa zbawca). Kto się przyzwyczaił w szkole do opracowywania takich tematów, ten i później chętnie do nich wracał. Dla zaspokojenia tej potrzeby ćwiczenie szkolne rozszerzono. A nuż Homartes puścił się w pogoń za Zariadresem? Nuż wydał wojnę uwodzicielowi lub jego bratu? Nie darmo jego Zariadres był synem Afrodyty. Ta musiała po wielu przygodach zapewnić mu szczęśliwe posiadanie Odatis.

Że taka geneza romansu jest prawdopodobna, o tem uczą wymienione na początku fragmenty romansów, ogłoszonych z papirusów. Jakiś retor obiera za bohaterów Ninusa i Semiramidę. Szablon szkolnych deklamacyi wymaga kochanków młodych i cnotliwych. Więc z hetery Semiramis robi 13-letnią dzieweczkę, która się jeszcze nie wychylała za progi komnat niewieścich, z Ninusa siedmnastoletniego bohatera. Wrócił właśnie ze zwycięskiej wyprawy, a ulegając gwałtownej miłości do swej siostry ciotecznej, staje przed jej matką, Derkeją, i w mowie, dysponowanej według wszelkich przepisów szkolnej retoryki, prosi o przyspieszenie ślubu. Prawo assyryjskie pozwala dopiero w piętnastym roku wychodzić pannom za mąż. Ale silniejsze jest prawo natury. Wszak trzynastoletnie panny stają się matkami, wszak pietnastoletni chłopcy

nie tylko kosztują, ale używają darów miłości. On, pomny złożonej przysięgi, zachował wśród wielu pokus swą czystość. A teraz nie pokryjomu, nie podstępnie, ale jawnie i otwarcie prosi o przyrzeczoną mu żonę. Dwa lata to długi czas, a dla wojownika, jak on, niepewny. Jeśli zginie na lądzie lub morzu, to niechże przynajmniej zostanie po nim potomek. — Ciotka przyrzeka pomoc, a tymczasem dziewica ma pozyskać swą ciotkę, matkę Ninusa, Thambe. Niestety nie umie składać pięknych słów, zwłaszcza, że ma mówić o zamążpójściu. Więc rumieni się i blednie, jąka się i miesza, aż wreszcie z płaczem tuli się na łono Thambe. Ta wie, o co chodzi, i wśród pocałunków zapewnia siostrzenicę o życzliwości. — Sztuczny chiazm osób przechodzi w parallelizm. Schodzą się obie ciotki, wypowiadają (niezachowane) mowy, których skutkiem jest ślub młodych. Parallelizm tych nie odrazu doszedł do skutku, bo skromna dziewica, która nie mogła wypowiedzieć wyrazu małżeństwo, jeszcze bardziej boi się faktycznego jego rozpoczęcia. Ale wymowa i siła Ninusa i te przeszkody pokonuje i teraz bieżąca zima przemienia się dla młodych małżonków w raj na ziemi. Eros nie dopuszcza Korosa (przesytu). Szczęście kończy się na wiosnę, gdy Ninus rusza na przygotowaną wyprawę na zbuntowanych Armeńczyków. Obrazki idylliczne przechodzą w opisy wojenne. Więc pochód 70.000 piechoty i 30.000 konnicy assyryjskiej, najemników greckich i karyjskich i 150 słoni, przebycie wielkich rzek i wysokich gór, odpoczynek wojska na równinie armeńskiej, ustawienie szyku bojowego, przemowa Ninusa przed bitwą.

Tu fragment się urywa. Aby go módz uzupełnić, trzeba sobie przypomnieć, jak autor zmienił tradycyjny charakter Semiramidy. Opowiadał o niej Ktesias (u Diodora II, 44, sqq. Iust. I, 2), że hetera wyszła za assyryjskiego satrapę Onuesa. Znajdował on się w obozie Ninusa, oblegającego Baktry. Oblężenie się przeciągało. Panowie sprowadzili do obozu swe żony. Przybyła i Semiramis, dopomogła chytrą radą do zdobycia miasta, zwróciła na siebie uwagę króla, obudziła w nim miłość i została jego żoną. Więc Ninus zabrał ją drugiemu. Odwracający charaktery autor kazał ją chyba podczas nieobecności Ninusa porwać przez jakiegoś zakochanego księcia. Ninus otrzymuje wiadomość o tem, rozpoczyna się pościg za uwodzicielem, szereg awantur. Wreszcie król odzyskuje żonę i tu romans się kończy.

Związek jego z historyografią jońską, z Ktesiasem, zaznacza dość wyraźnie wybór tematu a wpływ szkolnej retoryki widnieje w mowach, wypełniających wszystkie fragmenty. Wprowadzenie najemników greckich i karyjskich, a przedewszystkiem słoni do armii Ninusa świadczy

o tem, że autor słyszał coś o najemnikach egipskiego Psammetycha i o taktycznem znaczeniu słoni w armiach dyadochów.

Romans o Ninusie wchodzi zupełnie w ramy historyografii jońskiej, jakkolwiek tradycyjne charaktery stosuje do konwenansu szkolnego. Przytoczony powyżej Charesów epizod baśni wschodniej o królewnie Odatis i królewiczu Zariadresie ma pendant w fragmentach romansu o Chione i Chrestosie. Król przemawia do swej rady: Królestwo moje przejdzie na zięcia. Dobrze więc trzeba naradzić się nad jego wyborem Zostawiam 30 dni do namysłu (fr. I). Niejeden z członków rady pragnąłby otrzymać rękę królewny. Naradzają się nad wyborem jednego. Widocznie chcą porwać Chione, gdyby ją król przeznaczył dla kogoś obcego, skoro lud oburza się na ich pogróżki i tchórzostwo Czemuż żaden otwarcie nie poprosi o królewnę? Słyszy o tem Chione od matki (fr. II). — W następnej scenie (fr. III), ukochany od dawna Chrestos radzi królewnie ucieczkę przy pomocy wspólnego przyjaciela, Megamedesa. Ale królewna straciła już do niego zaufanie. Innego jednak sposobu ratunku niema, i nie mogąc szczęśliwie żyć z ukochanym, postanawia z nim razem umrzeć. — Zawikłanie gotowe. Zamiarom ojca stoi na przeszkodzie dawny wybór córki i spisek możnych, nie mających widoków powodzenia na dworze. Może Chrestos jakimś bohaterskim czynem pozyskał króla i rękę księżniczki? Intrygowaliby owi możnowładcy. Może porwał Chionę przy pomocy Megamedesa, który się okazał niegodnym jego zaufania i potwierdził obawy księżniczki? W każdym razie trzeba tę Chionę wyprowadzać z Owidyuszowskiej (Met. XI, 301 nn.). O czternastoletnią córkę Dedaliona, dziewicę nadzwyczaj urodziwą ubiegają się tysiące zalotników. Do ich liczby należą i dwaj bogowie. Hermes, zobaczywszy dziewicę, spuszcza na nią sen i staje się ojcem Autolykusa. Apollo czekał do nocy i w postaci staruszki zbliżył się do Chione i miał z nią Filammona. Matka, dumna ze swych synów, obraziła Dyanę i poniosła z jej ręki śmierć. — Autor romansu zastąpił prawdopodobnie bogów ludźmi, a gniew bogini inaczej umotywował. Zmienił też zakończenie, dając historyi pomyślny obrót. Ale jak Semiramida jest tylko kontrastem tradycyjnej królowej asyryjskiej, tak znów Chione romansu powstała na podstawie bohaterki jakiegoś aleksandryjskiego epyllion.

Ten sam stosunek do tradycyi widać z fragmentów o Partenopie i Metiochosie. Tradycya mitograficzna (Eustatios do Dionys. Perieg. 358/9) opowiadała o pięknej Parthenope, która, nieczuła na miłosne westchnienia licznych zalotników, chciała wytrwać w dziewictwie. Widocznie Afrodyta rozgniewała się o to na nią i wzbudziła w jej sercu

gwałtowną namiętność do Frygijczyka Metiochosa. Aby ujść przed głosem serca, obcięła Parthenope włosy, zeszpeciła się i uciekła do Kampanii, gdzie ją Dyonizos uczynił swą kapłanką i po śmierci obdarzył nieśmiertelnością. — Romansopisarze i ten charakter odwrócili. Lukian (salt. 2) wymienia obok Fedry i Rhodope także Parthenope jako γύναιον ἐρωτικὸν μαχλότατον. Zna on też Metiochosa (pseudol. 25) jako figurę bohaterską obok Ninusa i Achillesa. Widocznie więc nieczuły na miłość charakter Parthenopy przenieśli romansopisarze na niego, a Parthenopę uczynili lubieżną kusicielką. Niedarmo inna tradycya (Eustath. l. l.) uważała ją za jedną z Syren. — Kombinacyę tę potwierdza zachowany fragment. Jakiś cudzoziemiec skończył właśnie konwencyonalną pochwałę Erosa, znaną choćby tylko z mów biesiadników Platońskich. Obecny przytem Metiochos zaznacza, że on sam wprawdzie nie doświadczył jeszcze miłości, ale sama logika dowodzi nieprawdziwości mitologicznych pochwał Erosa. A filozofia, czy fizyologia uczy, że Eros jest naprawdę jakiemś wzruszeniem umysłowem (κίνημα διανοίας), powstającem wskutek zbyt dobrego życia i odżywiania się (ὑπὸ τρυφῆς γιγνόμενον), a utrwalającem się i umacniającem przez obcowanie z przedmiotem wzruszenia (ὑπὸ συνηθείας αὐξόμενον). Słyszy te wywody stojąca w pobliżu Parthenope i cieszy się, że Metiochos nie zaznał jeszcze miłości. Widocznie go kocha. Nie trudno snuć dalej przerwany wątek opowieści. Eros ukarał nieczułego młodzieńca, sprowadził przed oczy jego Parthenope, obudził w nim miłość do niej. Przed ślubem lub zaraz po nim powstały jakieś przeszkody, rozłączające kochanków, którzy dopiero po wielu cierpieniach znów się połączyli.

Wspomnieliśmy już na początku, że wiek papyrusów pozwala romans o Ninusie umieścić w I. w. po Chr., tak samo romans o Metiochosie. Ale nic nie stoi na przeszkodzie i wcześniejszemu ich datowaniu. Owszem, ścisły związek z historyografią i poezyą aleksandryjską, każe umieścić je na samym początku rozwoju tego gatunku, w I. w. przed Chr. Grenfellowski papyrus z Fayum wskazuje, że w II. w. po Chr. znany był już zachowany w drodze rękopiśmiennej romans Charitona. A stosunek jego do datowanego romansu Jamblicha (koło 170 r. po Chr.) dowodzi, że go można umieścić najpóźniej na początku II. w. po Chr. Jakoż zobaczymy, że wiek II. jest okresem najbujniejszego rozkwitu tego gatunku literackiego.

Jak niegdyś Hekatajos z Abdery, jak Herodot, tak Chariton rozpoczyna swe opowiadanie o Chajreaszu i Kallirroe (τὰ περὶ Χαιρέαν καὶ Καλλιῤῥόην: 1. wyd. D'Orville'a, Amsterdam 1750, obejmuje 144 str. tekstu i 788 stron uwag, w 3 t.) od własnej osoby: »Ja Chariton Afrody-

zyjczyk, koncypient u adwokata Athenagorasa, opowiem historyę miłosną, która się wydarzyła w Syrakuzach«. Notatkę tę brano allegorycznie. Chariton nazwał się od Charyt, by zaznaczyć wdzięk swego opowiadania. Pochodzi z miasta Afrodyty, bogini miłości, bo pisze o miłości. Athenagoras miał przypominać tło historyczne, o którem później. Ale czy i zaznaczenie stanowiska koncypienta adwokackiego miało ukryty sens? Chariton lubuje się w scenach i mowach sądowych. — Takim zbyt sprytnym domysłom położyły kres napisy z Afrodisias w Karyi. Znajdujemy na nich i Χαρίτων (C. I. Gr. 2846) i 'Αθηναγόρας (np. C. I. Gr. 2782, 2783). Wobec nich wszelkie kombinacye tracą podstawę. Chariton rzeczywiście żył w Afrodisias, pisał akty oskarżenia itp. u swego mecenasa, a w chwilach wolnych komponował romanse.

Strateg syrakuzański Hermokrates, zwycięzca Ateńczyków (oczywiście z r. 415), miał córkę Kallirroe, której nadludzka uroda zwabiła mnóstwo zalotników ze Sycylii, Italii i Epiru. Widocznie nie sprzyjała żadnemu, skoro Eros myślał o osobliwym związku dla niej. Mianowicie współzawodnik polityczny Hermokratesa, Aristo (u Tukidydesa nazywa się on Athenagoras i rywalizuje między r. 413—408. Chariton wymienił już swego szefa Athenagorasa, więc to imię zmienił) miał równie pięknego syna, Chajreasza, którego Eros chciał użyć dla pogodzenia poważnionych rodzin. Więc gdy Kallirroe szła z matką na uroczystość Afrodyty, Eros sprowadził na jej drogę Chajreasza, wracającego właśnie z palestry. Jedno spojrzenie młodych wystarczyło do wzniecenia w sercach obojga gorącej miłości. Chajreasz, wróciwszy do domu, czuje w sercu ranę, dziewica modli się do Afrodyty: »Daj mi, pani, za męża tego, któregoś mi pokazała«. Płyną dla zakochanych bezsenne noce, pełne tęsknoty dni. Dziewica milczy. Młodzieniec zwierza się ojcu, ale ten nie chce nawet słyszeć o związku syna z córką swego przeciwnika politycznego. Chajreasz, trawiony gorączką miłosną, przestaje chodzić do palestry, koledzy szukają przyczyny, dowiadują się o wszystkiem i szukają ratunku — na zgromadzeniu ludowem. Przewodniczy z urzędu Hermokrates. Lud błaga go o oddanie córki Chajreaszowi, a dobry patryota ustępuje woli ludu. Natychmiast prytanowie i lud udają się ze strategiem do jego domu, śpiewając pieśni weselne. Dziewica trwożliwie płacze a gdy usłyszała od niańki, że to lud ją swata, mdleje. Ale już przybiega do niej powiadomiony o szczęściu Chajreasz, krzesi ją pocałunkami i wnet przy udziale całego ludu odbywa się wesele, takie jak niegdyś Peleusa i Tetydy. Tylko że zamiast Eris gościł tu Φθόνος.

Na tem skończyłoby się jakieś epyllion aleksandryjskie. Romansopisarz wprowadza intrygę. Zawiedzieni w nadziejach swych zalotnicy

gromadzą się w imię wspólnej zawiści i naradzają się nad zemstą nad Chajreaszem, który bez żadnych starań zabrał mu upragniony skarb. Syn tyrana z Rhegion radzi przemocą rozbić wesele. Ale większy posłuch znajdują słowa tyrana z Akragas, który podejmuje się podstępem i zazdrością rozdzielić szczęśliwą parę. A Chajreasz wydawał się bardzo przystępnym dla podejrzliwości, skoro zaraz na drugi dzień po ślubie, zobaczywszy przed domem żony ślady nocnego komersu (κῶμος), porzucone przez zalotników, urządził jej gwałtowną scenę, szczęściem wnet uściskami i pocałunkami zażegnaną. Na tej słabości jego charakteru buduje swój plan chytry Akragantyjczyk. Rozkazuje przystojnemu pasorzytowi swemu zalecać się do pokojówki Kallirroy i prosić ją o nocną schadzkę w jej pokoju. Równocześnie posyła do palestry, w której ćwiczył się Chajreasz, obłudnego starca, aby uwiadomić młodzieńca o rzekomej niewierności żony. Starzec obiecuje nawet dowody. Niechaj Chajreasz zapowie żonie wieczór, że musi wyjechać na wieś i niech się ukryje w pobliżu własnego domu, a zobaczy przybywającego amanta. I rzeczywiście widzi człowieka bogato ubranego, który chyłkiem wsuwa się do otworzonej mu bramy. Był to ów pasorzyt, wpuszczony przez pokojówkę. Ukrył się za drzwiami, i gdy oszalały z zazdrości Chajreasz pobiegł do sypialni żony, on umknął w ciemnościach nocy. Kallirroe czuwała jeszcze, czekając na brzegu łoża w tęsknocie na męża. Słysząc jego kroki, wybiegła z radością na spotkanie. On powitał ją kopnięciem poniżej piersi. Kallirroe martwa padła na ziemię. Wskrzesić się jej nie udało. Już na drugi dzień cała prawda wychodzi na jaw. Owa pokojówka, wzięta na tortury, wyznaje wszystko. Zrozpaczony Chajreasz tylko dzięki interwencyi przyjaciela, Polycharma, nie popełnia samobójstwa. Oskarża się jednak przed ludem syrakuzańskim o morderstwo, prosi o śmierć, ale na wstawienie się ojca zmarłej zostaje uznany za niewinnego. Pogrzeb ofiary zazdrości odbywa się z wielką pompą, stosy szat i kosztowności zamykają z nią do grobu.

Widzieli to grasujący pod dowództwem Theona łotrzykowie i postanowili grób okraść. Kallirroe, zamknięta w grobowcu, odzyskała przytomność, bo owo kopnięcie tylko w ciężkim ją pogrążyło letargu, i w przerażeniu oczekuje śmierci głodowej. Nagle słyszy, że ktoś grób otwiera. Wchodzący złodziej uciekł przed zmartwychwstającą nieboszczką. Więc sam Theon objął w posiadanie i kosztowności i piękną niewiastę, za którą nie małej spodziewał się zapłaty. Na radzie łotrów odezwały się wprawdzie głosy za tem, by dziewicę oddać Hermokratesowi i żądać nagrody za ocalenie jej. Ale nieczyste sumienie nie pozwoliło im stanąć przed strategiem. Więc na przygotowanym własnym

statku opuścili brzegi Sycylii i ominąwszy Ateny, skierowali się do Jonii ku Miletowi. Wylądowali opodal miasta i tu zobaczył Theon postępującego w licznym orszaku dostojnego męża, zgnębionego widocznie smutkiem i żałobą. Od zaczepionego przechodnia dowiedział się, że to najznakomitszy Milezyjczyk, Dionysios, niepocieszony po niedawnej stracie żony. Przechodniem był Leonas, włodarz Dionysiosa. Theon oświadczył mu, że ma na sprzedaż piękną i wykształconą niewolnicę z Sybaris, sprzedaną mu przez zazdrosną panią. Może się ona przyczyni do pocieszenia Dionysiosa. Ucieszony Leonas zaprasza kupca do siebie. Po biesiadzie umawiają się o miejsce spotkania, przy którem Leonas odbierze niewolnicę, Theon zapłatę. Ten każe się Kallirroe przystroić i udaje, że ją chce zostawić pod opieką przyjaciół, by jej nie narażać na trudy i niebezpieczeństwa podróży do Lykii. Kallirroe prosi o pozwolenieza trzymania jednego tylko sygnetu i czeka na swój los. Leonas przyniósł na razie tylko zadatek, talent srebra. Resztę wypłaci sam Dionysios. Theon uradowany, że bez zwrócenia na siebie uwagi władz i tę sumę zarobił, niewolnicę oddaje, a sam coprędzej odpływa. Leonas powierza prześliczną dziewicę opiece niewolnicy Dionysiosa, Plango, zamężnej z Fokasem, zarządcą folwarku tego samego pana.

O świcie spieszy Leonas do Dionysiosa, donosi mu o nabytku i prosi o pieniądze. Spieszy z nimi na umówione z Theonem miejsce, ale ani tam ani nigdzie indziej go nie znajduje. Przypuszcza więc, że ów kupiec cudzą, porwaną niewolnicę mu sprzedał, ale mimo to chce ją zachować dla pana. Więc sprowadza go na folwark Fokasa i pokazuje mu w poblizkiej świątyni Afrodyty nabytą niewolnicę. Dionysios, jak i cały lud zgromadzony, bierze ją za samą boginię. Po tem pierwszem spotkaniu Dionysios nie ma już spokoju. Wie, że mu nie wolno kochać niewolnicy, do tego może przemocą komuś porwanej, ale zapanować nad namiętnością już nie potrafi. Więc znowu wraca do świątyni Afrodyty, wypytuje się niewolnicę o pochodzenie. Ta powołuje się na wspaniałomyślność helleńskiego pana i prosi o uszanowanie jej tajemnicy. Niewolnicą nigdy nie była, Sybaris nie widziała. Srogi los zagnał ją do Miletu — Dionysios coraz gorliwiej zajmuje się gospodarstwem Fokasa, aż raz Plango przybiega do Kallirroy z prośbą, by za nią i jej mężem wstawiła się u rozgniewanego pana. Czyni to Kallirroe, Dionysios dla niej przebacza rzekomym winowajcom (wszystko było komedyą, zaimprowizowaną przez Plango), a dziękującą mu dziewicę całuje.

Ten pocałunek był kroplą, przepełniającą kielich. Albo posiędzie Kallirroe, albo umrze. Od śmierci uratował go taki przypadek. Plango spostrzegła u kąpiącej się Kallirroe »niecudną odmianę«. Krótkotrwałe jej

*

małżeństwo nie miało pozostać bezowocne. Kallirroe, przerażona tem odkryciem, prosi o pomoc, niedopuszczającą do tego, by jej syn był synem niewolnicy i niewolnikiem. Plango pomoc przyrzeka, ale zwleka z nią i budzi chytrze litość matki do płodu jej łona. Wreszcie podsuwa jej taką myśl: Jeśli Kallirroe wyjdzie za Dionysiosa, to siedmiomiesięczny jej syn będzie uchodził za potomka pierwszego z Jonów i zostanie jego spadkobiercą. Kallirroe się waha: dopuszcza do głosu męża, którego podobizna zdobi sygnet; a że Chajreasz poruczył we śnie jej opiece syna, sądzi, że uzyskała jego pozwolenie na ów krok. Także milczenie dziecka na swoją tłumaczy korzyść. Wreszcie sama broni przed sobą swego postanowienia i każe opiekunce swej i kusicielce Plango uwiadomić pana, że gotowa do ślubu.

Dionysios blizki był już dobrowolnej śmierci głodowej, gdy Plango donosi mu o gotowości Kallirroe wziąć ślub z nim. Skrupuły co do mezaliansu zniknęły, odkąd dowiedział się, że to córka stratega Syrakuz Hermokratesa, któremu nawet król perski posyła dary, jako pogromcy Ateńczyków. Więc zaraz odbywa się huczne wesele, a po siedmiu miesiącach Kallirroe wieńczy szczęście męża synem. »Co się dalej stało, opowiem później. Chcę bowiem naprzód opowiedzieć, co się w tym samym czasie stało w Syrakuzach« (III, 2 fin.). Chajreasz, składając na grobie żony ofiarę, spostrzegł, że grób otwarty. Przerażony biegnie do miasta. Zbiegł się lud i wnet przekonano się, że kosztowności zabrane a zwłok niema. Zrozpaczony Chajreasz przypuszcza, że któryś z bogów porwał Kallirroe do nieba. Trzeźwiejszy Hermokrates natychmiast wydaje polecenia co do ścigania grobołupców. Chajreasz płynie na okręcie przez morze jońskie. Tam chwyta statek korsarski, którego załoga składa się ze samych trupów. Na tym statku znajdują kosztowności, skradzione w grobie Kallirroe i wyciągają z kąta jakiegoś żywego człowieka. Objaśnia on, że przypadkiem dostał się w ręce korsarzy. Bogowie nie pozwolili ich statkowi nigdzie wylądować tak, że z braku wody do picia wszyscy wymarli. On sam ocalał, widocznie dzięki swej sprawiedliwości i pobożności. — Po przybyciu do Syrakuz opowiada Chajreasz na zgromadzeniu ludu o wynikach swej wyprawy, powtarza też swe wymysły Theon. Bo to on był owym cudownie ocalonym pasażerem, który życie swe zawdzięczał temu, że ukrył przed towarzyszami kubłak wody. Poznaje go na zgromadzeniu jakiś rybak, który go widział w dzień pogrzebu Kallirroy myszkującego po porcie. Na rozkaz Hermokratesa biorą go na tortury i tu wyznaje Theon wszystko aż do sprzedania Kallirroy Dionysiosowi. Natychmiast jedzie Chajreasz na trójwiosłowcu do Miletu i zaraz przy pierwszej modlitwie w świątyni Afrodyty spostrzega złoty posąg

swej żony i dowiaduje się od kapłanki o jej losie Nim się Chajreasz zdecydował na jakiekolwiek przedsięwzięcie, Fokas, widząc niebezpieczeństwo, grożące szczęściu pana, uwiadomił poblizką załogę perską, że to korsarski statek zatrzymał się w pobliżu Miletu. Persowie napadają więc w nocy na towarzyszy Chajreasza, jednych zabijają, drugich biorą do niewoli. W liczbie jeńców znajduje się też Chajreasz z Polycharmem; obu Persowie ofiarowują satrapie Karyi, Mitrydatesowi. W Milecie rozchodzi się wieść, że wszyscy przybysze zostali przez Persów wymordowani. Kallirroe, która z opowiadania kapłanów wywnioskowała, że mąż jej był w świątyni, wierzy w jego śmierć i za pozwoleniem Dionysiosa wznosi nad brzegiem morza Chajreaszowi taki sam kenotaf, jaki ona miała w Syrakuzach. Podczas jakichś ofiar nagrobnych zobaczył ją wspomniany Mitrydates i naturalnie natychmiast się w niej gwałtownie zakochał. Ale najznakomitszemu Milezyjczykowi, przyjacielowi króla perskiego, porywać żonę wydawało mu się zbyt ryzykownem przedsięwzięciem. Los nastręczył mu inny sposób. Wśród niewolników, do których należeli i dwaj przyjaciele syrakuzańscy, wybuchł bunt przeciw nadzorcom. Bunt stłumiono, winnych skazano na szubienicę. Już wiedziono na stracenie Polycharma, gdy ten westchnął: Przez ciebie, Kallirroe, to cierpimy. Tyś wszystkiemu winna. Dozorca sądził, że więzień wymienił nazwisko jakiejś współwinnej, może sprawczyni całego spisku. Więc wiedzie Polycharmą do Mitrydatesa, a jeniec opowiada znaczenie swego westchnienia. Mitrydates rozkazuje natychmiast przywieść do siebie Chajreasza, okazuje mu ogromne współczucie, jako synowi bohaterskiego Hermokratesa i obiecuje pomoc w odzyskaniu żony. Chajreasz ma tylko napisać do niej list, donoszący jej o blizkim ratunku Drugi list pisze sam Mitrydates do Kallirroy z zapewnieniem swej pomocy. Oczywiście nie dla Chajreasza chce odzyskać Kallirroę, lecz dla siebie Ale oba listy dostają się w ręcę Dionysiosa. Ten uważa wiadomość o żywym Chajreaszu za wymysł i intrygę Mitrydatesa. Więc za pośrednictwem sąsiedniego satrapy zwraca się do króla ze skargą na Mitrydatesa Król powołuje oskarżonego i oskarżyciela wraz z żoną przed siebie do Babilonu. Mitrydates myśli z początku o jawnym buncie i zerwaniu z królem. Spokojna jednak rozwaga bierze górę. Więc zabrawszy Chajreasza, jedzie do Babilonu Z niechęcią zabiera Dionysios swą żonę w daleką podróż, ale poddaje się rozkazowi króla.

Tu (V. i n.) streszcza Chariton dotychczasowe wypadki, kreśli ogromne wrażenie, jakie piękność Kallirroe wywierała na spotykanych barbarzyńcach i doprowadza ją do Babilonu. W dzień procesu całe miasto na nogach i w sądzie. Po krótkiej rozprawie (znać w jej przedstawieniu

koncypienta adwokackiego) Mitrydates daje żyjący dowód swej prawdomowności: wprowadza na salę Chajreasza. Ogromna konsternacya u Kallirroe, większa u Dionysiosa. Między obu mężami powstaje gwałtowny spór. Król na razie odprawia w łasce Mitrydatesa, między obu mężami Kallirroe ma rozstrzygnąć na innej rozprawie. Przedmiot sporny idzie na przechowanie do haremu, pod opiekę żony króla, Statiry. Ale że król już na rozprawie zapłonął miłością do Kallirroe, dzień rozprawy ciągle odkłada, a tymczasem za pośrednictwem wiernego eunucha stara się Kallirroe pozyskać. Napróżno. Nie mniej niż Dionysiosa dręczy ta zwłoka Chajreasza.

Nagle przychodzi do króla wiadomość, że Egipt się zbuntował. (Historya nie zna takiego powstania za Artakserksesa II.). Król zbiera armię, zabiera cały harem, w nim i Kallirroę i rusza przeciw powstańcom. Towarzyszy mu Dionysios, któremu król przyrzekł po wyprawie oddanie żony. Tak przynajmniej donoszą Chajreaszowi. Zrozpaczony jedzie do samozwańczego króla zbuntowanych Egipcyan i ofiarowuje mu swe usługi. Egipcyanin oddaje synowi pogromcy Ateńczyków dowództwo nad flotą: na czele jej Chajreasz zwycięża flotę perską i zdobywa Tyr i Arad. Tu dostaje w swe ręce cały harem królewski wraz ze Statirą i Kallirroe. Przy podziale branek donoszą mu, że jedna z nich schroniła się do świątyni Afrodyty, zasłoniła swą twarz i oświadczyła, że żywa za nikim nie pójdzie. Chajreasz idzie się przekonać, co to za jedna.

Tu (ks. XIII. i n.) autor zaznacza, że zdaniem jego ostatnia księga będzie dla czytelników najprzyjemniejsza, bo w niej rozjaśnia i rozpogadza się wszystko, co dotąd było ciemne i zachmurzone. W bramie poznaje Chajreasz Kallirroe. Wkrótce donoszą mu, że król egipski pokonany. Nie ma już więc po co walczyć z królem. Odsyła mu Statirę z całym dworem i poleca się pamięci. Flotę swą zabiera ze sobą do Syrakuz, bo towarzysze nie chcą go opuścić. Odchodzącej Statirze wsunęła Kallirroe potajemnie liścik do Dionysiosa, polecający opiece jego dziecko. Że ono Chajreaszowe, o tem zamilczała. Nie wspomniała też o jego istnieniu mężowi. Statira opowiedziała królowi o wspaniałomyślności Chajreasza. Dionysios pocieszył się dobrem słowem i synem, a król wrócił do Babilonu. — W Syrakuzach opowiada Chajreasz na zgromadzeniu o swych losach i prosi o przyjęcie w poczet obywateli syrakuzańskich swych egipskich towarzyszów. Prośbę spełniono. A Kallirroe poszła Afrodycie podziękować za dotychczasową opiekę i prosi o szczęśliwe życie z mężem i wspólną śmierć.

»Tyle napisałem o Kallirroe«, dodaje autor i słusznie tylko bohaterkę na końcu wymienia. Ona tylko przedsiębierze jakieś plany i wy-

konuje je, okazuje wiele przytomności umysłu wśród korsarzy, wiele sprytu w wydaniu się za Dionysiosa, nie mało taktu w oszczędzającem pożegnaniu go i pozostawieniu mu syna, w którego autentyczność wierzył. Chajreasza charakter, zabarwiony na początku (dość niezręcznie) podejrzliwością i gwałtownością, zraża nas do siebie owem brutalnem kopnięciem żony, którego mu nie możemy zapomnieć, choć przez całe 6 ksiąg płacze i wzdycha i nosi się ciągle z zamiarami samobójstwa. Przemiana jego na bohatera wojennego, godnego syna Hermokratesa, przychodzi w VII. księdze tak niespodzianie, że nie możemy poznać dawnego płaczka, kierowanego zawsze przez mądrego Polycharma. — Jak bohaterowie, tak i inne osoby romansu mają kontury bardzo chwiejne, rysy bardzo blade. Jedynie herszt rozbójników Theon i satrapa Mitrydates a także koczotka Plango mają pewne zacięcie charakterystyczne w swej przewrotnej chytrości. Natomiast dwaj inni dostojni rywale Chajreasza, Dionysios i Artakserkses, są dziwnie łagodni i ludzcy. Grekowi nie można nawet odmówić wielkiej szlachetności. Tak dręczy się skrupułami, że pokochał niewolnicę, tak boi się mezaliansu, tak radośnie chwyta się myśli poślubienia córki Hermokratesa. Że skłania ją do bigamii, o tem nie wiedział. Nawet królowa Statira nie prześladuje pięknej rywalki, choć wie o namiętności męża. Przeciwnie, troskliwie się nią opiekuje. — Autor, który otoczył wszystkie osoby tą atmosferą łagodnej humanitarności, nie czuł pociągu ani zdolności do kreślenia czarnych charakterów. Miękka nerwowość i płaczliwość osób, piękne ich westchnienia i pełne uczucia monologi dowodzą talentu lirycznego. Ale rozwinięciu się tej liryki stoi na przeszkodzie szkolna retoryka. Dobrze dysponowane mowy, a raczej deklamacye układa autor przy każdej sposobności. Natomiast w epice jest blady i konwencyonalny.

Opowiadanie jego jest prostolinijne, bez zbaczań i epizodów. Dyspozycya jasna, poparta streszczeniami ubiegłych wypadków ale mechaniczna. Formuły: »Tyle o tem. Teraz chcę mówić o tem« dowodzą wielkiej nieporadności kompozytorskiej. A psychologia ogranicza się do katalogów uczuć i afektów. N. p. Zmartwychwstała Kallirroe słyszy hałas przy drzwiach grobowca (I., 9)« Ogarnęło ją równocześnie wszystko: strach, radość, smutek, zdziwienie, nadzieja, niedowierzanie«. Albo: Dionysios czyta przejęte listy Mitrydatesa (IV, 5): »Ogarniały go rozmaite uczucia: otucha, rozpacz, strach, niedowierzanie«. I tak zawsze.

Gdzie nie ma charakterów, gdzie uczucia i namiętności nie przychodzą do głosu, tam akcya musi zależeć od wypadków zewnętrznych, od przypadku. I rzeczywiście bogini przypadku, Τύχη, dominuje nad wypadkami i osobami, do niej wciąż zwracają się nieszczęśliwi bohaterowie

z wyrzutami Obok niej inne bóstwa ustępują na dalszy plan Wprawdzie do Afrodyty często się bohaterowie modlą, ale działanie i jej i Erosa nie bardzo jest widoczne. Wina to, zdaje się, redaktora naszego tekstu, który na początku opuścił wzmiankę, że Kallirroe była nieczuła na westchnienia zalotników, a dumna ze swej piękności i tem obraziła Afrodytę. Taksamo Chajreasz ściągnął na siebie gniew Erosa Obrażeni bogowie połączyli ich tylko po to, aby ich czemprędzej rozdzielić i rzucić na fale Tyche. Dopiero po odbytej pokucie bóstwa znów okazują się łaskawe.

Romans Charitona należał do dość wczesnych okazów tego gatunku. Tem się może tłumaczy milczenie o nim i w starożytności i u Bizantyjczyków. Ale na rozwój romansu wywarł ogromny wpływ, stał się wzorem i skarbnicą motywów dla wszystkich zachowanych romansopisarzy. Nawet liczba 8 ksiąg, przejęta z Tucydydesa, którego styl Chariton przedewszystkiem naśladuje (v. Cobet, Mnemos. VIII, 251), była miarodajna, chociaż w wielokrotności. Bo następcy Charitona, naśladując go, starają się go przewyższyć, przelicytować.

Tak przedewszystkiem Syryjczyk Jamblichos, którego zaginiony romans p. t. Τῶν περὶ Σινωνίν καὶ Ῥοδάνην Βαβυλωνιακῶν λόγοι ις' (XVI) streścił Focyusz w 94. kodeksie swej Biblioteki. Konwencyonalna treść romansu na XVI. księdze zupełnie wyczerpana. Więc liczbę 35 lub 36 ksiąg Suidasa musimy przypisać nieporozumieniu. Jak Chariton na początku, tak Jamblich w środku romansu. przy sposobności opisu babilońskiej magii, wspomniał o sobie, pisząc, że zna ją z praktyki, bo sam jest magiem babilońskim (c. 10 Fot.). Żył zaś pod berłem armeńskiego króla, Soajmosa, byłego senatora i konsula rzymskiego (oczywiście tytularnego). Dio Cassius (LXX, vol. IV. p. 171 Dind.) donosi, że tego Soajmosa osadził na tronie Lucius Verus po ukończeniu znanej czteroletniej wojny z Partami. Wojnę tę i jej przebieg przepowiedział był Rzymianom sam Jamblich. Notatka marginesowa kodeksu Bessariona (A) Biblioteki Focyusza, oparta widocznie na pełnym tekście, uzupełnia powyższe wiadomości o tyle, że objaśnia babilońską erudycyę Jamblicha. Gdy Trajan zdobył Babilon (r. 115/116), zabrał do niewoli uczonego maga, którego kupili syryjscy nauczyciele Jamblicha i oddali mu wychowanie syna. On to wyuczył Jamblicha i języka babilońskiego i magii i opowiedział mu babilońską historyę o Sinonidzie i Rodanesie. Ostatni szczegół jest jednak tylko fikcyą źródłową, skoro opowiadanie Jamblicha nie odbiega od szablonu romansowego.

Chariton opowiadał o miłości barbarzyńskiego króla do żony jego poddanego. Motyw ten bierze Jamblich za oś swej opowieści. Tylko że łagodnego Artakserksesa zastępuje okrutnym Garmusem, królem Babi-

lonu. Rozgorzał on namiętnością do pięknej Sinonis, młodej żony Rodanesa. Ona gardzi jego pokusami. Więc król każe ją okuć złotym łańcuchem, a Rodanesa przybić do krzyża. — Jak Chajreasza imię Kallirroy, tak Rodanesa sama Sinonis ratuje od śmierci i ułatwia mu ucieczkę. Król wysyła w pogoń za zbiegami dwóch eunuchów, Sakasa i Damasa. Damas odnajduje ślad do jakiejś łąki, gdzie Rodanes odkrył był podziemny skarb, ale pary już tam nie zastaje Tylko znaleziony wieniec Sinonidy może posłać królowi na znak, że jest na tropie. Jadowite pszczoły ratują parę od pościgu żołnierzy Damasa, którzy już wdzierają się do jaskini, kryjówki zbiegów. Ale spożycie miodu owych pszczół przyprawia oboje po wyjściu z groty o omdlenie. Żołnierze uważają ich za martwych i zwyczajem babilońskim rzucają na ich zwłoki szaty, chleb i mięso Damas posyła królowi tylko warkocz Sinonidy, znaleziony w grocie. — Kruki, bijące się nad pozornymi zwłokami o mięso, przywracają omdlałym przytomność. Zabierają więc ofiary żołnierzy, umieszczają je na dwóch osłach, przy drodze się pasących i uciekają dalej, aż na noc stanęli w jakiejś gospodzie. Brat gospodarza zamordował go w owej właśnie nocy. Podejrzenie pada na nocujących tam przybyszów. Ale morderca się przyznaje, a Rodanes, wziąwszy sobie na pamiątkę trochę trucizny, od której zginął gospodarz, jedzie z żoną dalej. Los prowadzi ich do domu zbója i ludożercy, na którego żołnierze Damasa właśnie urządzali obławę. Dom już płonie; Rodanes zabija kradzione osły, rzuca ich zwłoki w ogień i drogą w ten sposób utorowaną ucieka wraz z Sinonidą. Żołnierze uważają ich za duchy pomordowanych i puszczają wolno Uciekający natrafiają po drodze na pogrzeb dziewczyny, którą jakiś mag wskrzesza. Ten sam mag przepowiada Rodanesowi, że zostanie królem. Przyszły władca szczęśliwy na razie, że może odpocząć w grobie wskrzeszonej dziewczyny i pokrzepić się ofiarami. Także szaty niedoszłej zmarłej przydają się prześladowanej parze. Niestety te same szaty są powodem, że ich posiadacze, jako okradacze grobów, zostają pojmani i poprowadzeni przed sędziego Sarajchosa, zwanego Sprawiedliwym. Sarajchos przeznacza piękną parę na podarunek dla — króla Garmusa Więc Rodanes postanawia siebie i żonę otruć pamiątkową trucizną. Ale wierna niewolnica podsunęła mu w ostatniej chwili proszek na spanie Śpiący jadą mimowoli do Babilonu. Budzą się dopiero tuż przed miastem. Rodanes rzuca się na swój miecz i ciężko się rani. Sarajchos pyta o przyczynę, a dowiedziawszy się historyi pary, postanawia ją ukryć przed gniewem króla i wiezie ją na wyspę Afrodyty, oblaną Eufratem i Tygrysem.

Kapłanka Afrodyty miała dwóch synów, Eufratesa i Tygrysa, zupełnie podobnych do Rodanesa, i córkę Mezopotamię, sobowtór Sinonidy. Tygrys niedawno umarł. Więc przybywającego Rodanesa uważa kapłanka za zmartwychwstałego syna, za którym z podziemia przyszła Persefone. Bo tę boginię widzi w Sinonidzie. Rodanes już wyleczył się z rany, gdy Damas dowiedział się o miejscu jego pobytu i o opiece Sarajchosa. Więc tego aresztuje, a do kapłanki Afrodyty posyła lekarza z listem, domagającym się natychmiastowego wydania zbiegów. Ale lekarz, przepływający na wielbłądzie rzekę, tonie, w uchu ocalonego zwierzęcia znajduje Rodanes ów list i natychmiast zabiera żonę i ucieka. Po drodze oswobadza Sarajchosa i w trójkę dalej uciekają. Damas nie zastał już zbiegów na wyspie. Ale że kapłan wołał na Eufratesa: Rodanes, bo sam nie mógł rozróżnić sobowtórów, Damas pojmał go i doniósł o tem królowi. Mezopotamia w sam czas uciekła, by jej nie spotkał los, należny Sinonidzie.

Uciekająca trójka stanęła u jakiegoś gospodarza, którego córka, ostrzyżona z powodu niedawnego wdowieństwa, ma zastawić u złotnika złoty łańcuch Sinonidy. Złotnik poznaje swą robotę, uważa ostrzyżoną kobietę za Sinonidę i każe ją mieć na oku. O znalezieniu jej uwiadamia Damasa. Prześladowana przez zbirów kobieta chroni się do pustego domu, gdzie właśnie niewolnik morduje swoją kochankę i siebie. Zbryzgana ich krwią ucieka dalej i opowiada ojcu scenę ze złotnikiem. Ostrzeżona para szuka więc innego schronienia. W drodze spostrzega Sinonis na wargach Rodanesa ślady krwi. Pochodzą one od pożegnalnego pocałunku, złożonego na ustach zbroczonej krwią córki gospodarza. Sinonida przypuszcza, że ten pocałunek jest tylko jednym momentem w wiarołomstwie Rodanesa, robi mu więc gwałtowną scenę zazdrości (jak Chajreasz Kallirroe) i spieszy, by ukarać cudzołożną niewiastę. Po drodze przyjął ją w gościnę bogaty rozpustnik, którego natarczywość karze Sinonis w nocy śmiercią. Pojmali ją niewolnicy zamordowanego i posyłają do króla. Ten dowiedział się był z listu złotnika, że Sinonis się znalazła. Więc wydaje edykt, uwalniający wszystkich więźniów. Skutkiem tego i morderczyni owego rozpustnika odzyskuje wolność. Za to Mezopotamię posyła Sakas wraz z Eufratesem królowi, jako Sinonidę i Rodanesa.

Tymczasem pies Rodanesa znalazł we wspomnianym domu dwoje zwłok i ogryzł je do niepoznania. W tym stanie zastał je ojciec Sinonidy, poznał psa swego zięcia, psa zabił, zwłoki pochował, a na grobie napisał: Tu leży piękna Sinonis. Poczem się w tej samej izbie powiesił. Nadbiega na to Rodanes, szukający swej żony, czyta jej napis grobowy, rani się i krwią pisze na ścianie: »I piękny Rodanes«. Już ma dokoń-

czyć samobójstwa, gdy przybiega owa skrwawiona pocałowana, donosi, że Sinonis żyje, wydziera miecz Rodanesowi a stryczek Sarajchosowi i wraca z ocalonymi do ojca. Gdy w izbie została tylko córka gospodarza z rannym Rodanesem, nadbiega zazdrosna Sinonis i rzuca się z mieczem na rzekomą rywalkę. Rodanes przeszkadza morderstwu, a wtedy Sinonis z okrzykiem: »Zapraszam Cię jeszcze dziś na wesele z Garmusem!« wybiega.

Tymczasem Garmus poznał nieautentyczność przysłanej mu pary i kazał ją zgładzić. Ale kat zakochał się w Mezopotamii i odesłał ją do egipskiej królowej Berenike. Ta zaopiekowała się dziewicą, za co jej Garmus wypowiada wojnę. Także Eufratesowi udaje się ujść śmierci. A i pojmany Sarajchos, którego mają przybić do krzyża na owej łące, gdzie Rodanes odkrył niegdyś skarb, przekupuje eskortujących go najemników Garmusa, Alanów, zostaje ich królem i pokonuje ostatecznie Garmusa. Nim się to jednak stało, mają w obecności Garmusa przybić do krzyża pojmanego Rodanesa. Podczas egzekucyi przynosi Sakas królowi list, donoszący, że Sinonis wychodzi za króla syryjskiego. — Jak Dionysios w sprawie Artakserksesa, tak teraz uwolniony Rodanes ma walczyć w interesie Garmusa, a w razie zwycięstwa otrzymać swą żonę. Garmus dał wprawdzie tajemne zlecenie zgładzenia go w razie zwycięstwa ale zlecenia tego nie spełniono, bo nim Rodanes pokonał Syryjczyków i odzyskał żonę, Sarajchos usunął Garmusa i powracającemu zwycięzcy Syryjczyków oddał tron babiloński.

Tę dziką historyę prześladowania i ucieczki ozdobił Jamblich wielu epizodami treści po części antykwarycznej, jak dyskurs o rodzajach magii, po części etnologicznej, po części nowelistycznej. Tak opowiadanie o konkurentach Mezopotamii, córki kapłanki Afrodyty (c. 8 Fot.) ma analogie w opowieściach wschodnich. Afrodyta musiała odgrywać w losach kochanków rolę, podobną do tej, jaką ma choćby tylko u Charitona. Ale pobieżne streszczenie Focyusza o tem nie wspomina. Z niego idei przewodniej opowieści poznać nie możemy: widzimy tylko szereg bezładnych awantur.

Cały szereg zachowanych ekscerptów (w wydaniu erotyków Herchera) dowodzi popularności Jamblicha w Bizancyum. Focyusz, czytając jego romans, miał wrażenie, że szkoda tak pięknego stylu i zgrabnej kompozycyi na tak dziecinne wymysły (παίγνια καὶ πλάσματα) i żałował, że Jamblich nie obrał jakiegoś poważnego tematu (σπουδαῖα πράγματα). Widocznie Jamblich nie bardzo na seryo traktował swe babilońskie tradycye. Mimo to podobał się i jeszcze w XVII. w. znalazł naśladowcę

we Filipie von Zesen, autorze »Afrykańskiej Sofonisby«, naśladowanej ze Sofonisby panny Scudéri.

Niemniej, a raczej bardziej od babilońskiej, słynęła w czasach po-Chrystusowych magia egipska. Tę wprowadził do romansu Antonius Dyogenes, autor 24 ksiąg (Chariton potrojony) »Nieprawdopodobieństw po za Tulą« (Τῶν ὑπὲρ Θούλην ἀπίστων λόγοι κδ'). Już sam tytuł wskazuje, że antykwaryczny i etnologiczny balast Jamblicha znalazł zastępstwo w paradoksografii, która tak bujną miała literaturę w epoce aleksandryjskiej. Focyusz, któremu zawdzięczamy (cod. 166) wyciąg tego dzieła, zaznacza wyraźnie (c. 11 Fot.), że Antonius Dyogenes powoływał się na świadectwa starożytnych pisarzy, których dzieła mozolnie zekscerpował. Pewne wyobrażenie o tej całej literaturze daje nam Lukianowa »Prawdziwa Historya«, w której jednak nie wolno dopatrywać się z Focyuszem i Rohdem parodyi Antoniusa. Lukian wyszydza tylko fantastyczne opowiadania podróżne. Gdyby miał na myśli Dyogenesa, musiałby był wprowadzić parę miłosną. A pewne punkty styczne tem się łatwo tłumaczą, że Lukian parodyuje autorów, z których czerpał Antonius.

Rolę prześladowcy Garmusa obejmuje u niego egipski czarnoksiężnik Paapis, rolę opiekuna, Sarajchosa, Pitagorejczyk Astrajos. Prześladowani nie są małżeństwem, lecz rodzeństwem. Nazywają się Mantinias i Derkillida. Poznał ich Arkadyjczyk Dejnias w Tule, dokąd przybył z towarzyszami podczas podróży, mającej na celu jedynie szukanie przygód, a poznał ich w osobliwszym stanie. Przez dzień byli zmarłymi, na noc odzyskiwali życie. Dejnias pokochał Derkillidę, której noc wystarczała do rozmaitych znajomości i miłostek, i dowiedział się od niej przyczyny owej półśmierci. Do Tyru, gdzie mieszkało rodzeństwo przy rodzicach, przybył egipski czarnoksiężnik Paapis, znalazł u nich gościnne przyjęcie i skłonił raz brata i siostrę, by rodzicom dali jakiegoś proszku na sen. Po zażyciu rodzice zmarli a mimowolni trucicielе szukali w ucieczce ratunku przed odpowiedzialnością. Przez Rodus, Kretę i Etruryę przybyli do Kimmeryów i tu wstąpiła Derkillis do Hadesu i od duszy swej pokojówki, Myrto, dowiedziała się tajemnic życia pozagrobowego. Wszędzie ściga ich Paapis. W kraju Kimmeryów rodzeństwo się rozstaje i Derkillis odbywa dalszą podróż w towarzystwie kochanka Keryllosa i tajemniczego Astreusza, ucznia Pitagorasa. Ten wybawia ją ze wszystkich obieży. Keryllosa nie może uchronić przed śmiercią, bo ciężą na nim dawne winy. Przez kraje Iberów, Celtów, Akwitanów i Artabrów, o których autor opowiadał rozmaite »nieprawdopodobieństwa«, przybywa Derkillis do Asturów, gdzie ją Astrajos opuszcza. Dostaje się wreszcie na Sycylię. Tu popada w moc tyrana z Leontini, Ajnesidemosa (około r. 490), na

którego dworze spotyka i — Paapisa. Na szczęście bawi tam i Mantinias. Z jego pomocą wykrada Paapisowi czarnoksięskie księgi i zioła i ucieka do Regium, stąd do Metapontu. W tej siedzibie związku Pitagorejskiego przebywa także Astrajos, który ich ratuje przed pościgiem Paapisa, zabierając ich do swego dawnego towarzysza, Gety Zamolksisa. Zamolksis oczyszcza parę z dawnego przewinienia i zwiastuje, że ostateczna pokuta musi się odbyć w Tule. Tam też jadą, ale już bez Astrajosa; dogania ich Paapis, pluje na nich i pozbawia przez to na każdy dzień życia. Wprawdzie czarnoksiężnika zabił jeden z kochanków Derkillidy, ale czar został. Dopiero towarzysz Dejniasa, Azulis wyczytał w księdze Paapisa formułę zbawczą i rodzeństwu przywrócił normalne życie. Oboje wracają coprędzej do Tyru, by i rodziców wskrzesić z pomocą owych ksiąg. Dejnias zwiedza jeszcze z towarzyszami — księżyc, gdzie mu Sybilla pozwala wypowiedzieć jakieś życzenie, a natychmiast się spełni. Dejnias chce się natychmiast znaleźć w Tyrze, przy Derkillidzie. I natychmiast zastał rodzeństwo zdrowe, rodziców wskrzeszonych. Ożenił się więc z tulską kochanką i nie wrócił już do Arkadyi. Gdy Arkadyjczyk Kymbas przyjechał w imieniu państwa, by go zabrać do ojczyzny, on oświadczył, że na stare lata nie ma już ochoty puszczać się w podróż. Opowiedział mu tylko koleje swego życia i kazał to opowiadanie spisać w dwu egzemplarzach. Jeden zabrał Kymbas, drugi włożono do grobu Dejniasa.

Kiedy Aleksander W. zdobył Tyr — pisze oficer jego Balagros do żony swej, File, — znaleziono w grobowcu przed murami miasta 6 kamiennych trumien z takimi napisami: Mantinias, syn Mnazona, żył 42 lata i 760 nocy Derkillis, córka Mnazona, żyła 39 lat i 760 nocy itp. Tajemnicę tych napisów rozjaśniła znaleziona w grobowcu skrzynka, w której na tabliczkach cyprysowych spisana była historya Dejniasa. Balagros kazał ją odpisać dla żony, z jego odpisu posyła ją Antonius Dyogenes siostrze swej Izydorze, żonie Faustinusa. Jej bowiem dedykowane było dzieło we wstępnym liście, opowiadającym o źródłach powieści. Ἄπιστα były tylko przysmakiem i przynętą dla żądnej tego rodzaju awantur publiczności. Celem romansu było szerzenie nauki nowo-pitagorejskiej, reprezentowanej przez Astrajosa i Zamolksisa. Idea grzechu (otrucie rodziców), pokuty i wybawienia ode złego przez naukę i opiekę Astrajosa i Zamolksisa aż zbyt wyraźnie przeprowadzona. Wobec niej nawet element erotyczny schodzi na dalszy plan. Wszystko to przesuwa romans Antoniusa w sferę tych Nowopitagorejczyków, których świętym był Apoloniusz z Tyany. W ich kołach wskrzeszano stary, fantastyczny życiorys Pitagorasa, skomponowany jeszcze w IV. w. przez Arystoksenosa

z Tarentu. Apolloniusz wydął ten żywot do rozmiarów historyi świętego cudotwórcy, a inni Pitagorejczycy szerzyli propagandę swej nauki w historyach o ludziach zaczarowanych, których dopiero nauka Pitagorasa zbawiła. Parodyę na te opowiadania napisał po roku 100 po Chr. Lukios z Patrae, opowiadając o swej przemianie w osła, długich cierpieniach w oślej skórze i ostatecznem wybawieniu. Zachowany wśród pism Lukiana Λούκιος ἢ ὄνος streszcza dość wiernie tę historyę, podczas gdy Apulejuszowe Metamorfozy napełniają parodyę pitagoraizmu znów duchem religijnym. Ale dopiero w zakończeniu. Ono to rzuca na całą bardzo realistyczną historyę światło allegoryczne. Lubieżność i niepowściągliwość zrobiły człowieka bydlęciem. Misterye Izydy przywracają mu znów godność człowieczą. Ta sama idea przewodnia ożywia Apulejuszowskie opowiadanie o Amorze i Psyche. Pierwotnie była to ludowa baśń o królewnie, wydanej za nieznanego męża, o którego pochodzenie nie wolno się było pytać. Królewna mimo to zapytała się, królewicz przemienił się w smoka i znikł. Dopiero przez pokutę królewny, wiele cierpień i nieszczęść, królewicz odzyskał ludzką postać, a królewna męża. Tę baśń jakiś Grek zallegoryzował, nadając bohaterce imię Psyche, bohaterowi Eros. To pociągnęło za sobą wprowadzenie zagniewanej na Psyche Afrodyty, ale pozostało bez wpływu na samo opowiadanie. W każdym razie imiona prowadziły na myśl: dusza ludzka traci przez przewinienie boskiego Erosa; przez pokutę znów go odzyskuje.

Wprowadzenie w romans motywów ludowych, ożywienie całości tendencyą budującą podziela z Antoniusem Diogenesem i autorem Erosa i Psyche grecki twórca historyi Apolloniusza. Jeżeli Klebs udowodnił, że pierwotna redakcya łacińska tego dzieła pochodzi z pierwszej połowy 3. w. po Chr., to po wywodach Wilckena i Bürgera nie można wątpić, że grecki oryginał trzeba umieścić z końcem w. II. Chrześcijański redaktor zachowanego tekstu usunął opiekę pogańskich bogów nad bohaterami, ale i przez jego przeróbkę przebija budująca tendencya romansu: bogowie piorunem zabijają kazirodczego Antyocha i jego córkę, ratują w cudowny sposób Archestratis. Jak w romansie Jamblicha, tak i tu wskrzesza niesioną już do grobu lekarz. I nad małą Tarzyą roztaczają swą opiekę, budzą litość w sercu niewolnika, który ma ją już zamordować, nie pozwalają jej nawet podczas mimowolnego pobytu w domu nierządu stracić czystości. Zła macocha, a raczej opiekunka Tarzyi i jej mąż ponoszą też zasłużoną karę, a wracający z Egiptu Apolloniusz odzyskuje i córkę i żonę i pozyskuje koronę Tyru i Kyreny.

Do tej grupy budujących romansów należy i pięć ksiąg historyi efezyjskich o Antei i Habrokomesie (Τῶν κατὰ Ἀνθείαν καὶ Ἀβροκόμην

Ἐφησιακῶν βιβλία ε'), dzieło Ksenofonta z Efezu (1. wyd. w r. 1726, przedtem po włosku 1723). Względy językowe (wolność od sofistycznej ἀφέλεια, nieużywanie dualis, fut. III. i rzadkie używanie optativu) i kompozycyjne kazałyby go umieścić jak najbliżej Charitona. Dokładna znajomość świątyni Artemidy w Efezie, którą zniszczyli Gotowie w r. 264, kwitnący stan wyroczni Apollina klaryjskiego, milczącej po wieku III., określają terminus ante quem. Przegląd motywów każe go umieścić po Jamblichu i autorze historyi Apolloniusza. Rzecz zaczyna się jak u Charitona: Żył w Efezie piękny młodzieniec, Habrokomes, czczony jak bóg i gardzący Erosem. Na procesyi Artemidy zobaczył piękniejszą od siebie Anteję w stroju samej Artemidy lub jej towarzyszki. Lud widząc ich, woła: Jakaby to dobrana była para! Anteja czuje, że przy składaniu ofiar patrzy na nią Habrokomes. Więc odsłania, co tylko może (μέρη τοῦ σώματος ἐγύμνωσεν ἂν τὰ δυνατά), by Habrokomes widział, i mówi wiele do towarzyszek, by ją słyszał. Po powrocie do domu musi młodzieniec wyznać, że jest niewolnikiem Erosa. Cierpi, ale milczy. Taksamo Anteja choruje z miłości. Zrozpaczeni rodzice pytają się (jak rodzice Kydippy Kallimachowej) wyroczni Apollina kolofońskiego o radę. Wyrocznia widzi dla obojga jedno lekarstwo, ale dodaje, że czeka ich wiele tułaczek i prześladowań, nim z nad brzegów Nilu wrócą szczęśliwi do domu. Odbywa się wesele, nawet rozpoczęcie pożycia małżeńskiego opowiada autor dokładnie (I 9, jak w historyi o Ninusie). O wyroczni młodzi nie myślą. Bardziej niepokoi ona rodziców, którzy w przepowiedni tułaczek widzą rozkaz do podróży (tak Zamolksis kazał winowajcom jechać do Tule), przygotowują okręt i państwo młodzi odpływają, sami nie wiedząc, po co i dokąd. Podczas żeglugi przysięgają sobie wzajemną wierność — i odtąd cały romans jest wielką pochwałą wierności małżeńskiej, która przecież stanowiła i przewodnią myśl Odyssei. Zatrzymują się na Rodos, składają w świątyni Heliosa dary wotywne, poczem płyną dalej. Sny ostrzegają bohatera przed jakiemś nieszczęściem. Spełnia się ono, bo korsarze feniccy napadają i palą efezyjski okręt, załogę zabijają a Anteję i Habrokomesa biorą do niewoli. Korsarze stali na żołdzie bogatego kupca z Tyru, Apsyrtesa, do niego też wiozą zdobycz. Podczas podróży herszt ich Korymbus zapłonął miłością do Habrokomesa, podwładny jego Euksinus do Antei. Obaj starają się pozyskać przedmioty swej miłości i Korymbus wstawia się za Euksinusem u Habrakomesa, Euksinus za Korymbusem u Antei. Zrozpaczona para widzi w tem karę za dawną hardość wobec Erosa i myśli o samobójstwie. Nim do tego przyszło, wrócił Apsyrtes i jeńców zachował dla siebie. Po kilku dniach wyjechał za interesami do Syryi.

Skorzystała z tego córka jego Manto i za pośrednictwem sług i listu wyznała Habrokomesowi swą miłość (jak u Charitona król Kallirroi) i obiecując małżeństwo, prosiła o schadzkę. Habrokomes odpisuje, że wolałby umrzeć, niż spełnić jej życzenie. Manto myśli o zemście. Więc gdy ojciec wrócił, przywożąc ze sobą narzeczonego dla córki, Mojrisa, ona zabawiła się w Fedrę, oskarżyła niewolnika o zakusy na jej czystość i spowodowała wychłostanie Habrokomesa w oczach Antei. Habrokomes idzie do więzienia. Anteję zabiera ze sobą jako niewolnicę Manto, wracająca z poślubionym Mojrisem do Syryi. Tu wydaje niewolnicę za pasterza kóz Lampona, który jednak gotowy jest na prośby żony nie korzystać ze swych praw (jak wieśniak, za którego Eurypidesowa Klytajmestra wydała Elektrę). Gdy jednak i Mojris zbyt począł się interesować piękną żoną koziarza, Anteja rozkazuje ją potajemnie zabić (jak opiekunka Tarzyi swą pupilkę). Ale Lampon (jak niewolnik Tarzyi) lituje się nad idealną żoną i sprzedaje ją kupcom z Cylicyi.

Manto uwiadomiła listownie ojca, że Anteję sprzedała, by nie dawać Mojrisowi okazyi do cudzołostwa. Apsyrtes przekonał się tymczasem o niewinności Habrokomesa (z listu Manto, zostawionego w więzieniu) i uczynił go swym włodarzem. Uwiadomił go też o doniesieniu Manto. Habrokomes natychmiast jedzie do Syryi, dowiaduje się od Lampona, że Anteja sprzedana do Cylicyi, i jedzie tam. W lesie spotyka się z dowódcą zbójców Hippothoosem, którego bandę rozbił irenarcha (ὁ τῆς εἰρήνης τῆς ἐν Κιλικίᾳ προεστώς) Perilaos z Tarsu. Razem ze zbójcą szuka Habrokomes żony po Kappadocyi i raz, przy wieczerzy, słyszy jego historyę. Z porządnego obywatela peryntyjskiego uczyniła go nieszczęśliwa miłość chłopięca rozbójnikiem. Wspomina też, że towarzysze jego mieli w Cylicyi ofiarować Aresowi piękną brankę. Już ją przywiązali do drzewa i mieli strzelać, gdy Perilaos napada z wojskiem na bandę i oswobadza brankę. Rysopis mówi Habrokomesowi, że to jego żona. Spieszy więc do Tarsu i tu dowiaduje się, że Anteja umarła Perilaos zakochał się w niej i pragnął ją zaślubić. Ona wyprosiła sobie 30 dni zwłoki, a w dzień ślubu zażyła proszek, dany jej przez jakiegoś efezyjskiego lekarza i umarła. Pochowano ją uroczyście. W grobie jednak obudziła się z letargu (jak Sinonis po zażyciu proszku Sarajchosa), ale nie miała czasu rozmyślać nad swem położeniem, bo porwali ją plądrujący grób zbójcy (jak Kallirroe). Oczywiście Habrokomes nie zna losów Charitonowej Kallirroe, więc w żalu za zmarłą jedzie w tajemnicy przed Hippothoosem do Aleksandryi, by tu może choć zwłoki porwane odszukać. Do Aleksandryi zawinęli też grobołupcy i sprzedali Anteję jakiemuś królikowi indyjskiemu, Psammisowi. W zabobonnego

barbarzyńcę wmówiła branka, że jeżeli nie chce narazić się na gniew Izydy, której jest poświęcona, to rok jeszcze musi czekać na jej wianek.

I Habrokomes dostaje się w ręce zbójców, egipskich bukolów, którzy sprzedają go staremu Araksosowi. W jego domu czeka go rola Hippolita wobec namiętnej Kynno, żony starca. Ta sądząc, że obecność męża wstrzymuje niewolnika od spełnienia jej woli, morduje męża, ale przez to jeszcze bardziej zraża ukochanego. Więc wrząc żądzą zemsty, oskarża go o zamordowanie pana i oddaje w moc rządcy (ἄρχων) Egiptu. Skazanego na krzyż przybijają żołnierze nad brzegiem Nilu do szubienicy. Habrokomes modli się do Heliosa, prosząc o pomoc. Natychmiast gwałtowny wiatr obala szubienicę do wody, a Habrokomes płynie na niej aż do ujść Nilu. Tu wyławiają go żołnierze i znowu wiodą do archonta. Ten rozkazuje go teraz spalić na stosie. Ale gdy wskutek nowej modlitwy wody Nilu gaszą stos, archon widzi w tem rękę bożą, rozkazuje opowiedzieć sobie jeszcze raz sprawę Araksosa i dowiedziawszy się prawdy, Habrokomesa uwalnia a Kynno każe stracić.

Na Psammisa, jadącego z Anteją do Indyi, napadają zbójcy pod dowództwem Hippothoosa, który tymczasem wrócił do dawnego zatrudnienia, i zabierają Anteję do niewoli. Herszt jej nie poznaje, zwłaszcza że nazwała się Memfitis i oddaje ją pod straż Anchialusa. Ten tak natarczywie stara się o jej miłość, że ona, broniąc swej cnoty, zabija go (jak Sinonis starego rozpustnika). Zbójcy wrzucają ją za karę do głębokiego dołu wraz z dwoma srogimi psami, aby tam zginęła z głodu lub od psów. Ale ujęty miłością stróż jej, Amfinomus, dostarcza jej potajemnie chleba i wody, któremi żywią się też coraz bardziej łagodne psy.

Habrokomes pojechał tymczasem do Syrakuz. Tu podejmował go stary rybak, przechowujący mumię swej żony, o której opowiedział mu romantyczną historyę.

Prefekt Egiptu, oczyszczając przy pomocy krewnego swego, Polyidosa, kraj od zbójców, rozbił i bandę Hippothoosa. W ręce Polyidosa wpadł też Amfinomus z Anteją. Wojownik zakochał się natychmiast w swej brance, którą tylko ucieczka do świątyni Izydy uwolniła od jego natarczywości. Ale wieść o tem doszła do żony Polyidosa, która podczas nieobecności męża kazała Anteję sprzedać koczotowi (jak Apolloniuszową Tarzyę). Nabywa ją koczot z Tarentu, ale nie może procentować jej wdzięków, bo Anteja udaje epileptyczkę Więc co prędzej wyprowadza ją na targ, gdzie ją kupuje Hippothoos, który tymczasem porzucił zbójectwo, ożenił się w Tauromenium z bogatą wdową, a po jej rychłej śmierci postanowił wieść w Italii wystawne życie. Poznał on wprawdzie w nabytku brankę, wrzuconą w Egipcie psom na pożarcie, ale nie wie-

dział jeszcze, że to żona przyjaciela jego Hippothoosa. Więc bez skrupułów się w niej zakochał i teraz dopiero dowiedział się, z kim ma do czynienia. Postanawia tedy odszukać przyjaciela i oddać mu żonę. Po drodze do Efezu zatrzymuje się na Rodos. Anteja poszła pokłonić się Heliosowi i przy swym darze wotywnym zostawiła swój lok. Poznali ją dawni jej niewolnicy, wówczas bogaci już ludzie, i przyjęli u siebie gościnnie. Nazajutrz i Habrokomes, któremu sprzykrzyło się tłuczenie kamieni na Sycylii, przybył na Rodos, zobaczył w świątyni Heliosa lok Antei (motyw poznania Orestesa przez Elektrę) i przy pomocy wiernych sług ją odnalazł. Ogólna radość, w której bierze udział i Hippothoos. Małżonkowie zapewniają się o wzajemnej wierności, poczem wracają do Efezu i tu składają dzięki Artemidzie. Do darów dodają opis swych wypadków i przygód (τὴν γραφὴν τῇ θεῷ ἀνέθεσαν, πάνθ' ὅσα τ' ἔπαθον καὶ ὅσ' ἔδρασαν)*). Szlachetny zbójca Hippothoos podzielał ich szczęście.

Z motywów Charitona, Jamblicha i autora Apolloniusa złożył Ksenofont swą fabułę, którą urozmaicił motywami tragedyi i wprowadzeniem do akcyi zbójców. Byli oni już u Charitona, ale tylko jako łupieżcy grobów. Tu Hippothoos jest integralną osobą akcyi, a szlachetnemu jego charakterowi jego mniej szlachetne zatrudnienie nie przynosi w oczach autora żadnej ujmy. Dla tego zasadza go na końcu razem z cnotliwcami do stołu szczęścia. O ile motyw gniewu Erosa za hardość młodzieńca nie jest zupełnie wyzyskany i zaraz na początku zostaje zastąpiony przez motyw wyroczni, pędzącej parę na przygody, o tyle śluby wzajemnej wierności stanowią sprężynę dalszej akcyi. Ale prób tej wierności za dużo, autor po dwa razy wprowadza te same sytuacye. Celu podróży osób Ksenofont zupełnie nie motywuje. Ponieważ Chariton umieścił swój romans na Sycylii, ponieważ bohaterowie Antoniusa Dyogenesa przebywali i tam i w południowej Italii, i jego osoby tam się udają — zupełnie bez powodu, zarzucił natomiast Ksenofont tło historyczne, nie wspomina o żadnych historycznych królach, za to spokojnie wymienia urzędników rzymskich: archonta Egiptu (praefectus Aegypti) i irenarchę. Powieść jego ma być więc współczesna. Drugą nowością jego jest usunięcie osoby autora z romansu. Chariton, Jamblich, Antonius Dyogenes opowiadali i o sobie. Ksenofont unika nawet formułek: O tem opowiadałem. Teraz opowiem, co się stało itd. Łączy go natomiast z poprzednikami, prócz wspólnych motywów, tendencya religijna. Bohaterowie modlą się przy każdej sposobności do Artemidy,

*) Taksamo Apollonius »casus.. suos ipse descripsit et duo volumina fecit, unum in templo Dianae Ephesiorum, alterum bibliothecae suae (fin.)«.

Izydy, Apisa, a przedewszystkiem do Heliosa. Jawnej też zawsze doznają od tych bóstw opieki.

Ksenofont usunął na bok balast ekskursów Jamblicha i Dyogenesa, a prostą fabułę Charitona rozszerzył szeregiem nowych motywów. Ale w ich natłoku nie miał czasu i miejsca na pogłębienie psychologii ludzi ani na bliższe scharakteryzowanie tła. Brak u niego wszelkiego kolorytu lokalnego. Tym brakom starał się zapobiedz Heliodor, autor największego romansu starożytnego, dziesięciu ksiąg (podwojony Ksenofont) Historyi etyopskich (Αἰθιοπικῶν βιβλία δέκα 1. wyd. w r. 1537, 2. w r. 1596 z łać. przekładem Stanisława Warszewickiego) o Theagenesie i Chariklei. Babilońską mądrość Jamblicha, pitagorejską Dyogenesa połączył ze zbójeckiem tłem Ksenofonta i napisał romans kapłańsko-zbójecki. Wiedział o wędrówce egipskiego Nektanebosa do Macedonii i powołał kapłanów egipskich do Delf, delfickich do Egiptu, wszystko ku większej chwale Heliosa. Nad inwencyą motywów już się trudzić nie potrzebował. Wybrał tylko odpowiednie z poprzedników, a całe swe staranie zwrócił do kompozycyi. Już u Ksenofonta wiele ubiegłych wypadków przedstawionych było w opowiadaniu jednej z działających osób. Heliodor techniki tej używa we wielkich rozmiarach. O znaczeniu scen na początku pierwszej księgi, o losach bohaterów wiemy dopiero na końcu księgi VI. Tak sławna ἀναστροφὴ τῆς τάξεως, wzorowana na apologach Alkinoosa, święci u niego tryumfy. Nawet nazwisk osób nie podaje odrazu. Widzimy je naprzód przy działaniu i powoli dopiero odsłania się rąbek ich tajemnicy

Na wzgórza przy ujściu Nilu wychodzi banda rozbójników i widzi stosy trupów wśród resztek biesiady. Niewiasta w stroju Afrodyty trzyma na kolanach zwłoki pięknego młodzieńca i wśród płaczu przemawia coś do niego. Młodzieniec daje znaki życia. Z przemów ich dowiadujemy się, że to Charikleja i Theagenes. Zbójcy zabierają się już do uprowadzenia obojga, gdy nadbiega inna banda opryszków i zabiera łupy poległych i dziewicę z rannym młodzieńcem. Prowadzą ich do nawodnej wsi na bagnach Nilowych i oddają pod straż jakiegoś Nieegipcyanina. Ten, słysząc grecką rozmowę jeńców, daje się poznać jako Grek, Knemon i przez całą noc opowiada im, jak skutkiem natarczywości swej macochy i zdrady niewolnicy, Thisbe, musiał uciekać, aż się dostał w moc egipskich bukolów, których herszt nazywa się Thyamis. Był on niegdyś kapłanem w Memfis, ale pozbawiony przez brata swego tej godności, został rozbójnikiem. Zakochał się teraz w Chariklei, która Theagenesa przedstawiła jako brata, i chciał zaraz brać ślub. Ale Charikleja prosi o zwłokę, konieczną do spełnienia pewnych zobowiązań

wobec bogów. Były kapłan uwzględnia te religijne skrupuły i decyduje się czekać. Theagenes, niezadowolony z tytułu brata, chciał przy Chariklei zaznaczyć, że jest mężem: ale ta kazała mu czekać, póki się nie nadarzy sposobność wzięcia legalnego, zaprzysiężonego ślubu (ἐνώμοτον ἐπὶ πᾶσι γάμον, ἔνδεσμον, εἴ πῃ γένοιτο, περισκοποῦσα I, 25). Więc i Theagenes czeka, aż tymczasem owa odprawiona na początku z niczem banda rozbójników napada na nawodną osadę i pali ją. Thyamis ukrył przed walką Charikleę w podziemnej kryjówce (i Anteja Ksenofonta siedziała w dole), a widząc, że pokonany i ranny, spieszy, by choć przez śmierć się połączyć z ukochaną. U wejścia do kryjówki woła nań jakaś niewiasta po grecku: Ktoto? Tę więc zabija, jako Charikleję, a sam ucieka. Po bitwie przybywa do kryjówki i Knemon z Theagenesem. Ten bierze z początku zwłoki niewiasty za trupa Chariklei, ale wnet widzi kochankę żywą. Tabliczka, znaleziona w ręce zabitej, poucza Knemona, że to jego prześladowczyni, Thisbe, która przyjechała z bogatym kupcem do Egiptu i tu popadła w moc rozbójnika. Porwał ją był i ukrył w podziemiu Thermutis, który po bitwie przychodzi po swą ukochaną, a znalazłszy trupa, uważa obecnych w podziemiu mężczyzn za sprawców tego czynu. Grecy uniewinniają się i chcąc się go pozbyć, wysyłają go na zwiady. A że Thermutis sam iść nie chce, towarzyszy mu Knemon, który w drodze narzeka na ból żołądka, zatrzymuje się ciągle w zaroślach i znów wraca, aż uśpił podejrzliwość towarzysza. Wtedy ucieka i spieszy do umówionej wsi, ale ani Theagenesa ani Chariklei tam nie zastaje. Spotyka natomiast starego Egipcyanina, mówiącego po grecku, który go zabiera do domu bogatego kupca Nausiklesa. Ten poszedł szukać swej niewolnicy, Thisbe, porwanej mu przez zbójców, więc w czasie jego nieobecności podejmuje Knemona córka pana domu. Przy biesiadzie opowiada ów Egipcyanin, mówiący po grecku, swe dzieje. Nazywa się Kalasiris, był dawniej kapłanem w Memfis. Ale pokusy kobiet i wyczytana w losach walka między synami skłoniły go do opuszczenia Egiptu. Pojechał do Delf, by tam poznać mądrość kapłańską i wnet zawarł przyjaźń z kapłanem Apollina, Chariklesem. Ten po stracie swej żony i córki pojechał był raz dla ukojenia żalu do Egiptu (jak Apollonius) i tu oddał mu jakiś kapłan etyopski siedmioletnią dziewczynkę z pewnymi znakami. Charikles zabrał ją do Delf, nazwał Charikleją i wychowywał jak swą córkę. Dorosła dziewica jest kapłanką Artemidy i o małżeństwie słyszeć nie chce. Dopiero gdy ujrzała pięknego Theagenesa, który przyjechał złożyć uroczystą ofiarę w imieniu Tessalów, gdy go uwieńczyła jako zwycięzcę, poznała, co to miłość. Kalasiris, zaprzyjaźniony także z Theagenesem, chciałby młodym dopomódz, zwła-

szcza gdy odczytał przepaskę Chariklei, na której w etyopskich charakterach donosiła żona króla Hystaspesa, Persina, że kazała córkę »wysadzić« z powodu jej białej cery. Pochodziło to z zapatrzenia się Persiny na fresk w sypialni męża, przedstawiający Andromedę. W obawie, by czarny ojciec inaczej sobie nie tłumaczył białości córki, oddała ją kapłanowi Sisimitresowi, a ten ją gdzieś podział. Kalasiris znał osobiście Persinę, obiecał jej nawet szukać córki. Więc teraz odsłania Chariklei tajemnicę jej pochodzenia i skłania ją do ucieczki do Egiptu. Theagenes ją porywa i wszyscy troje siadają na statek. Popadają w moc korsarzy, których dowódca, Trachinus, pokochał zaraz brankę. Kalasiris podszepnął drugiemu piracie, Pelorusowi, że Charikleja kocha jego. Między rywalami powstaje przy podziale łupów spór, przychodzi do walki, a skutkiem jej jest scena, odmalowana na początku romansu.

Podczas tego opowiadania wrócił Nausikles, przyprowadzając piękną niewolnicę, którą reklamował u satrapy Mitrydatesa jako zagubioną Thisbe. Kalasiris poznaje Charikleję, odkupuje ją od Nausiklesa za wspaniały pierścień ametystowy i wybiera się z nią (Knemon zaręczył się z córką Nausiklesa i został przy niej) na poszukiwanie Theagenesa. Dla ułatwienia wyżywienia się przebierają się oboje za żebraków, ale w torbach zabierają i kapłańskie swe szaty. Słyszeli byli od Nausiklesa, że Mitrydates posłał pięknego młodzieńca do króla. Ale po drodze trafiają na pobojowisko, na którem zbójcy rozbili oddział Mitrydatesa. Trup, wskrzeszony przez matkę-czarownicę, przepowiada im szczęśliwą przyszłość, idą więc dalej, aż przybyli pod Memfis. Miasto to oblegał właśnie Thyamis na czele swej bandy. Domagał się mianowicie przywrócenia go na urząd kapłański, wydarty mu przez brata Petosirisa. Żona satrapy Oroondatesa, Arsace, sprawująca podczas nieobecności męża rządy, proponuje rozstrzygnięcie sporu przez pojedynek braci. Ale tchórzliwy Petosiris na sam widok Thyamisa rzuca się do ucieczki i biegnie dookoła murów. Thyamis chce go oszczędzić ale lekkiem zranieniem upokorzyć. Wtem wpada między obu Kalasiris, zrzuca płaszcz żebraczy i jako ich ojciec godzi poważnionych i wraca w tryumfie do miasta. Walce Thyamisa asystował Theagenes. Charikleja, niepomna na swe przebranie, rzuca mu się na szyję, za co utrzymuje policzek. Kochanek wziął ją za ladacznicę. Wtedy i ona pozbywa się łachmanów żebraczych, a Theagenes poznaje w niej zgubioną kochankę. Radość młodych przyćmiewa nieco nagła śmierć Kalasirisa, a bardziej jeszcze zaproszenie Arsace, by się wprowadzili do jej pałacu. Theagenes już był zauważył, jak pożądliwie spoglądała na niego znana z lubieżności żona satrapy. Za kusicielkę Theagenesa i pośredniczkę służy stara niewolnica,

Kybele. Ale jej perswazye i prośby nie odnoszą skutku. W Theagenesie poznaje syn Kybeli, Achemenes, jeńca Mitrydatesowego i donosi o tem pani. Ta ogłasza Theagenesa za swego niewolnika, a Achemenesowi ofiaruje Charikleję za żonę. Młodzieniec dawno bowiem już ją kochał. Wtedy Theagenes udaje, że się zgadza na żądania satrapini, ale prosi o jedną łaskę: niech Charikleja, żona jego, a nie siostra, jak dotychczas twierdził, nie idzie w ręce Achemenidesa. Arsace i na to się zgadza, nie myśląc o Achemenidesie. Ale gdy Theagenes i teraz nie chce zaspokoić jej namiętności wtrąca go do więzienia, gdzie też dostaje się Charikleja, oskarżona o otrucie Kybeli. Miała ona być już spalona, ale dzięki cudownemu pierścieniowi ocalała. Teraz dzieli los ukochanego, póki Eunuch Bagos nie zawezwał obojga przed Oroondatesa. Tego uwiadomił Achemenides o sprawkach żony i skutkiem tego donosu było owo powołanie pary do obozu perskiego. Bo Oroondates stał właśnie na czele wyprawy przeciw Etyopom. Arsace na wiadomość o misyi Bagoasa odebrała sobie życie, a bohaterowie dostają się do niewoli pogromców Oroondatesa, Etyopów. Zwyczaj etyopski wymagał co kilka lat zabijania młodzieńców i dziewic na cześć Heliosa, najwyższego boga Etyopów. Ofiara ma się odbyć na łące przed stolicą Meroe. W obecności królestwa i dworu odbywa się próba czystości ofiar na rozpalonym ołtarzu, który czystych nie parzy: Theagenes i Charikleja wychodzą z niej zwycięsko. Już ma się zacząć ofiara mimo protestu obecnych gimnosofistów, gdy Charikleja rzuca się do nóg Sisimitresa, daje mu się poznać pokazuje Persinie pewne znaki i znamię na ręce: Persina wita w niej zgubioną córkę. Hydaspes ogłasza ludowi, że odzyskał jedyną córkę, ale gotów oddać ją na ofiarę, gdy lud tego żąda. Lud prosi o zachowanie królewny. Więc tylko Theagenes zginie. Młodzieniec odznacza się przed ofiarowaniem go pokonaniem rozjuszonego byka i olbrzymiego Etyopa (naśladowanie Teokrytowej walki Polydeukesa z Amykosem) i prosi o jedyną łaskę: niechaj go zabije na ofiarę Charikleja. I ta powtarza tę samą prośbę, mając zamiar wraz z ukochanym odebrać sobie życie. Ale ofiarę składać może tylko niewiasta, a ona jest dziewicą. Chwila bardzo krytyczna. Napięcie wzmaga się z przybyciem greckiego poselstwa, które prosi o uwolnienie córki kapłana delfickiego, Chariklesa. Charikles zobaczył uwodziciela swej córki i z krzykiem rzucił się na niego Pośredniczy Sisimitres, wyjaśnia wszystko, przeprowadza zniesienie ludzkich ofiar. W tryumfie wraca młoda para do Meroe na wesele.

»Tak się skończyła etyopska historya o Theagenesie i Chariklei. Ułożył ją Fenicyanin z Emezy, z rodziny kapłanów Heliosa, syn Theodosiosa, Heliodor«. Żaden szczegół całego romansu nie stoi na przeszko-

dzie, byśmy uwierzyli temu osobistemu epilogowi dzieła. Wszak wszystko zmierza do uświetnienia Heliosa. On ratuje bohaterkę przez ręce kapłana swego Sisimitresa, on jako Apollo opiekuje się nią w Delfach, on zwiastuje szczęśliwy powrót do Etyopii, on w ostatniej chwili zbawia swe ofiary. Cześć jego dość wyraźnie głoszą i bohaterowie i inne osoby romansu. A osobliwa predylekcya do kapłanów (Sisimitres, Charikles, Kalasiris, Thyamis, gimnosofiści) tłumaczy się chyba tylko kapłaństwem autora. Stąd też przy każdej sposobności egipski kapłan chwali mądrość greckiego, grecki egipskiego, obaj wysławiają gimnosofistów etyopskich. Widocznie pisał to autor w czasach, gdy rozmaite religie już się bardzo do siebie zbliżyły, na tle wspólnego kultu do Heliosa, zwanego po Chrystusie Mithrasem. Heliodor tego imienia nie wspomina. Ale czy Theagenes, ujeżdżający przed ołtarzem Heliosa rozjuszonego byka, nie jest alluzyą do znanego z reliewów mitrasowych młodzieńca, w pędzie zabijającego byka? Wobec Heliosa inni bogowie bledną zupełnie. Tylko Mojry i Tyche pewną odgrywają rolę, a nadto nienazwane demony. Jeżeli z tą teologią, pełną wróżb i proroczych snów porówna się jeszcze abstynencyę Kalasirisa od mięsa i wina, jeżeli się przypomni potępienie wszelkich ofiar krwawych przez usta gimnosofistów, to musi się z Rohdem nazwać Heliodora Nowopitagorejczykiem, który czytał już może fantastyczny życiorys Apolloniusa z Tyany, napisany przez jednego z Filostratów. A ofiara, którą Kalasiris każe na Itace złożyć Odysseusowi (V. 22), który mu się w nocy pojawił, wiedzie w atmosferę Heroikosa Filostratowego. Nie ma natomiast śladów Nowoplatonizmu. Więc Heliodor pisał przed rozszerzeniem się tego ruchu religijno-filozoficznego. Walki nad górnym Nilem i potęga Etyopów są, zdaje się, echem abissyńskiej potęgi Auksumitów, którym Dyoklecyan musiał się opłacać. Niedarmo na dwór Hydaspesa przybywa poselstwo Auksumitów, ludu niepodległego i tylko z nim zaprzyjaźnionego. A więc i te reminiscencye historyczne wiodą gdzieś na wiek III. Bo wzmianka o satrapach perskich w Egipcie jest tylko przeżytkiem z dawnych romansów.

Tych kombinacyi, opartych na samem dziele, nie może zachwiać tradycya historyka kościelnego Sokratesa (V, 22), wspominającego, że pewien przepis kościelny pochodzi od biskupa Trykki, Heliodora, który w młodości swej miał (λέγεται) napisać romans etyopski. Jest to tylko kombinacya, oparta widocznie na istnieniu jakiegoś Heliodora, biskupa Trykki, którego skontaminowano z romansopisarzem Heliodorem. Nikeforus Kallistus (hist. eccles. XII, 34) rozszerza tę tradycyę anegdotą,

że Heliodor, wezwany przez synod do spalenia swej niebezpiecznej dla młodzieży książki, wolał się zrzec biskupstwa niż romansu.

Heliodor był kapłanem i filozofem pitagorejskim. Ale był też miłośnikiem teatru, skoro na każdej niemal stronie cisną mu się porównania i metafory wzięte z teatru. (Zebrał je Walden, Harvard Studies in classical philology, vol. V, 1895, p. 1 sqq.). A przedewszystkiem był retorem. Stąd jego patetyczny styl, poruszający się w długich peryodach, stąd ciągłe opisy (ἐκφράσεις) i ajtiologiczne dyskursy, stąd cała paleta sztuczek retorycznych. W swej patetyczności (σεμνότης) zdobywa się Heliodor na rzeczy prawie piękne. Natomiast wszelkie próby ożywienia opowiadania dowcipem albo prowadzą do takich pomysłów, jak kilkakrotny ból żołądka Knemona albo do wyśrubowanych igraszek słów i myśli. Od niemożliwie idealnych postaci kapłańskich korzystnie odbija chytry Knemon z całą swą attycką historyą, uplecioną z motywów tragedyi i komedyi. Zbyt luźny związek jej z główną fabułą dowodzi, że *Heliodor pierwszy, na własną rękę, w miejsce epizodycznych wkładek* wprowadza drugą akcyę i drugiego bohatera. W ten sposób stwarza w miejsce romansu prostego, przerywanego obcemi wkładkami, romans zawikłany, który ma być równocześnie i patetyczny i etyczny, oczywiście w znaczeniu starożytnem (Arist. poet. 18, 2). Stronę psychologiczną uwzględnił i zaznaczył w licznych, nieraz bardzo głębokich sentencyach o zakochanych i miłości.

W kierunku patetycznym trudno już było prześcignąć Heliodora. W obec jego romansu można się było zdecydować jedynie na romans realistyczny, do którego pewne zarody widać już było w Ajtiopikach. Ale by mieć miejsce na obszerne odmalowanie środowiska, na przedstawienie codziennego życia i obyczajów, trzeba było fabułę uprościć, ilość zdarzeń zredukować do minimum. Próbę tę przedsięwzięto. Mamy dwa jej okazy: cztery księgi powieści pasterskiej o Dafnisie i Chloe (Ποιμενικῶν τῶν κατὰ Δάφνιν καὶ Χλόην λόγοι δ' 1. wyd. w r. 1598, przedtem w łacińskich heksametrach 1569 i po francusku [Amyot] w r. 1559) i ośm ksiąg romansu o Leukippie i Klejtofoncie (Τῶν κατὰ Λευκίππην καὶ Κλειτοφῶντα λόγοι η' 1. wydanie w r. 1601). Oba te realistyczne romanse mają równocześnie pretensyę do psychologiczności, na którą jednakowoż starożytność zdobyć się nie potrafiła. Przeszkodziła temu retoryka i sofistyka.

Nie można zaprzeczyć, że sielskość Longosa pozostaje w związku z niektórymi listami chłopów i rybaków Alkifrona, współczesnego Lukianowi, i listami chłopskimi (ἀγροικαὶ ἐπιστολαί) Klaudyusza Eliana, z początku w. III. Ale bliższe jeszcze pokrewieństwo łączy ją z siódmą

mową Dyona z Prusy p. t. Εὐβοϊκὸς ἢ κυνηγός. Mimo to nie można na podstawie podobnych wyrażeń i opisów sielskich uważać Longosa za naśladowcę Dyona tem mniej za kopistę Alkifrona. Parę identycznych zwrotów, odnoszących się do życia wiejskiego, to za słaba podstawa do owych kombinacyi o wzajemnej zależności autorów, wśród których Elian ma znów kopiować Longosa. Kombinacye te snuje Reich (de Alciphronis et Longi aetate, diss. Regimonti 1894), który Longosa umieszcza między Alkifronem a Elianem, na pograniczu wieku II. i III. Wobec słabości Reichowych argumentów o czasie Longosa rozstrzygać może jedynie wzgląd na organiczny rozwój romansu greckiego. A wzgląd ten każe prostotę i idyllliczność Longosa uważać za reakcyę przeciw zawikłaniu i patetyczności Heliodora. Motyw wysadzenia bohaterki i jej ostateczne poznanie, wprowadzony do romansu po raz pierwszy przez Heliodora, czyni Longos osią swej opowieści. Że nie on pierwszy go użył, dowodem na to choćby tylko podwójność tego motywu: i bohater jest wysadzonem, a potem poznanem dzieckiem. Mimo radykalnego uproszczenia akcyi nie trudno dostrzedz, że Longos powtarza, a raczej zaznacza cały repertoar motywów z romansów zawikłanych — ale w miniaturze. Więc bohater ma w miłości do bohaterki rywali Dorkona i Lampisa. Pierwszy próbuje ją podstępnie uwieść, drugi rzeczywiście porywa. Również bohater narażony jest na pokusy namiętnej mężatki i lubieżnego pasorzyta (por. Korymbus i Habrokomes u Ksenofonta z Efezu). Nowość i oryginalność Longosa na tem polega, że u niego po raz pierwszy bohater, aczkolwiek nieświadomie, łamie wierność oblubienicy, pozwalając się przez Lykajnion wprowadzić w tajemnice miłości. Nie mniej bohaterka odstąpiła od rygorystycznego zakonu Heliodora, dając umierającemu Dorkonowi pocałunek. Prócz tych obustronnych pokus przejął Longos od poprzedników aparat korsarzy, porywających Dafnisa, ba nawet machinę wojny i uprowadzenia Chloe do niewoli. Ale te szablony romansopisarskie tak są oplecione bujną idylliką, że uczeni nie zwrócili na nie uwagi, nie odnieśli ich do poprzedników Longosa, ale uważali go zawsze za zjawisko zupełnie odrębne, wyłamujące się z ram rozwoju tego gatunku literackiego. Tymczasem już powyższe uwagi dostarczyły nam garść nici, łączących Longosa z resztą romansopisarzy. Kontynuuje on także ich tendencyę religijną, a jako epigon potęguje ją do szczytu: losem bohaterów kierują ciągle bóstwa pasterskie, nimfy i Pan. Cała historya jest tylko illustracyą do twierdzenia, że niewinnych prostaczków bóstwa w nieustannej mają opiece i ze wszelkich obieży ich wybawiają. Młodzi służą im najlepiej przez czystą miłość. Przedstawić, jak się ta miłość rodzi i rozwija w ser-

cach dwojga niewinnych dzieci, umieścić kiełkowanie, wzrost i rozkwit uczucia na tle życia natury i zharmonizować go z czterema porami roku, to przedmiot godny psychologa. Przypatrzmy się, o ile Longos podołał swemu zadaniu.

Niewolnik bogatego Mitylenejczyka, pasterz kóz Lamon, znalazł raz pod kozą małego chłopca, ssącego miłosierne zwierzę, i wraz z pewnemi kosztownościami obok leżącemi zabrał go do domu i oddał swej żonie na wychowanie. Na imię dał chłopcu Dafnis. W dwa lata później znalazł sąsiedni pasterz owiec, Dryas, dziewczynkę wśród takich samych okoliczności i wychowywał tę Chloe jak własną córkę. Ponieważ wspomniane kosztowności wskazywały na lepsze pochodzenie dzieci, pasterze i karmili je lepiej i uczyli czytać i pisać. A po piętnastu latach od znalezienia Dafnisa wysłali dzieci na pole do trzód wezwani do tego we śnie przez Nimfy.

Wspólne zajęcia i zabawy zbliżają dzieci do siebie — a gdy Dafnis wpadł w wilczy dół, a Chloe wyciągniętego stamtąd myła w grocie Nimf, poczuła w sercu nieznany dotąd niepokój. »Chora jestem, a choroby nie znam. Ból czuję, a rany nie widzę. Smucę się, a żadna owieczka mi nie zginęła. Gorąco mi, a w cieniu takim siedzę. Ileż cierni mię nieraz ukłuło, a nie płakałam! Ileż pszczół żądło mi wbiło, a i tak jadłam! To, co teraz dręczy me serce, bardziej jest gorzkie, niż wszystkie tamte bole«. I Dafnis uczuwa podobne udręczenia, odkąd pocałował Chloe jako zwycięzca w zapasach pasterskich z wolarzem Dorko. (I Teagenes, zwycięzca w zapasach, otrzymał był nagrodę od Chariklei.). Ten także pokochał Chloe, a nie mogąc jej pozyskać ani podarunkami, które ona co prędzej dawała Dafnisowi, ani zachodami u Dryasa, chwycił się podstępu. Przebrany w wilczą skórę, chciał napaść i zgwałcić Chloe przy źródle, ale wytropiony przez psy, tylko przy pomocy obojga pastuszków uszedł z życiem.

To się działo na wiosnę. Lato potęguje żar miłosny. Dafnis, szukając świerszczyka na łonie śpiącej Chloe, po raz pierwszy zwraca uwagę na obojętne mu przedtem wdzięki, a dziewczyna staje mu się tem droższą, że wybawiła go z rąk korsarzy. Ci uprowadzili już Dafnisa na okręt i odpłynęli, gdy Chloe zadęła w otrzymaną za pocałunek od umierającego Dorkona piszczałkę: uprowadzone bydło skoczyło na znany znak z okrętu do wody, okręt się przewrócił, zbójcy ciężko zbrojni potonęli, a swobodny Dafnis dopłynął do brzegu. O pocałunku danym Dorkonowi Chloe, sama nie wiedząc dlaczego, zamilczała.

W jesieni po winobraniu opowiada kochankom stary pasterz Filetas, za młodu miłośnik Amaryllidy, o swem spotkaniu w ogrodzie ze

skrzydlatem chłopięciem. Powiedziało mu ono, że wzięło pod swą opiekę Dafnisa i Chloe. Kim zaś Eros się zaopiekuje, — bo to było owo pacholę — ten nie może ani jeść ani spać ani niczem się ucieszyć. Jedynem lekarstwem na tę chorobę jest pocałunek, uścisk — καὶ συγκατακλιθῆναι γυμνοῖς σώμασιν. Młodzi używają pilnie pierwszego i drugiego leku, ale ulgi nie czują. Dafnis myśli już o użyciu trzeciego lekarstwa, gdy poturbowani przez pasterzy panicze z Metymny, którzy polowali i na pastwisku Dafnisa, powodują zbrojną wyprawę swych współobywateli, łupią grunta Mityleny i uprowadzają Chloe. Ale Pan zmusił ich do oddania łupów i branki, wojna zakończyła się bezkrwawo, a młodzi zaprzysięgli sobie w grocie Nimf wieczną miłość i wierność. (Jak Habrokomes i Anteja, Ephes. I, 11.).

Nadeszła ostra zima i położyła kres wspólnemu pożyciu młodych na łonie natury. Ale przemyślny Dafnis i teraz znajduje sposobności widywania się z ukochaną w chacie jej rodziców. Na wiosnę wracają oboje do swych trzód i zażywania lekarstw Filetasa. Ów trzeci sposób praktycznie objaśnia Dafnisowi niejaka Lykajnion, zwracając mu przytem uwagę na ewentualny ból, któryby wycierpieć musiała Chloe. Myśl o tem wstrzymuje Dafnisa od zużytkowania nauk Lykajnion, tem bardziej, że nowe spotkało go strapienie. O rękę Chloe starali się bogaci pasterze, wobec których biedny Dafnis nie miał widoków powodzenia u Dryasa. Ale i teraz pomogły mu Nimfy, wskazując mu we śnie miejsce na wybrzeżu, gdzie leżało 3 tysiące drachm. Ten posag usunął wszelkie skrupuły Dryasa. Lamon zgodził się także na małżeństwo młodych. Wesele miało się odbyć za pozwoleniem wspólnego pana, Dionysofanesa, który zapowiedział swe przybycie na wieś.

Na to przybycie przygotował Lamon piękny ogród. Niestety, jeden z dawnych zalotników Chloe, Lampis, niszczy w nocy wszystkie kwiaty i tylko łaskawość syna Dionysofanesowego, Astylusa, który wziął winę na siebie, wstrzymuje zrozpaczonego pasterza od samobójstwa. Ale dobroczyńca staje się przyczyną smutku całej rodziny pasterskiej. Pasorzyt jego, Gnaton, zapłonął miłością do Dafnisa i wyprosił go sobie za niewolnika. Wtedy Lamon oświadcza przybyłemu z żoną panu, że Dafnis nie jest jego synem ani niewolnikiem, o ile o tem sądzić można ze znalezionych przy niemowlęciu kosztowności. Pokazuje się, że to wysadzone niegdyś dziecko Dionysofanesa, który, mając już troje, czwartego spadkobiercy pozbył się tym zwykłym w starożytności sposobem. Teraz, po śmierci dwojga dzieci, z radością przyjmuje odnalezionego syna. O Chloe na razie niema mowy. Porwał ją Lampis, ale pasorzyt odebrał zdobycz rabusiowi i przywiódł do pana. Z niewolnicą Dafnis żenićby

się nie mógł. Ale znalezione przy dziewczynie przedmioty wskazują na to, że i ona nie jest niewolnicą. Więc młodzi mogą się pobrać. Przy uczcie, wyprawionej w Mitylenie przez Dionysofanesa, oglądają znakomici goście kosztowności, znalezione niegdyś przy Chloe, i z nich poznaje jeden z nich, Megakles, że to jego niegdyś wysadzona córka. Wesele odbywa się na prośbę młodych na wsi przy grocie Nimf.

Taką historyę opowiedział Longos »jako dar ofiarny dla Erosa, Nimf i Pana, a dla wszystkich ludzi jako ucieszny gościniec, któryby chorego uzdrowił, smutnego pocieszył, kochankowi przypomniał miłość, niekochającego jeszcze pouczył«. Imienia swojego autor w romansie nie wymienił, ale czy bez znaczenia jest ten szczegół, że Dionysofanes układał długą historyę miłosną (μετὰ δὲ τοῦτο συνέταττε λόγον καὶ ἐρωτικὸν καὶ μακρόν)? Czyżby to nie był nasz romans? W ogrodzie Dionysofanesa był ołtarz Dionysosa, a imię pana także z tem bóstwem w związku pozostaje.

O ile w treści widzieliśmy wielką zależność od szablonu romansu bohaterskiego (napad zbójców, porwanie bohatera i bohaterki), o tyle we formie, w stylu Longos zupełnie od nich odstępuje. Na podstawie sztucznej prostoty i bezpretensyonalności czy nonszalancyi (ἀφέλεια) sofistycznej stworzył swój rafinowanie naiwny sposób wyrażania się, na pozór bardzo odpowiedni w dyalogu pasterzy i chłopów, w rzeczywistości w opowiadaniu nużący. A jak przez tę afeleję stylu przeziera rutynowany sofista, tak z pod barankowej skóry opisywacza niewinnych pieszczot dzieci wychyla się kopyto lubieżnego fauna. Kto wie jednak, czy ta grecka zmysłowność nie ratuje opowieści przed utonięciem w abstrakcyjnym sentymentaliźmie.

Duszą fabuły Longosa była jej prostota, dyskretnie urozmaicona echami romansu awanturniczego. Ale ta prostota właśnie uniemożliwiała rozwój romansu bukolicznego. — Kto nie chciał powtarzać sielskich zabaw zakochanego pastuszka i pasterki, musiał z romansu idylliczego zrezygnować. Jakoż nie znamy żadnego kontynuatora tego gatunku. Bukolika mieści się, jak za czasów Alkifrona i Klaudyusza Eliana, i nadal we formie listu czyto Aristajneta (w. V) czy też Theophylaktosa Simokattesa (w. VII).

Nie wynika z tego, jakoby Longos wogóle nie znalazł był starożytnych naśladowców. Ostatni romansopisarz starożytny, Achilleus Tatios, nietylko kopiuje jego styl, ale i pomysły niektóre przejmuje. Tak i u niego opowiadanie rozpoczyna się od opisu obrazu, przedstawiającego porwanie Europy przez Zeusa-byka, a więc tryumf Erosa nad najwyższym bogiem. Nadchodzący właśnie młodzieniec potwierdza tę

potęgę Erosa własnem doświadczeniem, a na prośbę autora opowiada mu swe przygody, siedząc nad chłodnym strumykiem w cieniu rozłożystych platanów Wśród takiej sceneryi rozprawiał niegdyś Platoński Sokrates z Fajdrosem o istocie duszy i miłości.

Nie napróżno nawiązuje w ten sposób Achilleus Tatios do Platona. I on chce przedstawić psychologię miłości, chce doprowadzić do rozwiązania problem, rzucony przez Heliodora, traktowany przez Longosa. Ale zastąpienie mistycznego idealizmu Platona przez jakiś racyonalistyczny realizm smutne tylko wydaje owoce. Z Platona (Fajdros, Symposion, Leges VIII. c. 5—8 al.), Ksenofonta (Symposion) i innych autorów, którzy pisali o miłości i małżeństwie*), zbiera Achilleus antologię zdań i sądów o tych sprawach i czyni je przy każdej sposobności przedmiotem rozpraw i dyskusyi. W ten sposób zamiast psychologii miłości dostajemy trywialne deklamacye i kontrowersye na jej temat.

Z niewiększem powodzeniem stara się Achilleus o realizm. Bohater jego po raz pierwszy wprawdzie pokochał dziewicę, ale zna miłość kupną (ὁμιλήσας ταῖς εἰς Ἀφροδίτην πωλουμέναις II, 27), a wierności przestrzega niezbyt rygorystycznie (V, 27). Cudowne ocalenia znajdują u niego objaśnienie racyonalistyczne, a tendencya religijna schodzi na daleki plan. Poza tem figury i zdarzenia przejęte są z repertuaru dotychczasowych romansów.

Klitofon z Tyru ma poślubić przyrodnią siostrę Kalligonę, gdy do domu jego rodziców przybywa w gościnę stryjenka z córką Leukippą. Młodzieniec pokochał dziewicę, pozyskał jej miłość przy pomocy przyjaciela, Klejniasa, i chytrego niewolnika, Satyrusa, a uwolniony tuż przed ślubem od Kalligony, którą porwał zakochany od dawna w Leukippie Kallistenes z Bizancyum, ma już osiągnąć owoc swych zabiegów w sypialni Leukippy, gdy do pokoju wchodzi matka dziewicy. Przed kompromitacyą swoją i panny ratuje się Klitofon ucieczką w towarzystwie Leukippy, Klejniasa i Satyra. Okręt się rozbija, rozbitkowie dostają się w ręce zbójców egipskich, Leukippe ma być przez nich zabita na ofiarę. Klitofon widzi z daleka, jak zbójcy godzą sztyletem w łono dziewicy i wypruwają jej wnętrzności, ale jej pomódz nie może. Spieszy więc przynajmniej do zwłok, rzuconych do rowu, gdy spotyka Satyrusa z nowym znajomym, Menelausem On to podjął się ofiarowania Leukippy, by ją ocalić i użył przy ofierze sztuczki teatralnej z wsuwającym się w pochwę sztyletem i przywiązanym do łona workiem, pełnym krwi. W towarzystwie pogromców bandy, żołnierzy, odbywa para dalszą po-

*) Cf. A. W. Winckelmann, Plutarchi Eroticus, Turici 1836, p. 96 sqq. F. Wilhelm, Zu Achilleus Tatios, Rh. Mus. 57 (1902) p. 55 sqq.

dróż, podczas której dowódca oddziału Charmides prześladuje Leukippę swymi zalotami, a jeden z żołnierzy zadaje jej napój miłosny, od którego bohaterka w sposób bardzo nieprzyzwoity szaleje. Ledwie ją wyleczono, a tu inny żołnierz, Chajreasz, uprowadza ją na okręcie z portu faryjskiego, a podczas pościgu ścina jej w oczach kochanka głowę i zwłoki rzuca do morza. Zrozpaczony Klitofon stracił wszelką nadzieję; więc w braku lepszych widoków przyjmuje oświadczyny bogatej obywatelki efezyjskiej, Melite, której mąż zginął podczas jakiejś wyprawy morskiej. W Efezie ma się odbyć ślub. Tymczasem w domu przyszłej małżonki odnajduje Klitofon w jednej z niewolnic Leukippę. Więc odwleka dzień ślubu, aż ten staje się niemożliwym wskutek powrotu męża Melity, Tersandra, który nie zginął na morzu. Mąż wrzuca rywala a raczej cudzołożcę do więzienia i tu Klitofon spełnia prośby Melity, która w nagrodę oddaje mu swe szaty i pozwala umknąć z więzienia. Ale uwolniony wpada znów w ręce Tersandra i musi wracać do więzienia. Tu opowiada mu jeden z współwięźniów, że jego towarzysz, najęty przez Melitę, zamordował niejaką Leukippę, a na niego rzucono podejrzenie. Klitofon ma się w sądzie bronić przed zarzutem cudzołostwa z Melitą. Nie tylko do tego się przyznaje, ale nawet obwinia się o zamordowanie Leukippy, do czego skłaniać go miała Melita. Mimo obrony Klejniasa skazano go na śmierć i tylko przybycie poselstwa do świątyni Artemidy wstrzymuje egzekucyę. Na czele poselstwa stał ojciec Leukippy, który teraz domaga się od Klitofonta zwrotu swej córki. Wszyscy udają się do świątyni Artemidy, gdzie spotykają Leukippę, która uciekła była z chaty, gdzie ją dla siebie kazał trzymać zakochany Tersander. Dalsza rozprawa odbywa się już w świątyni, Klitofonta broni arcykapłan Artemidy. O niewinności Melity i czystości Leukippy mają rozstrzygać sądy boże (jak u Heliodora). Jakoż Melita przysięga, że nie obcowała z Klitofontem, dopóki Tersander był nieobecny, i wychodzi cało z wody stygijskiej, a czystość Leukippy potwierdza muzyka w grocie Pana (jak u Longosa). Tersander przegrał, Leukippe opowiedziała, że to nie ją na owym okręcie zabito i wszyscy wracają szczęśliwie do Tyru. Przebaczono też Klistenesowi porwanie Kalligony i pozwolono mu na zaślubienie jej. Tak ten realistyczny romans staje się mimowoli humorystycznym, a przez to samo zbliża się do jedynego oryginalnego romansu rzymskiego, do Satyricon Petroniusza. Petroniusz pisał wprawdzie nie romans, lecz satyrę Menippejską, w formie przejętej z aleksandryjskich mimów i fars, więc w prozie, przeplatanej wierszami, ale i romans grecki miał przed oczyma. Jego trójka hultajska, ścigana gniewem Pryapa, jest parodyą szablonu romansowego.

Giton zastępuje kochankę-bohaterkę, bohaterem jest idealny nicpoń Enkolpios, który musi ciągle walczyć o posiadanie oblubieńca. Ale rzymski realizm Petroniusza, związany z podłożyskiem italskiem czasów Neronowych, nie ma nic wspólnego z abstrakcyjnym, szablonowym idealizmem greckim. Więc odsyłając czytelników do pięknego studyum prof. K. Morawskiego p. t.: Petroniusz Arbiter i jego romans (Przegląd polski XIII, 4, t. 52, kwiecień 1879), wracamy do określenia czasu Achilleusa Tatiusa.

Rohde sądził, że żył on po Musajosie, autorze epyllionu o Hero i Leandrze. Jakoż pewne zwroty i sytuacye u obu się powtarzają. Można je jednak odnieść i do wspólnego źródła aleksandryjskiego. A wzgląd na organiczny rozwój gatunków literackich każe romans umieścić przed epyllion. Bo jak pierwszy romans powstał dopiero wtedy, gdy epyllion zamarło, a treść jego wlała się w formę szkolnych deklamacyi, tak po zmartwychwstaniu epyllionu w szkole Nonnosa (w. IV/V) romans znów stracił racyę bytu. Wszak treść jego znów znalazła formę w epyllionie. Wobec tego nie wahamy się umieścić Achilleusa gdzieś z końcem w. IV, przed Musajosem.

Literaci bizantyjscy pilnie rozczytywali się w tych płodach, wyrosłych na gruncie rozkładającego się hellenizmu, ale wobec wskrzeszenia eposu i epyllionu pisali tylko wiersze. Do szerszych warstw, do chrześcijańskiego ludu nie doszły nigdy te wytwory rozgorączkowanej wyobraźni retorów. Lud czytał romanse duchowne, budujące, o Barlaamie i Joasafie, o filozofie Syntypasie i siedmiu mędrcach, o dwóch mądrych szakalach, Stefanitesie i Ichnelatesie, których treść przywędrowała ze Wschodu, z Indyi i Arabii (v. Krumbacher, Byz. Litt.[2] 886 nn.). Renesans XI. w. wywołał wprawdzie wskrzeszenie powieści Achilleusa Tatiusa i Heliodora w romansach Eumatiosa, Teodora Prodroma, Niketasa Eugeniana i Konstantyna Manassesa (Krumbacher, s. 643), ale tych zwyrodniałych droduktów fantazyi bizantyjskiej lud nie przyjął. Jak od w. VII. Wschód, tak od w. XIII. Zachód dostarczał mu wątka powieści. Krzyżowcy przynieśli do Bizancyum zachodnie podania i romanse rycerskie, które aż do XVI. w. stanowią lekturę społeczeństwa bizantyjskiego (Krumb. str. 854 nn.). Na zachodzie przekwitły wreszcie i te rycerskie romanse, by ustąpić miejsca — naśladownictwom Heliodora i innych romansopisarzy greckich. Tak romans grecki, mimo swej małej wartości estetycznej, ma ogromne znaczenie w dziejach literatury europejskiej i dla tego właśnie znaczenia warto, a nawet trzeba go znać.

*Kraków.*

# *Ζεὺς Μειλίχιος* u Ateńczyków.

Napisał

**Stanisław Schneider.**

W sławnym ekskursie o zamachu Kylona na akropolę ateńską mówi Tucydydes (1, 126) o wyroczni, jaką ów możnowładca w Delfach otrzymał, by mianowicie podczas największej uroczystości Zeusa zdobył zamek ateński. Kylon czekał do igrzysk olimpijskich, gdyż jako zwycięzca w nich uważał je za największe święto Zeusa; a gdy nadeszły, wykonał zamach. Zapomniał jednak, że Ateńczycy największy obchód święcili na cześć Zeusa Mejlichiosa, t. zw. Διάσια, w czasie których lud wszystek poza miastem składał ofiary nie tyle krwawe, ile z krajowych plonów.

Podnieść należy u Tucydydesa dwukrotnie zaakcentowane największe święto ateńskie Zeusa Mejlichiosa (ἐν τῇ τοῦ Διὸς τῇ μεγίστῃ ἑορτῇ.., Διάσια, ἃ καλεῖται Διὸς ἑορτὴ Μειλιχίου μεγίστη), które i Ateńczycy za takie uważali i uznawała wyrocznia delficka. Słowa następne, bliżej określające to święto: ἔξω τῆς πόλεως, ἐν ᾗ πανδημεὶ θύουσι, πολλοὶ οὐχ ἱερεῖα' ἀλλὰ θύματα ἐπιχώρια — zdają się być późniejszą, z dobrego źródła płynącą glossą, jedynie co do wyrazu πολλοί niedokładnie przekazaną. Albowiem prawdopodobnie składali wszyscy, nie wielu, οὐχ ἱερεῖα, ἀλλὰ θύματα ἐπιχώρια. Co do tych swojskich ofiar panuje znaczna różnica zdań: jedni widzą w nich za scholiastą placki ofiarne, ulepione w postaci zwierząt (θύματα ἐπιχώρια, τινὰ πέμματα εἰς ζῴων μορφὰς τετυπωμένα), drudzy ofiarę z dymu kadzidłowego (Poll. 1, 26: Θουκυδίδης δ' αὐτὰ [τὰ ἀρώματα] εἴρηκεν ἁγνὰ θύματα πρὸς τὰ αἱμάσσοντα καὶ σφαττόμενα).

To drugie przypuszczenie jest bliższem prawdy, choćby dlatego, że θύματα θύειν odpowiada zupełnie zwrotom u Herodota: θυμιᾶν θυμιήματα

(3, 107; 4, 75; 8, 99). Wyraz zaś θυμίημα = θυμίαμα jest złożony z θυμόν ἰάομαι uśmierzam gniew, o uśmierzenie którego przedewszystkiem chodziło, jak okazuje nazwa Z. Mejlichios w przeciwieństwie do Z. Majmaktes. Odwracanie to gniewu bóstwa w podobny odbywało się sposób przez wykadzanie, jak wykadzano n. p. żmije skrzydlate u Arabów (Herod. 3, 107), a węże ogniste u Izraelitów na puszczy (2 Król. 18, 4). Sama nazwa uroczystości wzięła nawet początek od miejsca pobytu wężów.

Cóż bowiem znaczy Διάσια? Wyraz ten pochodzi od ἄσις, szlam, muł, błoto (przym. ἄσιος, szlamowaty, bagnisty), a z wody i mułu powstał według kosmogonicznych wyobrażeń bajeczny wąż lub smok (Athenag. Legat. 18 u Dielsa: Die Fragmente der Vorsokratiker str. 494: ἦν γὰρ ὕδωρ ἀρχὴ κατ' αὐτὸν τοῖς ὅλοις, ἀπὸ δὲ τοῦ ὕδατος ὕλὺς κατέστη, ἐκ δὲ ἑκατέρων ἐγεννήθη ζῶον δράκων...). Nie wahałbym się od bagniska w Mezopotamii, siedziby smoka babilońskiego, wywodzić miana Azyi (por. Hom. Il. 2. 461 Ἄσιος λειμών); Διάσια zaś oznaczałoby obchód na błotach (διὰ ἄσια = δι' ἄσια), stąd Ζάς (= Διάς)*) w Teogonii Ferecydesa stoi obok Kronosa jako wąż Ὀφιονεύς na czele wężów Ὀφιονιδῶν (fr. 1: Ζὰς μὲν καὶ Χρόνος ἦσαν ἀεὶ καὶ Χθονίη... fr. 4. u Dielsa Φερεκύδην... μυθοποιεῖν στρατείαν στρατείᾳ παραταττομένην καὶ τῆς μὲν ἡγεμόνα Κρόνον ἀποδιδόναι, τῆς ἑτέρας δὲ Ὀφιονέα... παρὰ Φοινίκων δὲ καὶ Φ. λαβὼν τὰς ἀφορμὰς ἐθεολόγησε περὶ τοῦ παρ' αὐτῷ λεγομένου Ὀφιονέως θεοῦ καὶ τῶν Ὀφιονιδῶν). O wpływie kultu wschodniego i fenickiego na Zeusa Mejlichiosa i jego największe święto u Ateńczyków nie można wątpić, choćby się nawet ktoś chciał natrząsać ze starym i uczonym Schoemannem (Gr. Alt. II³ str. 504, uw. 5) z etymologii, wywodzącej Mejlichiosa jako króla bogów (Plut. de coh. ira 9: καὶ τῶν θεῶν τὸν βασιλέα Μειλίχιον καλοῦσι) od semickiego wyrazu Melek (król) lub od fenickiego boga Baala-Milika.

Na potwierdzenie, że w kulcie Zeusa Mejlichiosa i jego największem święcie u Ateńczyków, obchodzonem w dniu 23. Antesteryonu, należy upatrywać kult wężów, niechaj służy świadectwo niewzruszone, że w porcie ateńskim Pireusie znaleziono wotywne reliewy, przedstawiające wielkiego węża z napisem: Διὶ Μειλιχίῳ. Ferecydes powiada o świętym

*) Zwracam uwagę na to, że dyabeł w narzeczach polskich nazywa się Djasem (zdrobn. Djasek), a dyabła wyobrażano sobie podług Biblii w postaci węża (por. 1. Mojż. 3, 1; Objaw. św. Jana 12, 9; Słown. gwar pols. Karł. s. v. Djabeł). Prawdopodobnie pols. Djas ma pierwiastek wspólny z grec. Ζάς i Διάσια, oznacza tedy — mówiąc językiem Apokalipsy — »smoka wielkiego, węża onego starodawnego, którego zowią dyjabłem i szatanem«.

ślubie Zasa z Ziemią (Χθονίη, fr. 2 u Dielsa), którą Solon nazywa: μήτηρ μεγίστη δαιμόνων Ὀλυμπίων, Γῆ μέλαινα (Aristot. Ἀθ. πολ. 12). Podobnie u nas Rej, który w Postyli na święta staroświeckie powstaje (Więc jeszcze ktemu jakieś dziwne zioła na ty wymyślone święta święcili, po domach wieszali, na gromy jimi kurzyli itd.), nie waha się tegoż kultu »ziemi matuchny« przenosić »na pannę matkę świętą« (A. Brückner: Mikołaj Rej, Kraków 1905, str. 51 i 381). Kosmiczne bóstwo żeńskie wszędzie na Wschodzie pojawia się w towarzystwie węża, czy jako Izys egipska, czy babilońska Istar. Największe święto ateńskie na cześć Zeusa Mejlichiosa było zatem chtonicznej natury i niewątpliwie miało o wiele więcej wspólnego z teriomorfizmem i kultem węża wschodnim, niżeli z antropomorficznem pojęciem n. p. Zeusa homerowego.

*Lwów.*

# Nieśmiertelność duszy w Sympozyonie Platona.

Napisał

**STANISŁAW SIEDLECKI.**

Co do pytania, czy Platon w Sympozyonie uznaje nieśmiertelność osobową, czy jej zaprzecza, pojawiły się w pracach ogłoszonych już w latach ostatnich zdania niezgodne, niekiedy wprost jedne drugim przeciwne Powód leży w tekscie, mianowicie w części dyalogu drugiej, gdzie włożone w usta Diotymy poglądy tak rozmaitej uległy interpretacyi. I do pewnego stopnia usprawiedliwić to można okolicznością, że w dyalogu tym nie założył sobie Platon zadania, aby podobnie jak w dyalogach innych przeprowadzić rozumowanie jakieś w granicach tematu danego, ale mając na oku cel inny, treść naukową usunął z umysłu na plan drugi i w najlżejszym tylko zarysie ją podał. Z tej właśnie przyczyny największą należy zachować ostrożność przy rozbiorze szczegółów i określeniu, jakie może mieć znaczenie całość tego ustępu. Prawdopodobnie nie będziemy nigdy w tem szczęśliwem położeniu, aby módz usunąć wszystkie przy rozbiorze takim nawijające się trudności — brak nam do tego wszechstronnej znajomości literatury Platonowi współczesnej i dawniejszej, z którą zaginęły na zawsze i wiadomości dla rozjaśnienia ich niezbędne — tem więcej za to nacisku położyć musimy na wniknięcie w treść, o ile ją z tekstu samego poznać możemy, zwłaszcza że rozchodzi się o odpowiedź na pytanie, łączące się tak ściśle z zagadnieniem o kierunku i rozwoju myśli Platona.

Część druga dyalogu rozpoczyna się w miejscu, gdzie po mowie Agatona zwraca się Sokrates do Eryksymacha z uwagą, w jak kłopotliwem znalazł się położeniu, mając zabrać głos po tak znakomitym mowcy, z którym niepodobna mu się mierzyć — a kończy się z chwilą

pojawienia się Alkibiadesa (198 A — 212 C). Sokrates, zaznaczywszy odmienne swoje pojmowanie mowy pochwalnej jakiejkolwiek, że mianowicie prawdę tylko mówić się w niej powinno, opowiada po wstępnej wymianie słów z Agatonem o rozmowie, jaką miał niegdyś z Diotymą, niewiastą mantynejską, która wtajemniczała go w misterya miłości i była mu w nich nauczycielką. Wykazuje mu na początku, że Eros, zajmując pośrednie miejsce pomiędzy istotami śmiertelnemi a bóstwem, należy do liczby demonów, podaje potem jego zakres działania, rodowód i charakterystykę i prostuje niektóre mylne o nim wyobrażenia. Zapytanie Sokratesa, jakie jest jego znaczenie dla ludzi, daje powód do zmiany tematu: rozpoczyna się rozmowa o uczuciu, którego wyobrazicielem jest Eros, tj. rozmowa o miłości, zmierzająca do bliższego oznaczenia, ku czemu ona wiedzie, a kończy się stwierdzniem przez Diotymę tej prawdy, że odnosi się do posiadania dobra na zawsze (ἔστιν ἄρα ξυλλήβδην ὁ ἔρως τοῦ τὸ ἀγαθὸν αὐτῷ εἶναι ἀεί — 206 A). Pojęcia dobra i piękna uważane są za identyczne (204 DE); możnaby więc innemi słowy powiedzieć: miłość odnosi się zarówno do posiadania dobra, czyli piękna, jak i do posiadania nieśmiertelności.

Ilekroć Platon w dyalogach innych dochodzi do jakiejś ogólniejszej prawdy i formułuje ją w sposób podobny, jak tutaj, czyni to zawsze w zamiarze, aby wynik rozumowania, które potem wprowadza, zestawić z tą prawdą ogólną i wykazać, że on z nią zgodny jest albo niezgodny. Czegoś podobnego oczekujemy i w naszym ustępie. Diotyma w zapytaniu zwróconem do Sokratesa chce się dowiedzieć, w jaki sposób i jaką drogą zmierzają ku celowi temu ludzie miłujący. Spodziewamy się, że jeżeli po bliższem poznaniu tego sposobu i tej drogi okaże się, że przez nie nie dochodzą ludzie do celu, tj. do posiadania dobra na zawsze, Diotyma pouczy Sokratesa o postępowaniu, które im to zapewni. Mogła to była także uczynić wprost przez zapytanie: w jaki sposób postępować się powinno, aby cel zamierzony osiągnąć? i w rozbiorze odpowiedzi dojść do pożądanego wyniku. Jeżeli obrała drogę, prowadzącą kołem do rzeczy i nie pyta się, co dziać się powinno, ale co zwykle się dzieje, to oglądamy się po zboczeniu takiem za krytyką i rozstrzygnięciem poruszonej sprawy. A Platon, powracając w podobnych wypadkach do porzuconego chwilowo wątku myśli, miejsce takie bardzo wyraźnie podkreśla i przypomina podstawę, z której wyszedł. Tutaj tymczasem nietylko że Diotyma sama zaczyna w odpowiedziach zastępować wymawiającego się niewiadomością Sokratesa, ale i forma zrazu dyalogiczna ustępuje zwolna miejsca wywodom Diotymy ciągłym i owego powrotu do założenia niema uwidocznionego nigdzie —

wszystko składa się tak, że o nim w dalszym toku ustępu zapominamy. Gdzież jest zatem oczekiwane pierwotnie zakończenie, gdzie jest odpowiedź na pytanie, jak można rzeczywiście dojść do posiadania dobra na zawsze, jeżeli z tego, co zwykle się dzieje, wyniku pożądanego, jak się później okaże, nie otrzymujemy? Znajdziemy ją na samym końcu przemówienia Diotymy: kto zdołał się wznieść do ujęcia idei piękna, ten posiadł rzeczywiste szczęście i nieśmiertelność — zastanowienie się nad całym przebiegiem myśli naprowadza nas z konieczności na ten ślad jego, pozornie gubiący się i niknący z przed oczu, a jednak niepostrzeżenie aż do końca utrzymany. Że zaś Diotyma, określając miłość jako pragnienie posiadania dobra na zawsze, miała na myśli nieśmiertelność indywidualną, wątpliwości ulegać nie może. Wszakże gdyby przez śmierć i jednostka sama ginąć miała, nie mogłoby być mowy o posiadaniu przez nią dobra i dalszem odczuwaniu stąd szczęścia, bo o czemś już nieistniejącem nie można utrzymywać, że ono posiada coś albo odczuwa. Jeżeli przeto Diotyma z końcem przemówienia znowu powraca do myśli nawiązanej poprzednio i wspomina o nieśmiertelności, to rzeczą jest jasną, że i tutaj mówi o nieśmiertelności indywidualnej.

Ale sposób wyrażenia się Platona w tem miejscu dał powód niektórym uczonym do podniesienia zarzutu, że nieśmiertelność, o której tu mowa, nie zgadza się z zasadami jego znanemi z dyalogów innych. Brzmienie tekstu jest takie: τεκόντι δὲ ἀρετὴν ἀληθῆ καὶ θρεψαμένῳ ὑπάρχει θεοφιλεῖ γενέσθαι, καὶ εἴπερ τῳ ἄλλῳ ἀνθρώπων ἀθανάτῳ καὶ ἐκείνῳ. Tłómacząc dosłownie: »a temu, który cnotę prawdziwą zrodził i uchował, przysługuje zostać bogów ulubieńcem, i jeżeli komuś innemu między ludźmi, to jemu przysługuje zostać nieśmiertelnym«. Horn w pierwszej seryi studyów swoich uczynił uwagę, że według zasad Platona albo się jest nieśmiertelnym, albo nie jest, ale zostać nim nie można. Najprzód jednak rzeczą jest bardzo wątpliwą, czy usprawiedliwione jest przywiązywanie tak wielkiej wagi do wyrazu γενέσθαι w tem właśnie miejscu. Zapewne, że gdzie mamy do czynienia z dowodzeniem jakiemś, gdzie zatem rozchodzi się przedewszystkiem o dokładność w określeniu pojęć, tam wymaga się bezwarunkowo ścisłości jak największej. Ale zdanie, w którem znajduje się to słowo, mieści się w ustępie, który cały tchnie poezyą podniosłą. Mowa jest o idei piękna. Jeżeli potem powiedziane: kto ją pozna, temu przypadnie los kochanka bogów, ten nieśmiertelnym zostanie — to słowa te tak naturalnie łączą się z poprzedniemi, że skrupulatność w ważeniu ich zbyt ścisłem granicy prawie z przesadą. Powtóre: nie naruszając w niczem myśli Pla-

tona, możemy powiedzieć, że chociaż wszyscy już obecnie jesteśmy nieśmiertelni, to przecież stan i świadomość tej nieśmiertelności inne są, dopóki w ciele fizycznem jeszcze żyjemy, a inne będą znowu po śmierci; co więcej, inne jest położenie w tej mierze człowieka, który doczesnością się ogranicza, a inne miłośnika mądrości, który już za życia usiłuje rozluźnić węzły, łączące go z ziemią i ciałem. Czy Platon ma na myśli jedno, czy drugie, w każdym razie mówi o czemś, co dopiero nastąpi, albo nastąpić może, tak, że użycie słowa γενέσθαι nietylko nie jest wadliwe, ale najlepiej myśl tę oddaje. Dla tychże samych powodów odpada również zarzut jeszcze inny, mianowicie, że Platon w słowach swoich przeznacza nieśmiertelność tej tylko szczupłej liczbie wybranych, którzy do poznania idei piękna wznieść się zdołali.

W ten sposób zyskalibyśmy klucz do rozwiązania zagadki. Jeżeli bowiem da się obronić domysł co do związku myśli w uwagach powyższych wskazanego, to można stanowczo obstawać przy zdaniu, że Platon w Sympozyonie nie porzucił myśli o nieśmiertelności osobowej. Wspomnieliśmy już, że owa łączność pomiędzy założeniem początkowem a zakończeniem przemówienia Diotymy nigdzie nie jest uwidocznioną. Gdzież przyczyna tego i jak sobie to wytłómaczyć? Zdaje mi się, że odpowiedź da się znaleźć po uwzględnieniu treści ustępu ostatniego (210 A - 212 B). Zaczyna się on od słów: »Otóż w te tajemnice miłości możesz i ty, Sokratesie, dać się wprowadzić, ale w ostateczne i w najwyższe, dla których i tamte istnieją, jeżeli kto trafnie ku nim postępować będzie, nie wiem, czy będziesz mógł wniknąć«.

Jestto widocznie zapowiedź czegoś, do czego Diotyma największą przywiązuje wagę, co jest końcem i celem nauki, którą Sokratesowi podaje. I następuje wskazanie drogi, prowadzącej do poznania idei piękna. Zajęcie się pięknością, objawiającą się w ciele, wiedzie ku piękności duszy, od piękności duszy postępujemy ku piękności zajęć i ustaw, potem ku piękności nauk, aż zapatrzeni w szerokie morze piękna, dojdziemy w końcu do jednej pewnej umiejętności, która właśnie tego piękna jest umiejętnością. Skreśliwszy potem istotę idei piękna i w mistycznym niemal zachwycie szczęście tego, komu się widok jej ukaże, kończy słowami: »Czy sądzisz, że marne jest życie człowieka, który się w nią zapatrzył i ogląda ją zawsze i z nią jest razem? Czyż nie pojmujesz, że tam jedynie patrząc na nią wzrokiem, jakim patrzeć należy, będzie mógł tworzyć już nie pozory tylko cnoty, bo nie pozór będzie ujmował, ale cnotę rzeczywistą, rzeczywistość samę ujmując — a temu, który cnotę rzeczywistą wytworzył i wypielęgnował, że przypada bogów ulubieńcem zostać i że jeżeli komukolwiek innemu między

ludźmi, to jemu przyjdzie nieśmiertelności dostąpić?«. Treść cała, sposób, w jaki Platon przez usta Diotymy pogląd swój rozwija, forma wreszcie odrębnością swoją i wykończeniem wybijająca się ponad dykcyę poprzednią — wszystko to przekonywającym jest dowodem, że w tym właśnie ustępie złożony jest środek ciężkości całej drugiej części dyalogu, że zatem wprowadzenie — za pośrednictwem idei piękna — teoryi o ideach było w niej głównym Platona zamiarem. Sprawa nieśmiertelności zajmuje tutaj miejsce drugorzędne; nie pominął jej milczeniem, ale główny nacisk na co innego jest położony. Rozbiór istoty miłości i łączące się z nim zagadnienie o nieśmiertelności posłużyły mu tylko za punkt zaczepienia, aby dać wyraz przekonaniu, że dopiero teorya idei jest uwieńczeniem całej jego nauki. Nie pochwałę Erosa położył sobie za zadanie — jest to tylko pozór —, w rzeczy samej zakończył peanem wyśpiewanym z głębi duszy, poruszonej świeżym jeszcze zapewne pomysłem o istnieniu idei zaświatowych. Zawdzięczał go Sokratesowi — to też trzecią część Sympozyonu poświęcił niezapomnianemu swemu mistrzowi, aby niepospolitą tę postać otoczyć aureolą czci i uwielbienia. A tak — gdzież mogło być miejsce na odwołanie się do owego założenia? Uczepienie dodatku takiego na końcu części drugiej — a tam tylko znaleźćby się mogło — byłoby zbyt rażące i niestosowne; wzmianka więc o nieśmiertelności musiała sama starczyć za wszystko.

Pozostaje jeszcze bliższe wglądnięcie w ustęp najważniejszy, bo mieszczący w sobie naukę o nieśmiertelności w innem, niewłaściwem znaczeniu. Diotyma rozpatrując sposób, w jaki objawia się w świecie dążenie do nieśmiertelności, podaje co do niej teoryę, którą tak można streścić: »Żadna jednostka sama dla siebie nieśmiertelną nie jest, może być tylko uważana za nieśmiertelną o tyle, że po śmierci pozostawia po sobie płody bądź cielesne bądź duchowe, które utrzymują się krócej lub dłużej, stosownie do swej trwałości; stąd i stopnie różne pojętej tak nieśmiertelności: znakomite płody duchowe są »dziećmi piękniejszemi i nieśmiertelniejszemi«, niż zwykłe potomstwo; pamięć Homera i Hezyoda albo Likurya i Solona będzie przez dzieła ich nieśmiertelną«. Platon nie daje nigdzie w dalszym ciągu wyraźnie poznać, że się z teoryą tą nie zgadza, owszem wszelkie pozory zdają się przemawiać za tem, że ją przyjmuje za swoją: Diotyma mieni ją przenośnie misteryami miłości stopnia niższego i poucza Sokratesa bezpośrednio potem o tajemnicach jej wyższych i najwyższych, kończących się poznaniem idei piękna, jak gdyby to wszystko z jednego pnia nauki Platońskiej wyrosło i wiązało się w jednę organiczną całość. Zastanówmy się jednak nad szczegółami jej rozumowania. »Człowieka — mówi — mieni się od lat

dziecięcych tymsamym, aż starcem zostanie, i człowieka tego tą samą zowie się osobą, chociaż nie posiada nigdy tychsamych części składowych: przecież on ustawicznie zmienia je na świeże, tracąc dawniejsze, czyto włosy, czy ciało, czy kości i krew i cały organizm. I nietylko co do ciała, ale i co do duszy, usposobienia, zwyczaje, mniemania, żądze, rozkosze, smutki, trwogi — wszystko to nie pozostaje nigdy w nikim niezmienne, ale jedno pojawia się a drugie ginie A co nad to dziwniejsza jeszcze, że i wiadomości nietylko jedne powstają a drugie nam nikną i nigdy pod tym także względem tymi samymi nie jesteśmy, ale każda nadto wiedza sama dla siebie tej samej ulega zmianie (ἀλλὰ καὶ μία ἑκάστη τῶν ἐπιστημῶν ταὐτὸν πάσχει). To bowiem, co ćwiczeniem się zowie, odbywa się z powodu znikania naszej wiedzy — bo zapomnienie jest zniknieniem jej — a ćwiczenie się nową znowu w miejsce znikającej wdraża i zachowuje ją, tak, że się tą samą wydaje (ὥστε τὴν αὐτὴν δοκεῖν εἶναι). W taki bowiem sposób utrzymuje się wszelka istota śmiertelna — nie, iżby tą samą zawsze była, jak bóstwo, ale przez to, że ustępując i starzejąc się, drugą taką młodą pozostawia, jaką była i sama. Taką to sprawą, Sokratesie, co śmiertelne, udział ma w nieśmiertelności, i ciało i wszystko inne, i inaczej dziać się to nie może« (ταύτῃ τῇ μηχανῇ, ὦ Σώκρατες, θνητὸν ἀθανασίας μετέχει, καὶ σῶμα καὶ τἆλλα πάντα· ἀδύνατον δὲ ἄλλῃ. 207 D—208 B). Diotyma więc zaprzecza w słowach ostatnich bezwarunkowo nieśmiertelności osobowej — a w określeniu miłości podanem przez nią, mieściło się właśnie jej uznanie — to zaprzeczenie zaś na jakiejże spoczywa podstawie? Jestże to nauka Platona? Nie — to nauka szkoły Heraklita, opierającej się o zasadę ciągłego wszędzie ruchu, zmiany i przepływu. Platon nietylko nie wyznawał nigdy tej teoryi, ale w Kratylu żartuje sobie z tej »zakatarzonej« filozofii, krytykuje ją, a w Teetecie stanowczo odrzuca. Diotyma utrzymuje, że każda w szczególności wiedza ustawicznie się zmienia, że przez ćwiczenie daje się wprawdzie zachować, ale zachowana ta wiedza wydaje się tylko tą samą, w rzeczywistości jest to wiedza nowa. Porównajmyż twierdzenia te ze słowami Sokratesa w Kratylu. »Jeżeli jednak wszystko się zmienia i nic niema stałego, to niepodobna mówić nawet o poznaniu. O ile mianowicie ono samo nie przestaje być tem, czem jest, jest zawsze niezmienne i pozostaje poznaniem; jeżeli zaś sama już istota jego zmienia się, to staje się ono temsamem istotą inną i poznaniem nie jest; a jeżeli dzieje się tak ustawicznie, to ustawicznie przestaje być poznaniem — i na takiej podstawie rozumowania nie istniałoby ani nic, coby mogło mieć poznanie, ani nic, coby mogło być rzeczą poznania« (Ἀλλ' οὐδὲ γνῶσιν εἶναι φάναι εἰκός, ὦ Κρατύλε, εἰ μετα-

πίπτει πάντα χρήματα καὶ μηδὲν μένει. εἰ μὲν γὰρ αὐτὸ τοῦτο, ἡ γνῶσις, τοῦ γνῶσις εἶναι μὴ μεταπίπτει, μένοι τε ἂν ἀεὶ ἡ γνῶσις καὶ εἴη γνῶσις· εἰ δὲ καὶ αὐτὸ τὸ εἶδος μεταπίπτει τῆς γνώσεως, ἅμα τ' ἂν μεταπίπτοι εἰς ἄλλο εἶδος γνώσεως καὶ οὐκ ἂν εἴη γνῶσις· εἰ δὲ ἀεὶ μεταπίπτει, ἀεὶ οὐκ ἂν εἴη γνῶσις, καὶ ἐκ τούτου τοῦ λόγου οὔτε τὸ γνωσόμενον οὔτε τὸ γνωσθησόμενον ἂν εἴη. — 440 AB). Niepodobna wobec tego wygłoszonej przez Diotymę teoryi uznawać za teoryę Platona — są to przekonania i poglądy nauce jego wprost przeciwne; a zatem i opierająca się na nich teorya nieśmiertelności nie jest teoryą jego ani z nią powiązać się nie da. I chociażbyśmy nigdy tych sprzeczności wyjaśnić sobie nie mieli, to raczej całą sprawę pozostawimy nierozwikłaną, ale w ramy nauki Platona nie możemy wtłaczać doktryny, której wyznawcą nigdy być nie mógł.

Jakież zapatrywania pojawiły się w tej mierze w czasach ostatnich? T. Gomperz nie uczynił żadnej zgoła wzmianki o poruszonych powyżej wątpliwościach a o nieśmiertelności duszy przygodną tylko podał uwagę — i to w dopiskach do rozdziału o Fedrusie — oświadczając krótko i stanowczo, że Platon nie uznaje w Sympozyonie nieśmiertelności indywidualnej (Griechische Denker II.[2] p. 577). To samo uczynił jeszcze wcześniej Lutosławski (O pierwszych trzech tetralogiach dzieł Platona p. 134). Można sobie to tylko wytłómaczyć przypuszczeniem, że obaj ci uczeni uznali nieśmiertelność, o której wzmianka jest na samym końcu przemówienia Diotymy, za nieśmiertelność w znaczeniu owem niewłaściwem, że zatem myśl Platona pojęli w ten sposób: rozmaita jest trwałość płodów pozostałych po człowieku; jeżeli doprowadził do tego, że wytworzył prawdziwą cnotę, to te dzieła jego będą stosunkowo najtrwalsze i człowiek uzyska też przez nie nieśmiertelność stopnia najwyższego — on sam zginie wprawdzie, ale dzieła jego będą utrzymywały się w świecie dłużej niż wszystkie inne. Ale chociażbyśmy nawet nie zgodzili się na domysł, że Diotyma powraca w tych słowach do założenia początkowego, to mimo to miejsca tego rozumieć tak nie można. Bezpośrednio przed tem powiedziane jest, że człowiek taki zostanie ulubieńcem bogów, a cała tradycya mityczna poświadcza, że ci, których bogowie otoczyli szczególniejszą swoją opieką, łaską i miłością, otrzymali od nich w darze nieśmiertelność rzeczywistą — bogowie ich albo do grona swojego przyjęli, albo zapewnili im w inny sposób życie szczęśliwe na zawsze. Takimi byli np. Menelaos, Tithonos, Kleiton, Memnon, Ganymed i wielu innych. Platon nie mógł stanąć w sprzeczności ze znaną powszechnie tradycyą, nie mógł zatem mieć na myśli innej nieśmiertelności, jak tylko indywidualną Nie uwzględnili tego ani Gomperz ani Lutosławski. Natorp usiłuje w zawiłem nieco rozumowaniu zająć jakieś po-

średnie stanowisko, ale skłania się widocznie ku temu samemu przekonaniu, kiedy mówi: »im Gastmahl scheint die persönliche Unsterblichkeit beinahe (!) preisgegeben« (Plato's Ideenlehre p. 127 i 166 nst.). Uznając wszystko, co mówi Diotyma, za pogląd Platona, wydał sąd połowiczny. Horn tłómaczył sobie zrazu sprzeczność chwiejnością Platona (Platonstudien p. 278), ale w seryi drugiej swoich studyów utrzymuje bez żadnych już zastrzeżeń, że w Sympozyonie porzucona jest myśl o nieśmiertelności osobowej a pojawia się natomiast teorya zupełnie odmienna: wszystkie cele ludzkich pragnień ściągnięte są z wyżyn zaświatowych na ziemię, tak, że dążeniu do wiedzy, do szczęścia, a nawet do nieśmiertelności już tutaj stać się ma zadosyć: w Fedonie i Państwie powrócił znowu Platon do nauki dawniejszej, znanej nam z Fedrusa i Menona. Czuje jednak Horn bardzo żywo nieprawdopodobieństwo takiej w Sympozyonie metamorfozy i zwrot ten w rozwoju myśli Platona mieni dwukrotnie nadzwyczajnym i niezwykłym (Eine ganz veränderte und höchst merkwürdige Gestalt zeigt die Unsterblichkeitslehre im Gastmahl. — Diese Gedankenfolge, die man wohl als den merkwürdigsten Abschnitt in der Entwickelung des platonischen Denkens bezeichnen darf i t. d.) Ale przyjmując wszystkie poglądy Diotymy, jak to rozumieli i inni, za zdanie Platona, uczynić inaczej nie mógł; ażeby zaś zmianę przecież w sposób jakiś uzasadnić, chwyta się rozpaczliwej hipotezy, że Sympozyon napisane zostało po Sofiście, że »jedynie« rozwinięte w Sofiście pojęcie bytu mogło wpłynąć na przewrot taki w umyśle Platona! (Platonstudien, Neue Folge p. 410 nst.). Rohde nie może się pogodzić z myślą, iżby Platon teoryę nieśmiertelności pojętej ze stanowiska Heraklitowego przyjmował za swoją: argumentacya ta była mu chwilowo dogodną, ale myśleć tak w żaden sposób nie mógł (Psyche II.[3] p. 148 i 308). Dlaczego jednak Platonowi dogadzało zajęcie takiego stanowiska w Sympozyonie, tego Rohde wcale nie tłómaczy i w całą sprawę bliżej nie wchodzi. Ks. Pawlicki broni przeciw Hornowi nieśmiertelności indywidualnej, ale sprzeczności w poglądach Diotymy nie dostrzega (Historya filozofii greckiej II p. 358 nst.). Nie dostrzegł jej także Joël, który sądzi, że Platon przyswajając sobie teoryę obcą, występuje poza granice jej i własnym poglądem ją uzupełnia (Der echte und der Xenophontische Sokrates II. p. 941 nst.). O doniosłości hipotezy jego będzie jeszcze poniżej mowa.

Jak się okazuje zatem, wszyscy wymienieni autorowie z wyjątkiem Joëla upatrują we wszystkiem, co głosi Diotyma, przekonania Platona. A czy Platon żadnej zgoła nie zostawił nam wskazówki w tej mierze, chociaż nie oświadcza się nigdzie przeciw zdaniom, których podzielać nie

mógł? — Kiedy Diotyma skończyła wywód swój o nieśmiertelności, ogarnęło Sokratesa zdumienie (καὶ ἐγὼ ἀκούσας τὸν λόγον ἐθαύμασα) i zapytał się: »Dobrze to wszystko, Diotymo najmędrsza, ale czy tylko tak jest w istocie?« (208 B). Cóż mogło być powodem tego zdumienia? Nie teorya Heraklitowa — była ona znaną współbiesiadnikom, jak zresztą świadczy krytyka jednego jej wyrzeczenia przez Eryksymacha (187 AB) — ale zastosowanie jej do nieśmiertelności; bo Sokratesowi utkwiła dobrze w pamięci rozmowa, miana przed chwilą z Diotymą: »— A zatem czy można tak wprost powiedzieć, że ludzie dobro miłują? — Można. — A czy nie należy dodać, że miłują także jego posiadanie? — Należy. — A czy nietylko to dodać należy, że miłują posiadanie jego, ale i to, że miłują posiadanie dobra na zawsze? — I to także. — Odnosi się zatem miłość, zbierając wszystko razem, do posiadania dobra na zawsze? — Największą mówisz prawdę«. (206 A). A teraz dowiaduje się od tejże samej Diotymy, że tych ludzi miłujących czeka zawód, bo ze śmiercią wszystko się dla nich kończy. Więc Platon jest tutaj widocznie po stronie Sokratesa, a nie Diotymy. Na zapytanie zdumionego Sokratesa odpowiada potem Diotyma »jak sofiści z zawodu« (ὥσπερ οἱ τέλεοι σοφισταί) i mówi o nieśmiertelnej sławie, pozostającej po dokonaniu dzieł znamienitych, dając za przykład Homera, Hezyoda, Likurga, Solona. Zauważył trafnie Joël, że porównanie z »sofistami z zawodu« byłoby bardzo niewłaściwe, gdyby Diotyma przemawiała tutaj w imieniu Platona, gdyby zatem Platon sam siebie niejako zestawiał z sofistami — i że styl jej w tem miejscu nosi na sobie wybitne piętno retoryki sofistycznej, znakomicie przez Platona wynaśladowanej. Ale Diotyma przypomina sofistów, jak sądzę, nietylko formułką użytą na samym początku: »bądź o tem przekonany jak najgłębiej« (εὖ ἴσθι), nietylko stylem retorycznym, ale jeszcze więcej zachowaniem się swojem i treścią odpowiedzi. Zamiast wybadać Sokratesa, co go tak zadziwiło, i zdać mu sprawę ze swojego wywodu, którego wyjaśnienia byłby niezawodnie zażądał, nie myśli wcale wdawać się z nim w rozprawę, do głosu go nie dopuszcza i zaczyna w najlepsze rzecz rozprowadzać dalej, nie posuwając jej bynajmniej naprzód. Wszakże Sokrates mógł był i teraz uczynić jej zarzut, że miłości owych poetów i prawodawców nie stało się zadość, że dążyli oni wprawdzie do celu, ale go ostatecznie nie osiągnęli.

Wskazówki te uboczne mogą tylko utwierdzić nas w przekonaniu, że jeżeli Platon i w tym ustępie przez usta Diotymy nie przemawia od siebie, to tem mniej tam, gdzie na podstawie nauki szkoły Heraklita oparta jest teorya nieśmiertelności nieosobowej. Jestto prawdopodobień-

stwo, które staje się dla nas prawie koniecznym z premis danych wynikiem. Mniej jasnymi są nam powody, dla których Platon nie odpiera otwarcie twierdzeń zasadom swoim przeciwnych, dlaczego pozostawił własnej naszej domyślności trudne poniekąd rozgraniczenie myśli swoich własnych od obcych, dlaczego dwie tak różne role przydzielił tejże samej Diotymie a zachował pozory, jak gdyby to była rola tylko jedna, co wreszcie za osobistość kryje się pod maską pierwszą. Pytania te łączą się wprawdzie pośrednio tylko z tematem naszym, ale o ile w związku z nim pozostają, milczeniem zupełnem pominąć ich nie można.

Co do polemiki najprzód, to zaniechanie jej tłómaczyć sobie możemy z jednej strony układem i celem drugiej części dyalogu, z drugiej względami na jego całość. Platon dał nam w Sympozyonie pierwszorzędne arcydzieło poezyi i sztuki mimetycznej; jeżeli jest tam i treść naukowa, to pomieścił jej tyle tylko i takiej, ile koniecznie pomieścić mu wypadło i która większego napięcia umysłu nie wymagała. Powaga rozprawy ścisłej byłaby zamgliła pogodne tło uczty swobodnej, dłuższa jej rozciągłość psułaby harmonię całości a przez pobieżną wzmiankę jakąś nie zyskalibyśmy nic więcej nad to, co i bez niej także wyjaśnione być może. Z tem wszystkiem ułatwione jest zadanie nasze, gdzie jeszcze na tekście oprzeć się możemy, albo odwołać do innych znanych źródeł; gorzej, ilekroć znajdziemy się bez takiej pomocy i wypadnie się domniemywać szczegółów, które mogły być bardzo dobrze znane czytelnikom współczesnym a dla nas na zawsze przepadły Platon pisząc podobno przedewszystkiem dla najbliższych w akademii towarzyszy i przyjaciół, mógł użyć często czyto zwrotu jakiegoś, czy porównania lub wyrazu, który mówił sam za siebie obeznanym ze stosunkami towarzyskimi i literaturą współczesną, a dla nas pozostaje bez znaczenia; rozgraniczenie zatem pomiędzy myślami Platona a czyjemiś innemi bardzo jest utrudnione, gdzie wątpliwości jakieś zachodzić mogą. Może Joël za daleko posuwa się w niektórych domysłach swoich i zanadto śmiałemi posługuje się kombinacyami, ale kiedyśmy już zmuszeni do przypuszczenia, że Diotyma na początku dłuższych swoich przemówień podaje nie myśli Platona, ale naukę mu obcą, hipoteza Joëla, że osobistością tą jest Antystenes, jest ze wszech miar godną uwagi. Stosunek Platona do Antystenesa nie mógł być nieprzyjaznym, bo obaj byli uczniami najwierniejszymi tego samego mistrza; owszem wspólność tradycyi i zasad pewnych łączyła ich bliżej, a chociaż antagonizm spowodowany odmiennym kierunkiem dróg, jakiemi postępowali, miał się ujawnić wydaniem przez Antystenesa pisma »Sathon«, w którem ubliżył podobno Platonowi, to o Platonie wiadomości takiej nie posiadamy. W dyalogach

swoich nie wymienia nazwiska jego nigdzie z wyjątkiem Fedona; w Eutydemie i Teetecie polemizuje z jego nauką — a prawdopodobnie odnoszą się i w innych dyalogach wzmianki niektóre do niego — ale niema najmniejszego powodu do podejrzenia, żeby niechęć jakąś głębszą przeciwko niemu żywił. O wiele wyższy od niego geniuszem, wychodził zapewne zwycięsko w oczach znawców z walki piśmienniczej, ale niezawodnie czcił obok tego i szanował wielki i niezłomny charakter swego przeciwnika. Włożenie w usta tejże samej Diotymy nauki jego i własnej miałoby zatem pewne swoje znaczenie, byłoby niejako przypomnieniem, co ich dotąd jeszcze jednoczy, i wskazówką, gdzie prawdy szukać należy — jak gdyby mówił: »Jedną żyjemy myślą wprowadzenia w życie zasad w spadku po mistrzu naszym odziedziczonych; ale nauka przez ciebie podawana krytyki surowszej nie wytrzymuje, a obecnie czyż tłómaczy istotę miłości i nieśmiertelności, o której rozprawiasz? Miłość twoja musi ze śmiercią się kończyć, a w śmierci tej ginie i jednostka bezpowrotnie. Gdybyś mógł podążyć w sfery wyższe i wniknąć w tajemnice mądrości głębsze, przyznałbyś mi słuszność, że tylko nauka o ideach do celu doprowadzić może«. — Joël przypuszcza, że w pismach Platona można odnaleźć wiele pierwiastków nauki Antystenesa, że w Sympozyonie przyjmuje ją w całości za swoją, rozszerza granice jej i w sposób swój ją uzupełnia. Nauka ta jest według Joëla stopniem, na którym Platon staje i po którym wyżej wstępuje. Krytyka dzieła jego wykaże kiedyś, ile w tem wszystkiem może być prawdy — co do Sympozyonu jednak wypadnie stanowczo sprzeciwić się Joëlowi, iżby Platon zużytkowaną przez Antystenesa teoryę szkoły Heraklita wcielić miał także do swojej nauki. Mógł przejąć inne jego twierdzenia, rozwinąć je po swojemu lub formę im nadać lepszą, ale zasady ciągłego we wszystkiem ruchu i zmiany nie przejął nigdy i zgodzić się z nią nie mógł.

Ale cokolwiek stanie się z hipotezą Joëla, zagadnienia naszego nie dotyka to bezpośrednio. Wykazaliśmy, że osobistość osłonięta dla nas tajemnicą przez Platona — czy nią będzie Antystenes, czy ktokolwiek inny — głosi teoryę nieśmiertelności, która nie jest teoryą Platona że zatem w Sympozyonie niema zaprzeczenia nieśmiertelności indywidualnej; przeciwnie, zbadanie treści w drugiej części dyalogu stwierdza ją pośrednio. Okazuje się stąd, że Platon nie zajął w Sympozyonie żadnego wyjątkowego co do niej stanowiska i że niema żadnego powodu do przypuszczania tak wielkiego w jego zapatrywaniach przewrotu.

*Kraków.*

# Nowsze poglądy

## na genezę fleksyi w językach indo-europejskich.

Napisał

G. BLATT.

Kwestya na zawsze, jak się zdawało, usunięta z porządku dziennego, od niejakiego czasu staje się znowu przedmiotem dyskusyi naukowej. Wbrew wszelkim zastrzeżeniom i uroczystemu potępieniu przez powagi naukowe, pytania, odnoszące się do początków fleksyi, jak wogóle wszelkie tego rodzaju zagadnienia, będą zawsze nęciły umysły ludzkie, jakkolwiek pozytywnych, a choćby nawet bardzo prawdopodobnych wyników spodziewać się pod tym względem nie można. Albowiem początki fleksyi naszych języków sięgają odległej i zamierzchłej przeszłości, o wiele odleglejszej, aniżeli doba prajęzyka, już sama przez się leżąca poza granicami zabytków historycznych. Jak wiadomo, przez prajęzyk rozumiemy w gramatyce porównawczej dobę języka, poprzedzającą powstanie języków odrębnych, historycznych (pomijamy tutaj trudne pytanie, tyczące się ustalenia owej doby — nie pod względem chronologicznym naturalnie, bo o tem mowy być nie może, — ale pod względem faktów językowych, tzn. które fakta głosowniowe, fleksyjne i t d należy odnieść do owej doby wspólnej, a które uważać za wytwór samodzielny poszczególnych języków; por. o tem artykuł nasz w Eosie t. VIII. »O zadaniach i metodzie gramatyki por.«). Przypuszczając zatem istnienie prajęzyka, już choćby jako postulat logiczny pokrewieństwa języków indo-europejskich, uważać musimy koniecznie ów prajęzyk pod względem budowy wyrazów, pod względem morfologicznym, za podobny do języków historycznych, za język fleksyjny; a zatem w owej dobie

fleksya była już faktem dokonanym (rozumie się: w ogólności, pomijając nowotwory fleksyjne, później powstałe) Otóż wszystkie badania gramatyki porównawczej i wszelkie jej konstrukcye na podstawie faktów, dostarczonych przez języki historyczne, docierają jako do ostatecznego i dostępnego jej punktu: do prajęzyka o budowie fleksyjnej. Co poza tą granicą było, nieznane nam, do tego środków nie mogą dostarczyć nam badania porównawcze. Dlatego też zupełnie słusznie ze swego stanowiska gramatyka porównawcza uchyla się od odpowiedzi na tego rodzaju pytania, na tzw. pytania glotogoniczne. Ale pytanie, czy gramatyka wogóle, jako umiejętność rozleglejsza, może pozostać na tem samem stanowisku, na stanowisku wyłącznego sceptycyzmu? Sprawa ma się tu podobnie jak w naukach przyrodniczych, które nie ograniczają się wyłącznie do konstatowania i opisania pewnej liczby gatunków istot organicznych, lecz usiłują przedrzeć się do epoki powstawania owych gatunków, z obserwacyi nam znanych. Otóż i językoznawstwo znajduje się w tem samem położeniu i od niego żądają odpowiedzi na zawiłe pytanie, jak powstały znane formy wyrazów w naszych językach. Aby módz na to odpowiedzieć, gramatyka uwzględnić musi dwie okoliczności: 1) pewne ślady stosunków przedfleksyjnych, zachowanych jeszcze tu i ówdzie w faktach językowych epoki fleksyjnej — a takie na szczęście są jeszcze dosyć liczne; 2) stosunki języków innych, nieindo-europejskich, — a więc uciekać się trzeba w tym wypadku, jak nieraz i w innych naukach indukcyjnych, do wniosków z analogii.

Teorye fleksyjne, zbudowane dawniej na tej podstawie, nie zdołały zjednać sobie ogólnego uznania. Mamy tu na myśli teoryę aglutynacyjną Boppa, twórcy gramatyki porównawczej, i teoryę adaptacyjną Alf. Ludwiga (pomijamy tutaj fantastyczne zgoła pomysły Fryd. Schlegla i Westphala, znane pod nazwą »teoryi ewolucyjnej«, o których najłatwiej poinformować się można w dziełku Delbrücka »Einleitung in das Sprachstudium«). Co głównie przyczyniło się do zdyskredytowania tych teoryi, to nie tyle ich skrajna wyłączność, uznająca w tworzeniu się form fleksyjnych tylko jedną zasadę, albo aglutynacyi, albo adaptacyi, podczas gdy prawdopodobnie tych zasad było więcej — jak raczej głównie ta okoliczność, że zarówno Bopp (i jego zwolennicy, np. Curtius) jak i Ludwig w swych konstrukcyach nie wiele zważali na prawa głosowniowe, że przyjmowali tego rodzaju zmiany i przeobrażenia fonetyczne, których niczem nie zdołali udowodnić.

Więc najpierw co się tyczy teoryi aglutynacyjnej Boppa, która przez długi czas cieszyła się prawie ogólnem uznaniem, to podług niej rzecz miała się w sposób następujący. W epoce przedfleksyjnej mowa

indo-europejska składała się z samych pierwiastków jednozgłoskowych, a zatem pierwiastek stanowił wyraz prajęzyka owej doby. Bopp odróżniał dwie klasy pierwiastków: pierwiastki słowne i zaimkowe (podług innych: »orzekające« i »wskazujące«); pierwsze wyrażały czynność albo istnienie, i z nich rozwinęły się później imiona i słowa (nomina-verba), drugie zaś oznaczały różne stosunki tych pierwiastków słownych (któreby lepiej nazwać można pierwiastkami »materyalnymi«) do siebie i do osoby mówiącego; z nich wyszły zaimki, przyimki i partykuły (możnaby je dlatego nazwać pierwiastkami »formalnymi«). Przykład na pierwiastek słowny czyli materyalny: *bhér- (podajemy wokalizm podług zapatrywań obecnie panujących; za czasów Boppa i później jeszcze wokalizm przyjmowano w postaci staroindyjskiej: *bhar-), to *bher- oznaczało zarówno czynność, jak wskazuje urobione od niego słowo: s. bhárati, gr. φέρω, etc., — jakoteż osobę działającą lub też przedmiot czynności (nomen actionis): gr. φόρος »danina«, s. bháras »zdobycz«, »zysk«. Przykład na pierwiastek zaimkowy czyli formalny: *to-, z niego rozwinęły się formy zaimka wskazującego: gr. τόν etc., s. tam etc., ł. is-tum etc., i partykuły wskazujące: s. tá-tas »stamtąd«, »skąd«, ł. tum (to-m), słow. tŭda, pol. tędy (= s. tadá, lit. tadà). Z połączenia pierwiastków słownych z formalnymi powstała tedy podług Boppa fleksya, a mianowicie z połączenia pierwiastków słownych z pierwiastkami zaimków wskazujących powstały formy deklinacyjne: nom sg. ł. pēs z √ ped- (cf. s. pád-ya-ti »przychodzi«) i z √ so (w s. sa, gr. ὁ etc.); z połączenia zaś tych samych pierwiastków słownych z zaimkami osobowymi powstały formy konjugacyjne: gr. εἰμί z *es-mi, gdzie -mi wynikło z pierwotnego *me- w gr. ἐμέ etc. Tak samo zgłoski tematyczne, zarówno deklinacyjne jak i konjugacyjne, powstały z takich pierwiastków zaimkowych: samogłoska tematyczna e/o- w deklinacyi i konjugacyi powstała z pierwiastka zaimkowego: e-, zawartego w skr. a-sāu »ów«, gr. ἐ-κεῖνος etc. W ogólności teorya ta przedstawia pewne prawdopodobieństwo, przemawia za nią np. podobieństwo niektórych końcówek osobowych słowa do tematów zaimków osobowych: -mi do ἐ-μέ, 1. pl.-mes (dor. φέρ-μες) do lit. mēs »my«, końcówka 2. sg. imper. med. *-su̯o (s. bhára-sva, gr. φέρου z *φερε-σ-ο do tematu zaimka zwrotnego *su̯o- w ł. sui, suus, słow. svoj, s. svas. Dalej popiera tę teoryę analogia innych języków, np. semickich i uralo-altajskich, gdzie w końcówkach konjugacyjnych nie trudno dopatrzyć się elementów zaimkowych. Jednakowoż gdy się chce udowodnić to na całym materyale fleksyjnym, nasuwają się trudności nieprzezwyciężone. Już np. końcówka 2. sg. -si nie da się wyprowadzić od tematu zaimka 2. sg. tve- w gr.

sé, s. tvā); gorzej jeszcze z końcówkami medyalnemi i t. d. Dodać trzeba jeszcze, że Bopp w przyrostkach tematycznych upatrywał nie tylko pierwiastki zaimkowe, ale również i pierwiastki słowne, np. w *s* aorystu widział szczątek √ es- »być«, w zgłosce perf. łacińskiego -vi, -ui (delevi, monui) — √ bhū-, połączony z pierwiastkiem słownym; jednak późniejsze badania okazały, że to nowotwory specyalnie języka łacińskiego, przy których przecież trudno myśleć o łączeniu się nowych elementów językowych z pierwiastkiem (obecnie przeważa zdanie o związku etymologicznym tych perfektów łacińskich z perf. s. dadáu etc.). Pomijamy tutaj trudność głosowniową: przemianę pierwotnego bh w łacińskiem na v-; z takich trudności Bopp nie zdawał sobie jeszcze sprawy.

Nie dziw tedy, że teorya aglutynacyjna nie mogła wszystkich zadowolić i że zaczęto oglądać się za innymi sposobami tłómaczenia powstania fleksyi. Najoryginalniejszą była podówczas teorya adaptacyjna Alf. Ludwiga.

Ludwig, wielki znawca literatury wedyjskiej i komentator Rygwedy, utrzymuje, że nie masz właściwie ścisłej różnicy między przyrostkami tematycznymi a końcówkami fleksyjnemi, że właściwie w prajęzyku (w dobie przedfleksyjnej) istniały tylko tematy, a w dalszem stadyum rozwoju języka, kiedy zaczęto uczuwać potrzebę osobnych wykładników formalnych dla wyrażenia różnych stosunków pojęć do siebie i do czynności słowa, z końcówek tematycznych rozwinęły się końcówki fleksyjne, adaptując się pod względem dźwiękowym do zaimków osobowych. Więc to, co obecnie nazywamy deklinacyą jakiegoś imienia, to właściwie szereg tematów imiennych, których zakończeniom z biegiem czasu podsunięto znaczenie końcówek deklinacyjnych, odpowiednio do nowo powstałej potrzeby wyrażania różnych względów gramatycznych (miejsca czynności: locativus, punktu wyjścia czynności: ablativus, celu: dativus), — a to, co obecnie się nazywa konjugacyą jakiego słowa, to znowu szereg tematów słownych, których zakończeniom podsunięto znaczenie osób czynności, adaptując je formalnie do już istniejących zaimków osobowych. A więc podobieństwo, które istotnie zachodzi między końcówkami osobowemi, a zaimkami osobowymi, jest czemś przypadkowem, uzyskanem w »walce o byt« różnych form tematycznych (to słaba strona teoryi, która uciekać się musi do przypadku). Opiera się ta hypoteza Ludwiga na pewnych właściwościach dyalektu wedyjskiego.

Tu rzeczywiście czasami końcówki osobowe pomieszane ze sobą, np. zamiast końcówki 3 sg. medii -tē występuje nierzadko końcówka

1 sg. medii -ē: bruvḗ zamiast brūtḗ (od √ brū- »mówić«), śáyē zamiast śḗtē (od √ śī- »leżeć«), śṛṇvḗ = śrnutē (od √ śru- »słyszeć«) i t. d., podobnie jak we wszystkich epokach języka staroindyjskiego 3. sg. med. perf. = 1. sg.: bubudhḗ (1. i 3. sg. med. perf.), odmiennie jak w greczyźnie: πέπυσμαι: πέπυσται. Dalej końcówka 2. sg. ind. -si pojawia się ze znaczeniem 2. sg. imper.: nḗṣi = náya (od √ nī- »prowadzić«), yákṣi = klasycznemu yája (od yaj- »ofiarować«), śrṓṣi = klas. śṛṇu etc. — a zatem pomieszane tryby. Na tem więc oparł L. twierdzenie swoje, że w ogóle pierwotnie te tzw. końcówki osobowe nie były przywiązane do jakiejś pewnej osoby, lecz stanowiły koniec tematów słownych, obojętnych na względy gramatyczne; z czasem dopiero pod wpływem zaimków osobowych ustaliły się pewne końcówki ze znaczeniem osób i liczb. Te tematy słowne stanowiły zatem podług L. rodzaj bezokoliczników czyli imion czynności — »nomina actionis«. Wiadomo, że w dyalekcie wedyjskim (podobnie jak i w języku Awesty) bezokolicznik ma nader różne zakończenia, -i: dṛśi »widzieć«, budhí »czuwać«; ē (= -ai): dṛśḗ, diśḗ »pokazać«, = ł. agī, gr. χεῦαι, ἐνέγκαι; od tematów na -s: jiṣḗ »zwyciężyć«, stuṣḗ «wielbić«; od tematów na -as- (praj. -es-): bhárasē »nieść«; od tematów na -u-: kártum »czynić«, bhártum »nieść« (te inf. na -tum zapanowały wyłącznie w języku klasycznym); od tematów na -a- (praj. o-): ā-vṓcam »wzywać«, ā-sadam »usiąść«; por. umbr. erom »esse«, osk. ezum. Zwykle uważa się te inf. za przypadki uboczne jakiegoś imienia czynności, mianowicie inf. z końcówką -i za loc., z końcówką -ē (= ai) za dat., z końcówką -tum, -am (praj. -om) za loc. i t. d. Podług L. zaś były to po prostu jakieś tematy pierwotne, ze znaczeniem czynności wprost, zresztą ani tematy słowne, ani imienne: nadto trzeba dodać, że uczony ten owe różne zakończenia: i, ē, am etc. wywodzi od jednego przyrostka, przyjmując takie zmiany głosowniowe, których nauka zgoła nie uznaje.

Z tych zakończeń więc L. wyprowadza końcówki osobowe słowa i końcówki przypadkowe imienia: -i końcówka loc. sg. (s. padí, gr. ποδί, ł. pedĕ;) — a w konjugacyi końcówka 1. i 3. sg. medii (pass.) czasów historycznych s ádviṣi (od dviṣ- »nienawidzić«), ápādi (od pad- »przybywać«); z zakończenia -ē (-ai) wyprowadza końcówkę dat. sg. s. padḗ, ł. pedī, sł. nebesi, i zarazem końcówkę 1. (i 3.) sg. medii czasów głównych: s. bhárē, bubudhḗ, ł. vidī (które przybrało w łacinie drugorzędnie znaczenie czynne).

Poglądy Ludwiga, jakkolwiek w niektórych wypadkach znajdują poparcie w pewnych faktach językowych (np. 2. pl. pass. w ł. legiminī rzeczywiście przedstawia temat imienny, tj. inf. wciągnięty w zakres

konjugacyi, prawdopodobnie dat. sg. tematu imiennego na -men-, por. gr. ἴδμεναι = s. vidmánē, do którego istnieje jeszcze nomen vidmán- »uwaga«) — jednak w tej rozciągłości, jakto L. przyjmuje, nie dadzą się utrzymać [1]). Wspominamy o tej hypotezie głównie z tego powodu, ponieważ niedawno podjął ją na nowo H. Hirt w rozp. »Über den Ursprung der Verbalflexion im Indogermanischen« Id. For. t. XVII.

Hirt wychodzi z trafnego spostrzeżenia, że elementa formalne konjugacyi, zarówno tematyczne jak i fleksyjne (końcówki osobowe) napotykamy również w deklinacyi imienia (i to trzeba dodać, że w deklinacyi liczba ich o wiele znaczniejsza). I tak w zakresie tematów, pomijając już tzw. samogłoskę tematyczną o/e-: φόρο-ς, φόρε, φέρο-μεν, φέρε-τε (tutaj przypominamy dalsze podobieństwo: istnienie deklinacyi spółgłoskowej: ποδ-ί, i konjugacyi nietematycznej: εἶ-μι) — wszystkie inne przyrostki tematyczne słowa odnajdujemy znowu w zakresie tematów imiennych. I tak nosówkę -n- jako wrostek (infixum) słów klasy 7. indyjskiej: √ bhid- 1. sg. bhi-ná-d-mi, 1. pl. bhind-más, ł. findo (fid-i), scindo (scid-i), sł. sędą: inf. sêsti; jako przyrostek klasy 9. indyjskiej -nā-: krī-ṇā-ti »kupuje« (= gr. πρίασθαι), albo w gr. δάμνη-μι, -να-μεν obok δαμάω, ł. domare, s. dámyati »poskramia«. Tę samą nosówkę znajdujemy znowu jako przyrostek tematów imiennych: gr. ὕπ-νο-ς (s. svápna-s, ł. somnus z *svep-no-s, do słowa s. svápi-ti »spi«. 2. Przyrostek je-/jo- w konjugacyi (klasa 4. indyjska): páś-ya-ti, ł. specio, w gr. φαίνω z *φαν-ιω, w sł. 2. sg. pišeši z *pis-je-ši; jako przyrostek tematów imiennych: ἅγιο-ς, s. yaj-ya-s »venerandus«; s. pítr-ya-s, gr. πάτριος, ł. medius, sł. mežda, pol. miedza z *medjo, jā-. 3. Przyrostek -skho- e- (sqho-, sqo-) w tematach imiennych: βοσκή »pasza«, βοσκό-ς »pasterz«; staro-górnoniem. forsca, = nowo-niem. »Forschung«. s. pṛcchá »pytanie«; ten sam przyrostek w temacie słownym: s. pṛcchāti, ł. posco = *porc-sco, praj. *pṛ̂k-skho- (forma normalna zgłoski pierwiastkowej *prek- w ł. precor, cf. proc-us, sł. prositi, s. praś-nás »pytanie«). Rozpowszechnił się ten przyrostek głównie w gr. i ł. w słowach poczynających (incohat: γηράσκω, conticesco, a nadto w gr. w wyrazach zdrobniałych: νεανίσκος; w słow. jako przyrostek przym. božĭskŭ, dĕtĭskŭ.

4. Przyrostek -s, -es, -əs- tematów imiennych odnajdujemy znowu w konjugacyi jako charakter tematu aor. (i futur.) ἤδεα = s. ávēdiṣam, praj. *é-veid-əs-m, formacya podobna do tematu imiennego: κρέας, s. kravis, praj. *kreu̯-əs-.

Z tych i tym podobnych faktów wywnioskować wolno, że tematy słowne polegają na tematach imiennych, czyli że ostatnie są podstawą konjugacyi słowa; spostrzeżenie to popierają fakta, wystę-

pujące w językach innych szczepów (nieindo-europejskich). Hirt jednak idzie dalej i utrzymuje, że i końcówki osobowe w konjugacyi słowa powstały z zakończeń tematów imiennych, co nie wydaje nam się prawdopodobnem (przypominamy analogiczne twierdzenie Ludwiga). H. przedstawia ten proces w sposób następujący. Najprzód poddaje rozbiorowi formy przypadkowe imienia i wyróżnia w nich następujące trzy warstwy: 1) pewna liczba przypadków nie posiada wogóle cechy fleksyjnej, czyli przedstawia czysty temat — albo, jak H. (za przykładem Böhtlingka) nazywa: casus indefinitus; jestto najdawniejsza warstwa, pochodząca z owej doby, kiedy jeszcze wogóle nie było wykładników formalnych dla względów gramatycznych.

Tu należą: nom. sg. tych wyrazów, które i w czasach historycznych rozwoju języka obchodzą się bez -s (Bopp i jego zwolennicy, głównie Schleicher, przypuszczali tutaj odpadnięcie końcówki przypadkowej): *temata żeńskie na ā-, gr. χώρᾱ, ł. terra, sł. ręka etc.*; *temata* spółgłoskowe na men-, er- etc., jak ποιμήν, ἡγεμών, homo, kamy, — ἀνήρ, s. nā (acc. nár-am), pater, s. pitā (acc. pitár-am), sł. mati (gen. mater-e), na s: s durmánās, gr. δυσμενής, ł. degener. Dalej wszystkie temata nijakie, z wyjątkiem tematów na o-: πολύ, goc. filu, s. purú, ł. genu.

Ten sam »casus indefinitus« przedstawiają locativy wedyjskie bez końcówki (w innych językach tylko jako bezokoliczniki lub przysłówki używane): mūrdhán = klas. mūrdháni »w czaszce«; kárman = kármaṇi »w czynie« etc. Por. gr. inf. ἔμεν, adv. αἰέν: αἰών. To samo tyczy się loc. tematów na i-, u-: wedyjskie agnā́ od nom. agní-s (klasyczny loc. agnāu analogiczny) z *agnāi, por. goc. (dat.) anstai od ansts »łaska«, może i słow loc. ogni, s. sūnáu od sūnú-s, sł synu z praj. *sūnēu, ł. senatū. W końcu voc. sg. ἵππε, eque, vlŭče etc., ágnē, ogni, πόλι; temata na u-: sūnō, synu. Gdzie voc. kończy się na -s, jak nominativus, tam jestto objaw późniejszy. Ta sama formacya pojawia się także jako pierwsza część wyrazów złożonych: οἰκο-γενής, w których to οἰκο- miało, jak się zdaje, znaczenie miejsca. Z tego widać, że ten »casus indefinitus« był wszystkiem i niczem, czyli po prostu temat mógł wszystkie względy wyrażać. Czy koniecznem zatem było wprowadzać nowy termin, kiedy dawniejszy »temat« w ten sam sposób pojmowano, to inne pytanie.

Drugą warstwę podług H. stanowią te formy przypadkowe, w których do cas. indef. (czyli do tematu) przystąpiły jakieś elementa określające, determinatywne; w tych dawniej upatrywano pierwiastki zaimkowe, w nowszych czasach zaś jakieś partykuły, może ze znaczeniem miejsca; są to: końcówka loc -i i dat. -ai (ostatnia zdaje się być

tylko wymianą samogłoskową tamtej); to -i było partykułą ze znaczeniem miejsca, zawartą np. w przysłówkach polskich: wczora-j obok dawniejszego: wczora, tutaj, ludowe: tamoj (H. przypuszcza, że jest identyczne z gr. οὗτοσί, jednak tu ī długie). Otóż takie formy, jak loc. s. mūrdhán-i, padí, gr. ποδί (przybrało drugorzędnie znaczenie dativu), ł. pedĕ z *pedī, powstały z dawniejszego cas. indef. mūrdhán etc. za dodaniem partykuły wskazującej: i, i to wówczas, kiedy cas. indef. już nie wystarczał w poczuciu mówiących i zaczęto szukać formalnych wykładników dla wyrażenia tego względu gramatycznego. Tak samo powstały loc. gr. οἴκοι, tj. οἶκο-ι obok dawniejszego *οἶκο w οἰκο-γενής, ł. Romae, s. aśvē itd. Trudniejsza sprawa z końcówką dativu: -ai w gr. ἵππῳ z *ἵππο-αι, χώρᾳ z *χωρᾱ́-αι itd; por. s. padē = pad-ē, z praj. *ped-ái — że to s. -ē oznacza pierwotne -ai, tego dowodzą inf. gr. δόμεν-αι = s. vidmán-ē, δοῦναι z *δοϝεναι, por. s. dāvánē, albo dativy utworzone ze zgłoski pierwiastkowej, np. inf. (wedyjski) dáśē, dṛśē, ł. agī, gr. ἐνεγκαι. Trudność jest pod względem składniowym, gdyż obecnie kwestyonują rzekomą pierwotną naturę lokatywną tego przypadka (Delbrück).

Uwaga. Hirt pominął ważny, naszem zdaniem, fakt, że samogłoska *i* odgrywa jeszcze znaczną rolę w zakończeniach deklinacyjnych, zwłaszcza w deklinacyi zaimkowej, gdzie głównie pojawia się w liczbie mnogiej: nom. pl. gr. τοί, s. tē, ł. is-tī, sł. ti, lit. tẽ, praj. *toi; — dat. pl. s. tē-bhyas, sł. tê-mŭ, lit. tẽ-ms (w lit. słow. wprawdzie inny przyrostek, ale to *i* charakterystyczne tak samo występuje, jak w sanskrycie); — instr. pl. s. tāis, gr. τοῖς (dwugłoska skrócona, ł. is-tīs; — loc. pl. s. tē-ṣu, gr. τοῖσι, sł. tê-chŭ, Dodać trzeba ten szczegół, że w deklinacyi tematów rzeczownikowych na o- to *i* w przeważnej liczbie języków również się pojawia: nom. pl. gr. ἵπποι, ł. equī, lit. vilkaĩ, słow. vlŭci (natomiast nieznane w s. áśvās, goc. wulfōs); tak samo w instr., dat. i loc.: áśvāis, ἵπποις, equīs, vilkaĩs, vlŭky (y = ōis); — áśvēbhyas (w innych nieznane); — áśvēṣu, ἵπποισι, vlŭcêchŭ. Zdaje się, że punkt wyjścia stanowiła deklinacya zaimkowa, podług której uformowały się odpowiednie przypadki deklinacyi rzeczownikowej. Należało więc, zdaniem naszem, poddać analizie tę deklinacyę zaimkową (H. analizuje tylko deklinacyę zaimków osobowych) i wyjaśnić znaczenie tego elementu dodatkowego. Zdaje się, że jest on identyczny z partykułą *i* wyżej wymienioną, albo też może z pierwiastkiem zaimkowym i- w ł. is, goc. is = niem. er, sł. i-že, lit. jìs, s ay-ám »ten«. W ten sposób wytłómaczyćby można taki nom. pl. *toi jako: to-i »ten i ten« = ci; z powodu tego

też to *i* tak charakterystycznie występuje w l. mn. (w l. poj. tylko w instr. tēna, i podług tej analogii w dekl. rzeczownikowej: áśvēna).

Drugą taką formacyę, polegającą na złożeniu (aglutynacyi), przedstawiają te przypadki, w których występuje element -bhi, zdaje się spokrewniony z przyimkiem s. abhí »do, ku«, słow. obŭ, ł. ob- etc. Element, rozmaicie rozszerzony, stał się podstawą końcówek instr., dat. i abl. plur. w s. -bhis: pad-bhís, dat abl. pad-bhyás, i może instr. dat. abl. dualis: pad-bhyám. Tak samo w gr. (hom.) -φι, które oznacza instr. abl. loc., obojętne zaś jest na znaczenie liczby, a zatem przedstawia, jak H. mniema, starszą fazę w rozwoju deklinacyi, por takie δεόφι, ἐρέβεσφι, ἀγέλῃφι. W ł. występuje ten element w końcówce dat abl. plur. -bus: vocibus, filiabus. W sing. to bhi występuje w dat. zaimka osobowego: s. túbhyam, ł. tibī, sł. tebě.

Trzecią warstwę reprezentują przypadki z elementem charakterystycznym: -m (albo samo -m, albo rozszerzone przez dodanie innych dźwięków) i -s. Tu należą acc sg. servo-m, ped-em, ἵππο-ν, πόδ-α, aśva-m, pād-am — to znaczy: po samogłosce -m, po spółgłosce -m. Ten element H odnajduje jeszcze w instr. sł ręką (w innych językach sprawa niepewna: lit. instr. rankà: gerá-ja, vilkù: gerū-ju, wskazują jedynie na końcowe pierwotne -ā, -ō; domniemane odpadnięcie jakiejś nosówki niczem nie udowodnione); w dat. pl sł. vlŭkomŭ, lit. vilkáms, starolit. vilkāmus; również w instr. pl. sł. rąkami, lit. rañkomis. H. wnosi z okoliczności, że to -m (które sprowadza do dawniejszego -mo, względnie -mos, to drugie w dat. pl. możliwe, tamto nie dowiedzione) występuje w różnych przypadkach — to, że ono pierwotnie wogóle nie miało nic wspólnego ze znaczeniem przypadku, czyli inaczej mówiąc, że to nie był przyrostek fleksyjny, lecz tylko tematyczny, a mianowicie identyczny z przyrostkiem -mo- imiesłowu biernego, por. słow. vezomŭ, nesomŭ, lit. vẽžamas. Nadto H. powikłał tę kwestyę jeszcze przez to, że uważa to -mo- za redukcyę przyrostka imiesłowu biernego -meno-, por. gr. φερόμενος, s. bhāramāṇas (opierając się na przypuszczeniu J. Schmidta, że grupa pierwotna m+n na stopniu redukcyi traci jedną nosówkę, tak że zostaje z niej m albo n); tak więc byłoby to -m resztą sufiksu tematycznego imiesłowu biernego (naszem zdaniem należało poprzestać na samem utożsamieniu z przyrostkiem -mo który przecież również urabia temat imiesłowowy, i nie tworzyć bez potrzeby nowej hypotezy na prawidle niedowiedzionem). H. chciał widocznie oprzeć na tem dalsze przypuszczenie mianowicie że -n końcówki acc. pl -ns (por. gr. dyal. λόγονς) jest tego samego pochodzenia, co -m acc. sg., a zatem resztą przyrostka tematycznego -meno-; naszem zdaniem, zu-

pełnie bez potrzeby, bo mógł tę końcówkę acc. pl. identyfikować wprost z przyrostkiem imiesłowu biernego -no-: sł. nesenŭ, s. tīrnā- do tárati »przeprawia się«, pūrnā- do píparti »napełnia« etc. Do postawienia tej hypotezy skłonił Hirta artykulik Uhlenbecka w t. XII. Id. F., w którym uczony ów dowodzi, że pierwotnie w prajęzyku id-eur. nom. i acc. nie były przypadkami podmiotu i przedmiotu lecz tylko przypadkiem działacza i biernika: »casus activus cas. passivus«, a wnosi to z tej okoliczności, że rodzaj nijaki ma acc. = nom., por. s. purú, gr. πολύ, goc. filu, ł. genu, — dalej zaś z tego, że w tematach na o- nom. i acc. neutr. = acc. masc.: ἵππον = δῶρον, co jest zrozumiałem, ponieważ neutra pierwotnie oznaczały wyłącznie istoty nieżyjące, które z natury swojej nadawały się tylko dla znaczenia biernika.

W zdaniu: »ὁρῶ τὸ ἔργον« i »τὸ ἔργον ὁρᾶται« (pierwotnie znaczyło wyłącznie: »widzi się dzieło«) neutrum ἔργον w gruncie rzeczy jest zawsze biernikiem, czyli innemi słowy, że pierwotnie neutra nie mogły mieć znaczenia »casus activus«; a że temata męskie na o- w acc. mają także końcówkę -m, to z tego wynika, że to -m oznaczało zawsze, bez względu na rodzaj, »casus passivus« Dlaczego jednak mówi się: »ἄνθρωπος ὁρᾶται«, a nie: »ἄνθρωπον«? tego Uhlenbeck nie uwzględnia, ani nie usiłuje nawet wytłómaczyć, dlaczego: »ἄνθρωπον« zastąpiono przez: »ἄνθρωπος«. — Otóż na tem opierając się, H. przypuszcza, że to -m (-mo-) rozwinęło się z sufiksu tematycznego imiesłowu biernego, i tak samo -n w końcówce -ns acc pl., które, jak wyżej powiedzieliśmy, nawet etymologicznie łączy z owem -mo-. A że ten sam element występuje również w instr. i dat., zdaniem Hirta, pochodzi stąd, że i te dwa przypadki mają w sobie coś ze znaczenia biernika. Tu jednak nasuwają się różne trudności składniowe, które H. z lekkiem sercem pominął. Np. jak pogodzić to znaczenie bierne dativu z przypuszczonem przez niego samego znaczeniem miejscowem tego samego przypadka, por. wyżej wywód końcówki -ai dat i końcówki -i loc.? Albo jak wytłómaczyć użycie narzędnika przy zwrotach biernych, gdzie z konieczności instr. musi mieć znaczenie działacza, casus activus (jednak niektórzy, jak np. Delbrück, utrzymują, że w tym ostatnim wypadku rozwinęło się to użycie podług analogii konstrukcyi czynnej: śasyásē vácōbhis »laudaris vocibus« podług analogii śáṃsati vácōbhis »laudat vocibus«, por. Vergl. Synt. I. §. 123). W końcu podnieść należy jeszcze ten szczegół, że ani Uhlenbeck ani Hirt nie usiłują nawet pogodzić swojej hypotezy o pierwotnem wyłącznem znaczeniu biernem neutrów z nauką J. Schmidta, powszechnie przyjętą, że rodzaj nijaki w językach indo-europejskich powstał właściwie z wyrazów zbiorowych żeńskich, a zatem

akie wedyjskie neutrum plur. yugá (= klas yugáni), ł. iuga, goc. yuka, sł. iga z końcówką ā równa się formalnie nom. sg. f. χώρᾱ, ręka, to znaczy, że iuga itd. pierwotnie było femininum ze znaczeniem zbiorowem w l. poj. (stąd konstrukcya grecka: πῶς ταῦτα παύσεται, i tak samo w staroindyjskiem), a kiedy ze znaczenia zbiorowego rozwinęło się znaczenie liczby mnogiej, dorobiono nom sg. iugum itd. jako temat na o-, a więc temata na o- gen. neutr. są czemś drugorzędnem, genetycznie nierównomiernem z tematami męskimi na o-.

Obok wymienionego cas. pass. z elementem *m* był jeszcze casus activus z elementem *s*, podług H. nieznanego pochodzenia (Uhlenbeck, zgodnie z teoryą aglutynacyjną Boppa, widzi w tem s zaimek wskazujący praj. *so-, użyty w sensie artykułu po rzeczowniku). Hirt utożsamia to -s z końcówką abl. i gen. sg. tematów spółgłoskowych — $\frac{\text{-es:}}{\text{-os}}$ ποδ-ός, ped-is, nebes-e(s), pad-ás, praj. *ped- $\frac{\text{és}}{\text{ós}}$; a opierając się na nauce Streitberga o powstaniu stopnia wzdłużenia ē, ō w szeregu samogłoski e, twierdzi, że taki gen. abl. praj. $\frac{\text{pedés}}{\text{ós}}$ etymologicznie identycznym jest z nom. sg. praj. *pēd-s, pōd-s. Dla wyjaśnienia tych wywodów przypominany, że podług obecnego stanu naszych wiadomości o wymianie samogłoskowej tzw. szereg e (tzn. ze samogłoską e na stopniu normalnym, w którym akcent spoczywał na zgłosce odnośnej) przedstawia się w sposób następujący:

1. stopień normalny e — a) stopień wzdłużony ē
2. » z przegłosem o — b) » z przegłosem ō
3. » zaniku —

Np. 1) St. norm. łać. pĕdis
2) St. z przegł. gr. ποδός
3) St. zaniku gr. ἐπί-βδαι, gdzie βδ- powstało przez assymilacyę z pd-, por. także s. upa-bdá- »tupanie« (nogami); a) stop. wzdł. ł. pēs z *pēd-s, b) st. wzdłużony z przegłosem: gr. (dor.) πώς, goc. fōtus. A zatem nom. praj. brzmiał pēd-s (względnie, pod innymi warunkami: *pōd-s); to wzdłużenie e na ē Streihberg tłómaczy jako rodzaj wzdłużenia zastępczego wskutek zaniku samogłoski końcowej -e podstawy *ped-e- (przypuszcza bowiem z pewnem prawdopodobieństwem, że deklinacya spółgłoskowa i tak samo konjugacya nietematyczna, powstała z deklinacyi samogłoskowej wskutek procesu fonetycznego, tj. wskutek zaniku samogłoski końcowej -e podstawy dwuzgłoskowej, dla

braku akcentu). Otóż stosownie do tych kombinacyi praj. *pēd-s wskazuje na dawniejszą fazę péd-es, a że gen. abl. w prajęzyku brzmiał również *pedé s (względnie *pedós, por. co do końcowego -es słow. nebese z *nebese-s, ł. pedis również z *pede-s, co do końcowego -os por. gr. ποδός; skąd te różnice: pede-, pedo- pochodzą, w to tutaj nie wchodzimy), zatem pokazuje się, że nie ma właściwie różnicy między nom. i gen. w dawniejszej epoce prajęzyka (tzn w epoce poprzedzającej powstanie wymiany samogłoskowej pod wpływem działania akcentu), wyjąwszy tylko odmienny akcent: *pédes, ale: *pedé-s. Pod względem składniowym rzecz przedstawia się w ten sposób, że gen. tworzył rodzaj dopowiedzenia do wyrazu głównego, por. np. dyalektyczne niem. »der Müller, seine Tochter« = »die Tochter Müllers«. Popierają to analogiczne objawy w językach semickich, amerykańskich i innych. Na tej podstawie utrzymuje też Hirt, że i końcówka -sio gen. tematów na o-: s. áśvasya, hom. ἵπποιο, praj. ékuosio przedstawia również temat (cas. indef.) jakiegoś przymiotnika, a nie przypadek prawdziwy (o końcówce -s, -es nom. pl. H. przypuszcza możliwość pokrewieństwa etymologicznego z końcówką -s l. p. (której jednak przedtem nie wytłómaczył).

Z tego rozbioru wynika, że po wyłączeniu form przypadkowych z wyraźną końcówką: -ai, -i, -bhi, zostają jeszcze dwa przypadki z elementem charakterystycznym: -s, -m, tj. casus activus i passivus; a nadto tzw. casus indefinitus Te dwa przypadki H. odnajduje znowu w konjugacyi, do której teraz przystępujemy. Z góry jednak zaznaczyć wypada, że jeżeli już wobec wywodów Hirta odnośnie do genezy deklinacyi liczne zastrzeżenia uczynić nam należało, to więcej jeszcze dotyczy to genezy konjugacyi.

I tutaj przewodnią myślą H. jest wywodzenie końcówek form słownych od przyrostków tematycznych imienia (podobnie jak u Ludwiga). Że pewne formy konjugacyjne podobne są w zasadzie do form deklinacyjnych imienia, to już dawniej zauważono. N. p. 2. sg imperat. ἄγε do voc. sg. ἀγέ, s. ája : ajá, gdzie zatem występuje w obu razach czysty temat (cas. ind.) jako forma fleksyjna; albo, choć z mniejszem już prawdopodobieństwem, 3. pl. *bhéronti, *ébheront: gr. (eol) φέροντι, ἔφερον, s. bháranti, ábharan, — widocznie spokrewniona z tematem part. praes. *bheront-, por. gr. φέροντ(α), s. bhárant(am). Co zaś to i dodatkowe znaczy, później się okaże. Również takie formy imienne upatrywano w imper. z końcówką -tōd: s. 2. i 3. sg. i rzadziej 2. pl. dhāvatād (gr. θέω) »accelerato«, 3. sg. viśátād »intrato«, bhrūtād »nuntiate«; w ł. 2. i 3. sg. datō; w gr. tylko 3. sg. ἴστω = s. vittād. Jeżeli w s. ta sama forma występuje w sg. i pl. i to w różnych osobach, to ten

fakt zdaje się wskazywać na to, że to forma imienna, obojętna na znaczenie osoby czynności Brugmann przypuszcza, że owo -tōd jest abl. sg. od tematu zaimka wskazującego to- ze znaczeniem miejscowem: »stąd!«. Ten fakt spowodował Hirta do nader ryzykownego przypuszczenia: 1) że *áĝe było również pierwotnie obojętne na znaczenie liczby, tj. że mogło być używane i w liczbie mnogiej (że było obojętne na znaczenie osoby, H wnosi z formy *aĝe-tōd, w której -tōd było dodatkiem późniejszym); 2) że 2. pl. imper. *bhérete, s. bhárata, gr. φέρετε, tak samo *ité, s. itá, gr. ἴτε — tak samo mogło mieć znaczenie 2. sg., a zatem było tematem imiennym (cas. ind.) i to identycznym z tematem part. pf. pass. *itó- »profectus«. Tu już H. przekroczył granicę wszelkiego prawdopodobieństwa, zdaniem naszem; bo że odmienny wokalizm tych dwóch formacyi imper. *bhérete: part. *bhṛtó- nie stanowi przeszkody identyfikowaniu ich, to jest w zgodzie z teoryą o wymianie Hirta, — ale odmienny akcent?

Podobnie rzecz się ma z jego tłómaczeniem genezy końcówek osobowych. Najpierw H. usiłuje wykazać, że różnica między końcówkami strony czynnej i medyalnej jest faktem późniejszym Ten wywód stoi w związku ze znaną teoryą wymiany H, niekoniecznie pewną. Według tych wywodów forma końcówek medyalnych, jako będących pod akcentem, jest starsza od formy końcówek strony czynnej, czyli inaczej, że w dobie języka id-eu. przed powstaniem wymiany, kiedy to akcent wyrazowy nie wpływał jeszcze na wokalizm zgłoski, nie było różnicy fonetycznej między tymi dwoma szeregami końcówek — wyjąwszy tylko odmienny akcent. Por. s

| act. | med |
|---|---|
| 1. é-mi | — iy-é (ale gr. τί-θη-μι : τί-θε-μαι) |
| 2. é-ṣi | — i-ṣé |
| 3. é-ti | — i-té |
| 3 pl. yánti | — iyáte (gr. τι-θέ-ασι : τί-θε-ντσι). |

Tu zdaje się między (-mi: -mái), -si: -sái, -ti: -tái zachodzić stosunek wymiany samogłoskowej: pod akcentem: -sái, bez akcentu: -si (wymiana ái: i jest znaną skądinąd, choć nie często się pojawia; por. s. idh-más »opał«: édhas- (tzn. *áidhas-) »opał«, gr. αἴθω, αἰθήρ: ἰθαρός »pogodny«). A zatem w przypuszczanej przez H. dobie przed powstaniem wymiany samogłoskowej brzmiały te formy:

| act. | med. |
|---|---|
| *éi-sai, | ei-sái, |
| *éi-tai, | ei-tái etc. |

Dopiero później, kiedy pod wpływem akcentu powstała wymiana samogłoskowa, z *éi-sai powstało *éi-si, natomiast z *ei-sái: *i-sái. W tem -ai -i H. za przykładem Thurneysena upatruje partykułę ze znaczeniem wskazującem: »tu« (w dekl.), »teraz« (w konj.). Z tego rozbioru H. wnosi dalej, że i różnica między końcówkami głównemi i historycznemi jest również faktem drugorzędnym. Por. -mi: -m, -si: -s, -ti: -t, -nti: -nt (w medium to mniej widoczne; NB. końcówkę 3. sg. med. -to H. uważa za cas. ind imienia, podobnie jak w 2. pl. imper. act. -te). Ponieważ w tem -i, (powstałem z -ai) widzi dodatek późniejszy, więc zostają jako końcówki najdawniejsze: -m, -s, -t, -nt, czyli tak zwane końcówki czasów historycznych (które jednak w dyalekcie wedyjskim mają znaczenie nader ogólne, zarówno wyrażają czynność przeszłą, jak i imperativus i hortativus, jednem słowem są to formy obojętne pod względem znaczenia czasu — nazywają je obecnie za Brugmannem »modus iniunctivus«). Por. wedyjskie: bhárat (zam. ábharat) »niósł« i »niech niesie« (w hom. φέρε obok ἔφερε mamy tylko znaczenie przeszłości), bōdhat (zam. ábōdhat) »czuwał« i »niech czuwa«, tak samo i w formach aorystu: dás zam. ádās, dát zam. ádāt itd. To już było dawniej wiadomo; por. sprawozdanie nasze o pracy Herbiga »Actionsart und Zeitstufe« Eos 1897. H. o tyle różni się od swych poprzedników, że podczas gdy tamci w owych -m, -s, -t upatrywali temata zaimkowe, on w nich upatruje przyrostki tematyczne, mianowicie w -m ten sam element, który, jego zdaniem, zawarty jest w cas. pass. (= acc.), w -s ten sam przyrostek, który należy do cas. act., tzn. że to były temata imienne, a że się ustaliły ze znaczeniem pewnych osób, stało się to z powodu podobieństwa ich do zaimków odnośnych osób, — choć przedtem w tej samej rozprawie H. kwestyonuje związek etymologiczny pomiędzy końcówkami osobowemi, a tematami zaimków osobowych, pytając, dlaczego wpłynął na końcówki osobowe słowa temat przypadków zależnych, a nie — nominativus [2]).

* *
*

Z tego, cośmy wyżej powiedzieli, okazuje się, 1) że dzięki lepszej znajomości praw fonetycznych obecnie można lepiej nieco wniknąć w istotę form fleksyjnych i ich pochodzenie, aniżeli to mogło być za czasów Boppa, lub nawet Ludwiga; 2) że Hirt pod niejednym względem, opierając się na badaniach poprzedników, (nie uwzględnił jednak prac Ascolego [3]) do tej kwestyi się odnoszących) zdołał wyjaśnić niektóre ciemne punkta w dziejach fleksyi naszych języków; 3) że jednak prze-

sadził, zdaniem naszem, w tym kierunku, iż za wielką rolę przyznał owemu cas. indef., zwłaszcza w zakresie konjugacyi; 4) że nie uwzględnił wcale procesu tworzenia się deklinacyi zaimkowej i stosunku jej do deklinacyi imienia; w końcu 5) że wywody swoje opiera gdzieniegdzie na prawach głosowych, nie ze wszystkiem jeszcze udowodnionych, albo nawet wprost sprzeciwiających się prawom głosowym, powszechnie przyjętym — co z naciskiem podnieść należy wobec zarzutów podniesionych, i to zupełnie słusznie, przeciw dawnym uczonym, którzy się zajmowali podobnymi problemami językowymi [4]).

## Przypiski.

1) Opozycya Ludwiga przeciw teoryi aglutynacyjnej Boppa była z niektórych względów uzasadnioną. Przedewszystkiem słusznie L. wytykał Boppowi i jego zwolennikom, że nie wiele zważali na prawa głosowe, przypuszczając tego rodzaju korupcye dźwiękowe, które się niczem nie dadzą usprawiedliwić. I tak np. przyjmowali, że końcówka 1. sg. med. -mai powstała z *ma-mi, a to z *ma-ma, chcąc w ten sposób wytłómaczyć znaczenie zwrotne z dwukrotnego użycia tematu zaimka osobowego, raz w znaczeniu podmiotu, drugi raz w znaczeniu przedmiotu — podczas gdy to znaczenie zwrotne mogło spoczywać już w samym pierwiastku słownym. Ale ten sam zarzut zrobić można i Ludwigowi, który również przyjmuje różne wyrzutnie spółgłosek i przeobrażenia całych zgłosek, które niczem nie dadzą się udowodnić. Np. wyrzutnię spółgłoski -n- między samogłoskami (końcówkę inf. wedyjskiego -sē: stusē »opiewać« wyprowadza z końcówki inf. wed. -sani: nēsáni »prowadzić«; por. »Der Infinitiv im Veda«, pag. 14. Tak samo końcówkę dat. pl. tematów pierwotnych na o-: āis wywodzi od *ānis, ib. pag. 21. i t. d. Dalej przyjmuje przemianę spółgłoski -s między samogłoskami na -r- już w prajęzyku, w celu wyprowadzenia końcówki -rē 3. pl. perf. med.: bubudhirē z końcówki 2. sg. med. -sē: bhárasē, i utożsamienia tej ostatniej z końcówką inf. wedyjskiego -sē). Ale i cała podstawa jego wywodów, mianowicie uporczywe twierdzenie, jakoby wszystkie formy fleksyjne były pierwotnie tematami imiennymi, tj. bezokolicznikami, z których zakończeń — pierwotnie ze znaczeniem wskazującem — utworzyły się z czasem końcówki fleksyjne, — cały ten system wniosków i dedukcyi nie da się utrzymać. To już dawno wykazano (Delbrück i inni). Jednakowoż dodać trzeba, że niebrak w pracach Ladwiga ciekawych i oryginalnych spostrzeżeń, które z czasem, kiedy minęło pierwsze rozgoryczenie przeciw niemu, jako burzycielowi całego systemu prawd uznanych, znowu zwróciły na siebie uwagę uczonych. Dziś nie wątpią już, że w pewnych wypadkach istotnie zakończenia tematów mogły z czasem stać się końcówkami fleksyjnemi; np. że przyrostek tematyczny imiesłowu -nt-, gr. φεροντ-, s. bharant-, był punktem wyjścia dla końcówki 3. pl. -nti, -nt, a końcówka bezokolicznika -menai stała się końcówką 2. pl. pass. w łacińskiem legiminī. Nawet końcówkę 2. pl. med. gr. -σθε uważają obecnie niektórzy, jak Wackernagel KZ. 33, pag. 57, za mo-

dyfikacyę końcówki inf. -σ͡ϑαι. W ogólności jednak, jak już w tekście zaznaczyliśmy, aglutynacya miała, z pewnemi ograniczeniami, daleko większe zastósowanie w dziejach powstania fleksyi.

2) W tych dedukcyach Hirta przypadek odgrywa taką samą rolę, jak u Ludwiga. Dla czego »agens« ze swojem zakończeniem -s znalazł zastówanie właśnie w drugiej osobie, a »patiens« z końcówką -m w pierwszej osobie, to H. zostawia przypadkowi, to znaczy po prostu, że nie potrafił tego wytłómaczyć. Boć przecież powoływanie się na podobieństwo z zaimkami osobowymi odnośnych osób nie może być tłómaczeniem, skoro sam H. przedtem na str. 77, polemizując z teoryą aglutynacyjną, zapytywał, dla czego właśnie temat przypadków ubocznych, a nie nominativus owych zaimków, wpłynął na upodobnienie końcówek. Wogóle dla wytłómaczenia genezy końcówek osobowych słowa teorya aglutynacyi jeszcze dotąd przedstawia największe stosunkowo prawdopodobieństwo. Za trafne uważamy przypuszczenie Hirta, iż -r, zawarte w końcówce 3. pl. pf. s. bubudhúr, »czuwali«, jest w związku etymologicznym z tematami imiennymi na r (heteroclita prajęzykowe na -r): ὕδωρ, ἧπαρ, cf. pag. 69. Popiera to i ten fakt, że w 3. osobie występuje i w temacie praes. forma imienna.

3) Ascoli przed wielu laty zajmował się kwestyą powstania flaksyi w całym szeregu specyalnych rozpraw, które wyliczone są na str. 23 jego »Studyów krytycznych«, w przypisku. Sprawę tę łączy on z hypotezą pierwotnej jedności języków semickich z indo-europejskimi — dotychczas nie udowodnioną. Wprawdzie dzisiaj, czytając jego wywody (znane nam tylko z dzieła wyżej wymienionego), nie możnaby się zgodzić z niejedną jego analizą form fleksyjnych języków indo-europejskich (co do semickich, osądzićby mógł to tylko znawca tych języków), ani też, i to przedewszystkiem, z jego sposobem tłómaczenia zmian głosowniowych; zawsze jednak nie brak tam samodzielnych i bystrych, jak zwykle u Ascolego, spostrzeżeń, których Hirt nie powinien był pominąć. Dość zaznaczyć tylko jeden szczegół, który przed 40 przeszło laty podniósł ten uczony, a który powtarzają późniejsi, bez wymienienia swego poprzednika, mianowicie fakt podobieństwa tematów imiennych, dokładniej mówiąc, przyrostków owych tematów w semickiem i w językach indo europejskich, i tak samo pewnych elementów deklinacyjnych. A zatem z jego dedukcyi wynika, że temata imienne i deklinacya są starsze od systemu konjugacyjnego naszych języków.

4) Tu nie zawadzi dodać, że Hirt w kilku miejscach swej rozprawy utożsamia swój »casus indefinitus« pod względem formalnym z tzw. podstawami (basis) wymiennemi, czyli inaczej mówiąc, że owe podstawy w epoce przedfleksyjnej stanowiły, jego zdaniem, formę wyrazu prajęzykowego, a z ich zakończeń, po różnych przeobrażeniach głosowych, wywołanych głównie przez akcent wyrazowy, utworzyły się temata fleksyjne. I tak np. ē- tematów słownych: ł. vidē-re, sł. vidê-ti, gr. aor. pass. ϑαρῆ-ναι, powstały z zakończeń »podstaw ciężkich« na ē-: ĝenē-; ā-, ē- tematów imiennych i słownych: gr. ϑορᾱ́, ł. dicā-s, dicē-s tak samo z zakończeń podstaw na ā-, ē: *bheu̯ā-, *bheu̯ē-. Rzadziej już końcówki fleksyjne miały taki sam początek. H. przypuszcza np., że końcówka 1. i 3. sg. pf. act. -a, -e: gr. γέγονα, γέγονε, przedstawiają zakończenia podstaw ciężkich (oczywiście na stopniu redukcyi drugiej zgłoski podstawy), tj, że gr. -α, -ε reprezentują tutaj pierwotne ə,

powstałe z osłabienia samogłosek długich -ā, -ē nie odstrasza go nawet od tego ryzykownego twierdzenia fakt, że s. ma tutaj nie: i = ə, lecz: a, por. 1. i 3. sg. pf. vēd-a, dla którego usiłuje wynaleźć nowe prawidło. Ale ten szczegół pomijamy. Ważniejsna dla nas kwestya, że Hirt i inni nowsi uczeni operują temi »podstawami« jak gdyby czemś realnem — nawet pod względem morfologicznym, podczas gdy w rzeczywistości owe podstawy reprezentują tylko jednostki fonetyczne, odtworzone ze względu na wymianę samogłoskową, jakto słusznie podnosi z naciskiem Brugmann (Id. F. t. 18, 50, w uwadze do rozprawki van Wijka). Czem była końcowa samogłoska długa w takiem *ĝenē-, *bheu̯ā- etc., dotychczas tak samo nie wiadomo, jak dawniej, gdy przyjmowano dla prajęzyka pierwiastki jednozgłoskowe *ĝen-, *bheu̯-. Nie wiadomo najpierw, czy też ta druga samogłoska podstawy nie była może elementem dodatkowym czyli osobnym przyrostkiem za czem przemawiałby fakt, że się powtarza to -ē, -ā, -ō w różnych podstawach dwuzgłoskowych ciężkich; dalej nie wiadomo, jaki stosunek zachodził między -ē i -ā w tej samej podstawie, por. *bheu̯ē-: *bheu̯ā-; w końcu, jaki stosunek tych końcowych samogłosek długich do tzw. samogłoski tematycznej -e-. Z tego wynika, że istnienie podstaw jako wyrazów samodzielnych od najdawniejszych czasów nie jest wcale udowodnione, czyli, inaczej, jakoby nigdy przedtem nie istniały osobno *bheu̯-, *ĝen-, a osobno jakieś pierwiastki demonstratywne podług dawniejszej terminologii: ē, ā, e. Więcej już prawdopodobieństwa pod względem semazyologicznym przedstawiała hypoteza Ludwiga, podług której wyrazem prajęzyka był temat, podług jego zapatrywania zawarty w bezokolicznikach wedyjskich o różnych zakończeniach. Infinitivus taki pod względem semazyologicznym zawiera istotnie w sobie niby w zarodku wszystkie odcienie znaczenia, które w całej pełni rozwinęły się w słowie doby fleksyjnej. Więc też konsekwentnie ze swego stanowiska mógł Ludwig te infinitivy uważać za temat czyli za wyraz prajęzykowy z doby przedfleksyjnej, o której przypuszczał, że w ogóle nie posiadała wykładników formalnych dla tzw. względów gramatycznych. Również z pewnem prawdopodobieństwem mogli dawniejsi zwolennicy teoryi aglutynacyjnej uważać samogłoskę tematyczną jako późniejszy dodatek do pierwiastka (tzn. do najstarszej formy wyrazu przedfleksyjnego), i to za dodatek ze znaczeniem determinującem, albo też wskazującem, powołując się w tym względzie na języki semickie (Ascoli l. c.). Ale nowsi badacze, odrzucając wszelką myśl o egzystencyi takich elementów dodatkowych, z powodu że one tak samo biorą udział w wymianie samogłoskowej, jak i zgłoski pierwiastkowe — tem samem zrezygnowali z możności wytłómaczenia, co właściwie znaczyły te zgłoski dodatkowe. Boć przecież za integralną część wyrazu od najdawniejszych czasów uważać ich nie podobna; przeciw temu przemawia już to, że się tak stale powtarzają w różnych podstawach, czyli inaczej mówiąc że tem samem zdradzają swoje pochodzenie drugorzędne, tak samo jak przyrostki i tzw. pogłosy twórcze (determinativa radicalia).

*Lwów.*

# Istota i powstanie Koine.

Napisał

**Stanisław Witkowski.**

Jak w każdej innej epoce rozwoju języka greckiego, tak i w epoce Koine istnieją obok siebie: język codzienny potoczny, i język piśmienny czyli literacki. Mówiąc o istocie i powstaniu Koine, będę miał na myśli Koinę potoczną. Co do czasu, to za granice Koine uważam r. 300 przed Chr. i r. 500 po Chr.

Koine literacka, był to dyalekt attycki (który już w 4. w. stał się ogólno-greckim językiem prozy) z domieszką elementów żyjącej, potocznej Koine. W miarę wykształcenia pisarza, dalej stosownie do rodzaju literackiego, do którego dzieło należało, wreszcie w miarę tego, czy piszący zamierzał w większym lub mniejszym stopniu posługiwać się językiem codziennym, język jego zbliżał się więcej lub mniej do dyalektu attyckiego Koine literacka polegała wiec na kompromisie między żyjącym językiem codziennym a dawnym dyalektem attyckim Istniały w niej

---

**Uwaga.** Artykuł ten jest wolnem opracowaniem rozdziału z obszerniejszego sprawozdania o najnowszych pracach nad grecką Koine, ogłoszonego przezemnie w Bursiana Jahresberichte über die Fortschr d. klass. Alt. Wiss. 1904. Mam wstręt do podwójnego ogłaszania tej samej rzeczy, choćby w formie zmienionej i w różnych językach; wydaje mi się to przeżuwaniem, banauzyą naukową. Jeżeli mimo to po długich namysłach zdecydowałem się uledz radom kilku osób życzliwych i rzecz tę ogłosić w Eos, to uczyniłem to z tego względu, że studya nad epoką hellenistyczną a wśród nich i studya nad Koine wysuwają się dzisiaj na pierwszy plan w filologii greckiej, a sprawozdanie moje w Bursiana Jahresberichte (dotychczas dla tej rzeczy jedyne obszerniejsze sprawozdanie) nie jest łatwo dostępne dla czytelników Eos, mieszkających w miastach prowincyonalnych.

wszelkie możliwe szczeble od czystego dyalektu attyckiego do zwykłego języka ludowego.

Pytanie, jak powstała Koine potoczna, jest niezwykle trudnem. Wszak pytanie, jak powstał dzisiejszy język literacki niemiecki, jest najtrudniejszem w historyi języka niemieckiego, mimo że dyalekty niemieckie znamy bez porównania lepiej niż starogreckie. O powstaniu języka literackiego angielskiego wyraża się tak znakomity germanista jak Fryderyk Kluge, że jest ono dotąd zupełnie ciemne i że wyjaśnienie jego jest jeszcze daleko trudniejszem niż wyjaśnienie powstania języka literackiego niemieckiego *). Przy Koine trudność zwiększa się nie tylko przez to, że ją znamy niedokładnie, ale więcej jeszcze skutkiem tego, że nie mamy żadnych analogij do procesu jej powstawania. Wytworzyli ją bowiem nie sami tylko Grecy, ale i barbarzyńcy, dalej wytworzyli ją ludzie mówiący różnymi dyalektami greckimi, a mieszkający przeważnie nie w zwartych obszarach, lecz rozrzuceni po rozległych krainach Wschodu, tak że miasta i kolonie, mówiące po grecku, stanowiły jakby wyspy wśród morza barbarzyńców, wreszcie przedstawiciele każdego z dyalektów nie byli na Wschodzie skupieni razem, lecz pomieszani między sobą; tak n. p. w Aleksandryi mieszkali ludzie, mówiący po jońsku, dorycku, attycku itd., podobnie w Antyochii i innych miastach

## Istota Koine.

Z jakich składników powstała Koine? jaki jest stosunek jej do dyalektów starogreckich? Na to pytanie niema dotąd zgodnej odpowiedzi. Jedni sądzą, że podstawą Koine jest dyalekt attycki, inni uważają ją za mieszaninę rozmaitych dyalektów.

Pytaniem, czem jest Koine, zajmowano się już w starożytności. Lekarz Galen wahał się, czy uważać ją za dyalekt attycki, czy też za jakiś całkiem odmienny dyalekt Za dyalekt przeważnie attycki uważają Koine: Hatzidakis, Krumbacher, W. Schmid. Thumb, Wendland i i Najdalej z nich idzie Schmid, bo nie przyjmuje w Koine prawie żadnych składników jońskich ani doryckich.

Do tego zapatrywania zbliża się zapatrywanie Schwyzera. I on uważa dyalekt attycki za podstawę Koine, ale w szerszej mierze przyjmuje w nim domieszki innych dyalektów (Grammatik der pergamenischen Inschriften, Berlin 1898 str. 27 nn.).

Drugie, wręcz odmienne zapatrywanie przedstawia Kretschmer. Według niego Koine jest mieszaniną różnych dyalektów. Podo-

*) O powstaniu języka literackiego polskiego nie wiemy dotąd nic.

bnego zdania był już w początkach 19. w. Sturz. Podobnie sądzili o Koine także niektórzy gramatycy bizantyńscy, n. p. Iohannes Philoponos lub Grzegórz z Koryntu. Zwłaszcza dosyć dawno zauważono, że wpływ dyalektu jońskiego na Koine jest bardzo silny. Wilamowitz wypowiedział w r. 1877 nawet zdanie, że Koine nie jest niczem innem jak mową ludową jońską. Zdanie to jednak później zmodyfikował, mianowicie przyznał, że dyalekt attycki jest podstawą Koine, a tylko akcentuje doniosłość wpływu jońskiego. Kretschmer przyjmował dawniej (w r. 1898), że podstawą Koine jest dyalekt jońsko attycki. Wnet jednak, bo już w r. 1901, zmienił zdanie i w piśmie »Die Entstehung der Koine« (Sitzungs-Berichte der Wiener Akad. 1900) wystąpił z twierdzeniem, że Koine jest mieszaniną różnych dyalektów (str. 6 i 31). Dawniejsze zdanie Kretschmera, że podstawą Koine są dyalekty joński i attycki, wyznaje dziś teolog Adolf Deissmann. Dodać tu należy wyraźnie, że wymieniona różnica zdań dotyczy potocznego języka Koine. Co do literackiej Koine, to tak Thumb jak Kretschmer przyznają zgodnie, że podstawą jej jest dyalekt attycki.

Dla dania odpowiedzi na pytanie, jaką jest podstawa Koine, potrzeba zastanowić się, jakie składniki mają o tem rozstrzygać. Pod tym względem nie osiągnięto jeszcze zupełnej zgody. Po składni nie można się na razie wiele spodziewać, bo składnia dyalektów mało jest dotąd zbadana, trudno więc powiedzieć, z jakiego dyalektu wzięty jest pewien objaw składniowy. Ponadto mogła niejedna właściwość składniowa Koine rozwinąć się sama z siebie, a nie być przejętą z jakiegoś dyalektu Pozostają dwie ważne strony: zapas wyrazów i fonetyka z morfologią. Przy zapasie wyrazów uwzględniać należy tak ich znaczenie jak formacyę. Tak Thumb jak Kretschmer zgadzają się na to, że do zapasu wyrazów nie można przywiązywać zbyt wielkiej wagi. Zapas wyrazów odgrywa tu bowiem nie większą rolę jak wyrazy, przejęte z obcych języków. Nadto przy niejednym wyrazie trudno jest powiedzieć, z jakiego wzięty jest dyalektu bo wyrazy wędrują łatwo. O wyrazie, należącym do Koine, wtedy można twierdzić, że wzięty jest z pewnego dyalektu, gdy znaczenie jego nie da się wyprowadzić z attyckiego a w innym dyalekcie się znajduje. Różnica zdań panuje przedewszystkiem na punkcie, o ile można wysnuwać wnioski z fonetyki i morfologii.

Nim przedstawię zapatrywania co do tego punktu, wspomnę o rezultatach co do zapasu wyrazów Koine. Tu uderza przedewszystkiem, że Koine wykazuje wiele wyrazów jońskich. Dawniej sądzono, że wyrazy jońskie u autorów, n. p. u Polybiosa lub Iosephosa, zaczerpnięte

są z lektury Herodota lub Hippokratesa. W rzeczywistości były te wyrazy częścią składową Koine i z niej wzięli je owi pisarze. Że te wyrazy należały do Koine, widać stąd, że wiele z nich żyje jeszcze dotąd w języku nowogreckim. Tylko jonizmy u pisarzy attycyzujących mogą być zaczerpnięte z lektury. Jonizmy pojawiają się już u Arystotelesa. Jońskimi są n. p. neutra na μα. — Trudniejszy jest sąd o t. zw. wyrazach poetycznych, częstych w Koine. W prozie późniejszej greckiej, traktującej o przedmiotach życia codziennego, znajdujemy wyrazy, znane nam tylko lub głównie z tragedyi a więc uważane za poetyczne. Według Thumba pochodzenie tych wyrazów w Koine jest trojakie: albo są to wyrazy jońskie, które i tragedya miała z tego źródła, albo istniały w języku potocznym attyckim a językowi literackiemu attyckiemu były obce, albo wreszcie wyrazy te dostały się z dyalektu jońskiego do Koine za pośrednictwem języka potocznego attyckiego. Że język potoczny attycki wywarł wpływ na Koine, widać stąd, że pewne wyrazy spotykamy tak w komedyi attyckiej jak w Koine i w nowogreckiem. Tak ma się rzecz n. p. z deminutywami. Co do wyrazów, wspólnych tragedyi i Koine, to jedne z nich są jońskie, inne zdaniem Thumba istniały w staroattyckiem (n. p. ἀκτή i ζωστήρ). Na zdanie Thumba, że język potoczny attycki posiadał w większej liczbie jonizmy, niepodobna się zgodzić. Przemawiają przeciwko temu napisy, a jeszcze więcej tabliczki attyckie, zawierające klątwy. Zwłaszcza te drugie przedstawiają nam język warstw niższych Tymczasem w jednych i drugich wyrazy z innych dyalektów są rzadkie. W napisach nieattyckiemi są: βορρᾶς (doryzm), μικός (= μικρός); σύν (=μετά c. gen.)? i διά z acc. zam. ἕνεκα z gen. itd. W źródłach literackich znajdujemy λοχαγός (dor.) i niektóre inne wyrazy. — Inne szczepy greckie wywarły mniejszy wpływ na zapas wyrazów Koine. Doryzmem jest zdaniem niektórych (n p. Kretschmera) wyraz βουνός »pagórek«, czemu jednak Thumb przeczy; ἀλέκτωρ »kogut« uważa Kretschmer za wyraz dorycki, Thumb za poetyczny itd.

Jeżeli wspomniałem wyżej, że język potoczny attycki miał mało wyrazów z innych dyalektów, to odnosi się to do czasów wyprzedzających Koine. Po Aleksandrze W. Koine wywiera wpływ na dyalekt attycki i w napisach z czasów po Aleksandrze W. znajdujemy liczne formy i wyrazy nieattyckie, które weszły do attyckiego z Koine. N. p. βασίλισσα, ναός (dor.), końcówka Imperat. -ωσαν (= ων), οὐθείς, może ἵνα (joń.), Composita z -ἀρχης (zam. -αρχος) (może z joń.).

Co się tyczy fonetyki i morfologii, to tutaj wpływ innych dyalektów na Koine zdaniem Thumba nie jest wielki, zdaniem Kretsch-

mera bardzo znaczny. Formę pewną dyalektyczną wtedy możemy przypisać Koine, jeżeli 1) znajduje się w tekstach pisanych w Koine, 2) jeżeli żyje w języku nowogreckim.

Jonizmy fonetyczne i morfologiczne w Koine są następujące: formy nieściągnięte, n. p. Gen. pl. na -έων, adjektywa jak χρύσεος, aspiracya odmienna od attyckiej w wyrazach jak: κύϑρα (= χύτρα), κιϑών, βάϑρακος lub brak aspiracyi (ἀπηλιώτης »wiatr wschodni« = ἀφηλιώτης); ordinalia typu τρεισκαιδέκατος (zam. τρίτος καὶ δέκ. a więc mające w pierwszej części cardinale zamiast ordinale), τεσσαρεσκαιδέκατος itd.; pewne sporadyczne objawy, n. p. νοσσός (= νεοσσός »pisklę«), odmiana διῶρυξ, gen. διώρυγος (att. διώρυχος), οὐδός (według Kretschmera), ἕνεκεν; odmiana rzeczowników na -οῦς gen. -οῦδος lub -οῦτος i rzeczowników na -ᾶς, plur. -ᾶδες (natomiast gen. sg. na -ᾶ jest prawdopodobnie doryzmem).

Mniej pewne są inne rzeczy:

Niektóre rzeczowniki deklinacyi ᾱ mają zamiast ᾱ w Koine η, n. p. gen. σπείρης, μαχαίρης na gruncie egip skim i małoazyatyckim, jest to jednak dosyć rzadkie. Jedni, jak Thumb, widzą w tem wpływ joński, inni (W. Schmid) sądzą, że formy te są tworem analogii (na wzór form jak δόξης itd.).

Znajdujemy w Koine formę τέσσερες; może to być albo jonizm albo też ε powstało przez asymilacyę α do otaczających ε.

W późniejszej epoce cesarstwa traci Koine spiritus asper. Kretschmer sądzi, że psyloza ta powstała pod wpływem jońskim; to mi się jednak nie wydaje pewnem, bo wtedy dyalekt joński już nie istniał.

Słowa na -μι przechodzą w Koine często do konjugacyi -ω (διδοῖ). Kretschmer widzi w tem wpływ joński, ale to mogło się rozwinąć w Koine samo (niezależnie od dyalektów).

Doryzmy odgrywają mniejszą rolę. Należą tu: λᾱός i νᾱός, (μᾱρυκῶμαι 'ryczeć'), λιμός jako fem. (w attyckiem jest masc.), aor. ἔπαιξα zam. ἔπαισα (od παίζω), odmiana ὄρνις ὄρνιχος. Natomiast nie używa Koine formy doryckiej βορρᾶς, lecz βορέας.

Z kilku dyalektów równocześnie wzięte są następujące ważne objawy Koine:

1) σσ (zam. att. ττ) joń., ale i w innych dyalektach (ττ jest tylko w attyckim i beockim).

2) ρσ (= att. ρρ) występuje w Koine częściej niż ρρ (ἄρσην ob. ἄρρην; ἄρσην w joń., w dor. itd.).

*

Podwójne formy znajdujemy obok siebie w Koine nie tylko przy ρσ, ale i częściej. Później jedna z nich brała często górę nad drugą; niekiedy zachowały się obie aż dotąd w języku nowogreckim; niekiedy wreszcie powstawała forma mieszana. Tak n. p. kilka form waha się w Koine między α a ε: ὕαλος i ὕελος szkło, σίαλον i σίελος ślina, πύελος koryto, wanna, μυελός szpik. Formy te powstały zdaniem Thumba w ten sposób, że forma attycka ὕαλος zlała się z jońską ὕελος itd.

Podczas gdy na punkcie wpływu dyalektów jońskiego i doryckiego Thumb i Kretschmer nie różnią się między sobą istotnie, to wielka zachodzi między nimi różnica, gdy jest mowa o wpływie dyalektu beockiego, dyalektów północno-greckich i dyalektu attyckiego.

Dyalekt beocki wywarł zdaniem Kretschmera wielki wpływ na wokalizm Koine. W dyalekcie beockim wcześnie dwugłoski się zmonoftongizowały a η przeszło na i. Według Kretschmera przejście dwugłosek z i na monoftongi, więc αι na e, ει na i, οι na ü, które widzimy w Koine, podobnież wymowa η jako i, nastąpiły pod wpływem beockim. Thumb przeczy temu. Końcówka -σαν przystępuje w Koine i do takich form, które jej pierwotnie nie przybierają. I w tem widzi Kretschmer wpływ beocki. Inni wątpią, powołując się na to, że w napisach beockich występuje -σαν szerzej w 2. w. przed Chr., podczas gdy w Koine widzimy takie formy już w 3. w.

Dyalekty północno-greckie wywołały zdaniem Kretschmera w Koine: 1) Acc. pl. na -ες zam. -ας (n. p. τοὺς λέγοντες), 2) Dat. pl. na -οις od tematów konsonantycznych, 3) medyalną odmianę słowa εἰμί (impf. ἤμην), 4) pomieszanie słów na -αω ze słowami na -εω. — I tego wpływu Thumb nie uznaje.

Attycki dyalekt wreszcie występuje zdaniem Kretschmera w Koine tylko w tem, że zamiast joń. η widzimy ᾱ purum. Zdanie to jest mylne. Wpływ attycki Koine jest daleko silniejszy. Kontrakcya samogłosek jest w Koine taka jak w attyckiem, formy jak κόρη ξένος ὅλος (joń. κούρη ξεῖνος οὖλος), aspiracya, cała deklinacya i konjugacya, wszystko to idzie w Koine wzorem attyckim.

Stanowisko obu uczonych na punkcie wpływów innych dyalektów na dźwięki i formy pewnego dyalektu jest zasadniczo różne. Thumb sądzi, że dźwięki i formy nie ulegają łatwo obcym wpływom, Kretschmer jest zdania przeciwnego. Gdzie Kretschmer widzi wpływ obcy, tam Thumb przyjmuje rozwój wewnętrzny. Thumb sądzi, że dwugłoski same przez się, bez wpływu zewnętrznego przeszły w monoftongi, że zarodki itacystycznej wymowy ει leżały już w attyckiem. Jeszcze mniej wierzy Thumb w to, by formy fleksyjne mogły się przenosić z dyalektu do

dyalektu. Koine dąży do uproszczenia i wyrównania form i tem się tłumaczą zmiany fleksyjne. Działała tu analogia.

Przypuszczenie Kretschmera o daleko idącym wpływie dyalektów beockiego i północno-greckiego na Koine a o małym wpływie attyckiego spotkało się z silną opozycyą. Jakoż pewne jego twierdzenia nie dadzą się utrzymać. Tak przedewszystkiem niewątpliwą jest rzeczą, że dyalekt attycki jest podstawą Koine i że z innych dyalektów joński wywarł na Koine wpływ najsilniejszy. Wiele zjawisk Koine ma swe zarodki już w dyalekcie attyckim, n. p. wymowa ει jak i. Mimo to sądzę, że twierdzenie Kretschmera o wpływie innych dyalektów jest do pewnego stopnia słuszne, tylko wymaga zmodyfikowania. Mianowicie dyalekty te nie wywoływały może bezpośrednio zmian w Koine, lecz pośrednio. Koine nie brała pewnych objawów fonetycznych i morfologicznych wprost z beockiego lub północno-greckiego, lecz właściwości tych dyalektów przyspieszały rozwój, do którego skłaniał się dyalekt attycki czy joński. Tak n. p. w beockiem ει przeszło wcześnie na i. Otóż gdy w Egipcie lub Azyi mniejszej Grek pochodzenia attyckiego słyszał z ust mieszkańca Beocyi w codziennem obcowaniu wyraz γείτων wymawiany jako γίτων, to to przyspieszyło tylko przemianę ει w ι, do której miał tendencyę dyalekt attycki. Mieszkaniec Attyki mógł sam dojść do acc. pl. τοὺς λέγοντες, jak doszedł do τὰς πόλεις (forma nom.), ale przyspieszył tę zmianę fakt, że w dyalektach północno-greckich takie Acc. istniały. Zapewne nie wszędzie należy myśleć o takim pośrednim wpływie. Niektóre zjawiska mogły być przejęte wprost z beockiego lub północno-greckiego, inne mogły się rozwinąć z attyckiego niezależnie od wszelkich dyalektów. W przyszłości zapewne będzie można na niejedno z tych pytań odpowiedzieć dokładniej. Poprzednio musi być zbadane, kiedy, gdzie i wśród jakich warunków historycznych pojawia się po raz pierwszy pewne zjawisko, czy n. p. w miejscu, gdzie pewna zmiana się dokonała, mieszkali istotnie przedstawiciele tych dyalektów, które pozornie wpłynęły na ową zmianę.

W przyszłości zapewne okaże się, że wpływ różnych dyalektów na Koine jest silniejszy niż to dziś się przyjmuje.

Thumb przypuszcza, że podstawą Koine jest dyalekt attycki, ale nie literacki, lecz potoczny. Dowody jego jednak nie wytrzymują krytyki, bo wyliczone przez niego zjawiska wspólne Koine a dyalektowi potocznemu attyckiemu nie są wcale specyalnie attyckiemi.

Nadmienić wreszcie wypada, że różnica zdań między Thumbem a Kretschmerem dotyczy tylko podstawy potocznej Koine. Co do Koine literackiej, to i Kretschmer zgadza się, że podstawą jej jest dyalekt attycki.

## Powstanie Koine.

Pytaniem, jak powstała Koine, zajmowali się głównie Thumb i Kretschmer. Powstanie Koine przedstawia się według nich w sposób następujący.

Pierwsze początki do powstania Koine dał pierwszy związek morski attycki. Dyalekt attycki wchłaniał wtedy niejeden element obcy, zwłaszcza joński, i na odwrót wpływał na inne dyalekty. Także i wielkie miasta greckie, zwłaszcza miasta portowe, jak n. p. Pireus, sprzyjały mieszaniu się dyalektów, bo tu gromadzili się Grecy różnych szczepów. Ps. Xenofontowa Ἀθηναίων πολιτεία poświadcza, że w Atenach mieszał się dyalekt attycki z innymi. Odnosi się to do języka potocznego attyckiego, a nie do literackiego. Mieszanie się dyalektów widzimy też na wazach attyckich, na t. zw. chalkidyjskich i wielu południowo-italskich.

W wielu koloniach, zwłaszcza sycylijskich i południowo-italskich, rzecz miała się podobnie, bo zamieszkiwali je Grecy różnych szczepów (n. p. Himerę na Sycylii).

Koine powstaje jednak na prawdę dopiero z Aleksandrem Wielkim Językiem stworzonych przez niego państw na Wschodzie staje się grecki. Po grecku piszą dwory hellenistyczne i urzędy, greckim jest język wojska i kolonistów. Żydzi w Egipcie mówili też po grecku, a miało ich być w Egipcie milion (tak podaje Philo). Językiem tych nowych państw był według Thumba ten dyalekt attycki, którym mówiono w obrębie morza egejskiego a który wsiąknął w siebie wiele żywiołów jońskich. W miastach, w których mieszkali pomieszani Grecy różnych szczepów, mówił każdy według Kretschmera swoim ojczystym dyalektem; powoli odrzucano te właściwości, w których dyalekt najbardziej odstępował od innych. W drugiem pokoleniu zniknęło jeszcze więcej tych właściwości, a w dalszych pokoleniach poczęły dyalekty zlewać się w jeden język ogólny. Koine rozwinęła się przedewszystkiem w Egipcie i Azyi mniejszej. Te kraje oddziaływały później na język kraju macierzystego. Przybywali z nich kupcy do Grecyi, przybywali ludzie na uroczystości olimpijskie, wreszcie — czego Thumb nie dodał — Egipt wywierał zawsze wpływ polityczny na Grecyę. Ptolemeuszom podlegały Cyklady, Samos, Samothrake, Itanos na Krecie, Thera, miasto Arsinoe w Peloponezie. We wszystkich tych miastach rezydowali urzędnicy Ptolemeuszów.

Między dźwiękami i formami różnych dyalektów toczyła się najpierw walka. Później zwykle forma pewnego dyalektu odnosiła zwycięstwo. Język kierował się przytem według Thumba następującemi zasadami: 1) Co było wspólnem dyalektom attyckiemu i jońskiemu, pozostało w Koine nienaruszonem (ῃ; zakoń. -ουσι i -ασι). 2) i 3): Jeżeli dyalekt attycki zgadzał się w pewnej formie z innymi niejońskimi, to ta forma zwyciężała (n. p. ᾱ purum); podobnie jeżeli dyalekt joński zgadzał się w czem z innymi dyalektami (n. p. σσ), to ta forma brała górę. 4) Jeżeli z dyalektem attyckim zgadzała się część dyalektów a druga część z jońskim, to obie formy utrzymywały się w Koine (n. p. ἄρσην joń., lesb., częściowo dor., θαρρῶ att., ark., w. Thera), 5) albo też powstała w tym razie forma mieszana (n. p. μυελός itd.) albo wreszcie zwyciężyła forma jednego dyalektu, n. p. doryckiego (νᾱός, gen. na -ᾱ n. p. Παυσανία).

Zasady, postawione przez Thumba nie zawsze się co prawda sprawdzają. Tak n. p odmiana πόλις, πόλιος była rozpowszechniona w całej Grecyi, mimo to zwyciężyła w Koine odmiana att. πόλεως. Acc. femininów na -ώ (acc. -οῦν; = att -ώ), właściwy tylko dyalektowi jońskiemu, zwyciężył mimo to.

Wymienione poglądy Thumba i Kretschmera na powstanie Koine nie mogą zadowolić, o ile dotyczą samych początków Koine. Według mego mniemania początki Koine przedstawiają się w sposób następujący:

Początki Koine leżą nie w Grecyi, lecz w Makedonii. Makedończycy zanieśli język grecki na Wschód. Grecy brali w tem dziele udział, ale główna rola przypada tu Makedończykom. Czemuż językiem urzędowym nie stał się w nowych państwach język makedoński, lecz grecki? Oto dlatego, że językiem Makedończyków był język grecki. Dwór makedoński, szlachta, urzędy posługiwały się językiem greckim. Makedonia brała udział w oświacie greckiej od czasów króla Archelaosa. Za czasów Filipa i Aleksandra jest Makedonia do połowy zhellenizowaną. Lud był wtedy już prawie dwujęzycznym: mówił po makedońsku, ale rozumiał też po grecku. Aleksander W. mówi do wojska po grecku. Wódz jego Philotas broni się w procesie przed wojskiem, złożonem z Makedończyków i Greków, w języku greckim; Makedończycy rozumieli zatem ten język. W 2. w. przed Chr. Makedonia jest już całkowicie zhellenizowaną; wypływa to z Polybiosa, Strabona i Liwiusa. Kancelarya makedońska pisze od czasów Filipa po attycku. Poprzednio pisała prawdopodobnie po jońsku (zdaniem Wilamowitza, ZFGW. 1884).

Jakimże był ten język attycki w Makedonii za czasów Filipa lub Aleksandra? Nie był to z pewnością czysty dyalekt attycki, lecz silnie zabarwiony jonizmami. Makedończycy przejmowali oświatę grecką za pośrednictwem miast jońskich, rozsianych na wybrzeżu makedońskiem. Że dyalekty joński i attycki wcześnie się w Makedonii mieszały, dowodzą napisy greckie z Makedonii. Tak n. p. pewien napis z czasów króla Amyntasa (z lat między 389 a 383) wykazuje obok form jońskich także i attyckie. Napis króla makedońskiego Antigonosa z r. 304 lub 303 (po Aleksandrze Wielkim) lub napis Kassandra z tych samych czasów wykazują dyalekt attycki z domieszką jonizmów. To też już język grecki, który Aleksander i jego wojsko zanieśli na Wschód, był pewnego rodzaju Koine. W wyprawie Aleksandra wzięły udział różne szczepy greckie; mnóstwo Greków osiedliło się potem na Wschodzie jako koloniści; mieszanie się ich dyalektów prowadziło dalej rozpoczęty proces. Ważną rolę dyalektu jońskiego w Koine rozumiemy tylko wtedy, gdy początki jej wyprowadzać będziemy z Makedonii. Makedonia daleko więcej wpłynęła na powstanie Koine niż związek morski lub miasta wielkie i portowe.

Ale dodać należy jeszcze jeden czynnik: dwory satrapów perskich w Azyi mniejszej. Dwory te używały w starszej epoce dyalektu jońskiego; gdy w 5. w. Ateny stały się potęgą polityczną, posługiwano się na dworach satrapów dyalektem attyckim. Po wojnie peloponeskiej zaczął tu wybitną rolę odgrywać dyalekt dorycki. Te stosunki przyczyniły się również do wytwarzania się Koine na Wschodzie.

Wreszcie nietylko Egipt i Azya mniejsza odegrały główną rolę w wytworzeniu Koine, lecz i Syrya. Udział Syryi nie jest dotąd należycie oceniany. Że dla nas mniej jest widoczny niż udział Egiptu lub Azyi mniejszej, to pochodzi stąd, że z Syryi mamy mało napisów, bo tu wogóle mało pisano. Seleukidzi próbowali hellenizować, czego nie czynili Ptolemeusze, stąd Seleukidzi musieli niemało wpłynąć na rozwój Koine.

O stopniowem rozprzestrzenianiu się języka greckiego po Aleksandrze traktuje Ed. Schwyzer w pracy: Die Weltsprachen des Altertums (Berlin 1902). Chodzi w tej pracy nie o jakiś starożytny volapük, lecz o języki starożytne, które były językami świata, przedewszystkiem grecki i łaciński. Język grecki stał się nim z Aleksandrem W.

Koine uważano dawniej za okres upadku języka greckiego. Przeciwko temu słusznie się zwrócono w czasach nowszych. Prawda, że w zakresie morfologii wiele form zanika a wiele konstrukcyj w składni, ale wyrazistość języka t. j. zdolność do wyrażania odcieni myśli

nic na tem nie straciła. Wszak i język angielski musielibyśmy w takim razie uważać za język ubogi, widzieć w obecnym jego stanie upadek w porównaniu z czasami dawniejszymi, co jednak byłoby mylnem. Co do zapasu wyrazów w Koine, to ten nie tylko się nie zmniejszył, lecz przeciwnie wzbogacił.

*Lwów.*

# Drobiazgi humanistyczne.

II.*)

Zebrał

Tadeusz Sinko.

W ostatnim zeszycie Pamiętnika Literackiego (IX, 1, 1905, str. 52) zwrócił p. F. Krček uwagę na to, że Mikołaja Sępa Szarzyńskiego wierszyk »do Anusie« (nr. 64 wyd. I. Chrzanowskiego w Bibl. pis. pol. krak. Akad. Umiej. z r. 1903) jest, począwszy od wiersza piątego, parafrazą drugiej części Katullowego *carmen V* do Lezbii. Zachęcony tem spostrzeżeniem, przejrzałem i resztę poezyi Szarzyńskiego i przekonałem się, że poeta był przedewszystkiem miłośnikiem i naśladowcą Horacego**). Oto dowody:

Z dwóch redakcyi (nr. 17 i 18 Chrzanowski) utworu o cnocie szlacheckiej doskonalszą jest druga (nr. 18), adresowana »do jednego panięcia«, czego dowodem choćby tylko brak rymu w dwóch początkowych wierszach utworu 17. Poeta przyznaje, że tylko szlachetny ród szlachetnych wydaje potomków, ale wymaga utwierdzenia przyrodzonych cnót przez ćwiczenie i nauki i wykazuje negatywnie na tym pogromcy Hannibala, pozytywnie na Herkulesie prawdziwość swych twierdzeń. Streściwszy w zdaniu »Droga ku sławie w sławnem urodzeniu Domu, nie sama sława«, przewodnią myśl swej pieśni, zachęca

*) Por. Eos X, 2, s. 138 nn.; XI, 1, s. 34 nn.).

**) Katulla (c. 11 fin.) przypomina jeszcze tylko porównanie (nr. 28, 7 nn.) o podciętym kwiecie.

szlachetne panię do naśladowania przodków i obiecuje mu wieczną sławę.

Trudno nie dostrzec, że cały tok myśli przejęty jest z Horacyuszowskich pochwał młodego Druzusa, pasierba Augustowego, i całego rodu Klaudyuszów (carm. IV, 4). Szarzyński zaczyna od parafrazy strofy ósmej (wiersz 29): Fortes creantur fortibus et bonis; Est in iuvencis, est in equis patrum Virtus, neque imbellem feroces Progenerant aquilae columbam; opuszcza wzmiankę byczków, a przytacza lwa, z którego nie urodzi się zając, i pisze:

Zacni się rodzą z zacnych i cnotliwych:
Znać w koniu sztuki ojcowskie; lękliwych
Śmiała orlica gołębi nie rodzi,
Ani z lwów trwałych mdły zając pochodzi.

Patrum virtus u koni nieszczęśliwie oddana przez »sztuki ojcowskie«, chociaż nie o sztukę, ale o rasę i płynące z niej przymioty chodzi. Kontrast śmiałej orlicy i lękliwego gołębia powtarza się w stosunku lwa do zająca. Poeta nie chce powtarzać tych samych epitetów, więc pisze naprzód »ani mdły zając z dużych lwów pochodzi«; ale czując, że to przeciwstawienie samego wzrostu jest za blade, poprawia: »Ani z lwów trwałych mdły zając pochodzi«. I tego kontrastu wytrwałego lwa i słabego zająca nie można nie nazwać mdłym. — Lepiej udała mu się parafraza strofy następnej: Doctrina sed vim promovet insitam, Rectique cultus pectora roborant, Utcumque defecere mores, Dedecorant bene nata culpae.

Wszakże rozmnaża cnoty przyrodzone
Ćwiczenie święte; czynią utwierdzone
Nauki serce: tych kiedy nie staje,
Ślachetne plemię szpecą złe zwyczaje.

Pierwsza redakcya nie ma przydawki »święte« przy »ćwiczenie«. Jakoż umieścił ją poeta tylko przez myśl o cnotach. Natomiast opuścił w drugiej redakcyi bliższe określenie nauk »piękne nauki«, t. j. bonae artes, sztuki wyzwolone. Może nie chciał by nieuważny czytelnik odnosił »piękne« do serce. Zmienił też myśl Horacyusza o tyle, że rzymski poeta w złych obyczajach widzi sromotę dla szlachetnej piersi; polski sądzi, że dopiero brak nauki sprowadza złe obyczaje, które szlachetne plemię szpecą.

Tok myśli Horacego przerywa Szarzyński własnym komunałem o potomku szlachetnego rodu, który gubi sławę przodków, chełpiąc się

nią a nie naśladując jej. — Horacy sławi przodka Druzusowego, konsula G. Klaudyusza Nerona, który przez pokonanie Hazdrubala nad Metaurem przyczynił się do ustąpienia Hannibala z Italii. Szarzyński zachował tylko wzmiankę o ucieczce Hannibala z Italii: dirus per urbes Afer ut Italas.....per Siculas equitavit undas (w. 42 n.), ale zużytkował ją inaczej. Zwycięzcą Hannibala jest Scypio Afrykański. Jego syn nie wstępował w ślady ojca i dlatego szydził z niego waleczny Rzym. — Przykład Herkulesa mógł poeta samoistnie na podstawie popularnej wiadomości skomponować, ale może też miał na myśli wiersze Horacego (IV, 8, 29 nn.): sic Iovis interest optatis epulis impiger Hercules, bo i tam o unieśmiertelniającej sławie mowa. Dwie zaś drogi widzi Szarzyński do tej sławy wiodące: obronę praw i obronę ojczyzny.

Pieśń o Fridruszu (Nr. 18) rozpoczyna parafrazą Horacego III, 3: Iustum et tenacem propositi virum Non civium ardor prava iubentium, Non voltus instantis tyranni Mente quatit solida cet. Ale opuszcza wzmiankę o przewrotnym tłumie, z tyrana zostawia tylko łaskę, którą bohater gardzi, a zamiast kataklizmów natury wstawia gniew szczęścia:

Umysł stateczny i w cnotach gruntowny
Kto ma od Boga, żywie świętym równy;
Nietylko wytrwa gniew szczęścia surowy,
Ale i łaską wzgardzić jest gotowy.

Stateczność taką illustruje Horacy przykładem Romulusa, Szarzyński Fridrusza. Kiedy ten opisuje klęskę, zadaną Polakom przez Tatarów, i szuka bohaterskiej śmierci, to postępuje tak, jak Horacyuszowski Regulus (III, 5, 21): derepta vidi, vidi ego civium cet.: »Farbę Bugowej, widziałem, krew wody nasza zmieniła«. I Regulus wyrzuca żołnierzom rzymskim, że woleli się poddać niż zginąć. On śmierć woli od hańby. — Oczywiście treść miał Szarzyński daną w fakcie historycznym. Ale w jej sformułowaniu nie zapomniał o Horacym. To też kiedy opiewał wypadek analogiczny (jako motyw poetyczny) do śmierci Fridrusza, śmierć Strusia (nr. 19, 19a), który poległ w nieszczęśliwej bitwie z Tatarami, uwzględniał Horacego carmen IV, 2. Więc jego dulce et decorum est pro patria mori (w. 13) oddał przez: »Jest nieco — ojczyźnie żywot swój darować«; a słowa o śmierci tchórzów (w. 14 nn.): mors et fugacem persequitur virum nec Parcit imbellis iuventae poplitibus timidoque tergo taki mają odpowiednik w redakcyi pierwszej (19, 21): »i tak pierzchliwego

Śmierci grzbiet jest odkryt, jak śmierci śmiałego«. W tejże redakcyi czytamy porównanie o rozjuszonym lwie, który żądny krwi wpada w szeregi myśliwych (w. 25 nn.). Ma je Horacy w tej samej pieśni (w. 11 n.). Wreszcie w rozważaniach o sławie (w. 20 i 34 pierwszej red.) pobrzmiewają echa Horacego (w. 21 nn.): virtus recludens *inmeritis mori caelum negata temptat iter via.*

Oczywiście tylko wtedy nawet tak drobne wolno wykazywać analogie, gdy się raz stwierdziło wyraźnie zależność od Horacego. Toteż nawet w utworze 21. można odkrywać wpływy myśli Horacego carm. 2, 2, w utworze 41. dopatrywać się reminiscencyi carm. II, 18; I. 32, 9 nn. i IV, 15 i n., a początek utworu drugiego:

Ehej, jak gwałtem obrotne obłoki
I Tytan prędki lotne czasy pędzą!
A chciwa może odciąć rozkosz nędzą
Śmierć, — tuż za nami spore czyni kroki

uważać za echo carm. II, 14: Eheu fugaces, Postume, Postume, labuntur anni! W dalszym ciągu jest też wzmianka o indomita mors, która u Szarzyńskiego tak goni za człowiekiem, jak vitiosa cura Horacego (carm. II, 16. 21). — Nawet w utworze 20., poświęconym Stefanowi Batoremu, wolno się dopatrywać wpływu carm. IV, 5, (por. też IV, 15), w którem Horacy sławi Augusta. Sam jednak początek: »Królowi hymn możnemu śpiewajmy Kameny, Bogu naprzód: bez Boga nic nie godne ceny itd.« przywodzi na pamięć początek Teokrytowej pochwały Ptolemeusza (id. XVII): Ἐκ Διὸς ἀρχώμεσθα καὶ ἐς Δία λέγετε Μοῖσαι.. ἀνδρῶν δ' αὖ Πτολεμαῖος ἐνὶ πρώτοισι λεγέσθω, jak znowu dalsze pochwały Boga przypominają początek Aratowych Fenomenów.

Ale na tym przykładzie trudnoby udowodnić znajomość greczyzny u Szarzyńskiego. Prędzej uwierzy ktoś, że początek sławnego sonetu (nr. 6): »*I nie miłować ciężko i miłować*« jest tłumaczeniem anakreontyka (nr. 46): Χαλεπὸν τὸ μὴ φιλῆσαι, Χαλεπὸν δὲ καὶ φιλῆσαι. Anakreon narzeka w dalszym ciągu na chciwość kochanków, Szarzyński boleje nad marnością rzeczy zmysłowych, które nie dają zadowolenia, jeśli celem miłości nie jest — Bóg.

A czy pisana w safickiej strofie pieśń (nr. 53), wzywająca Afrodytę, by zaprzęgła w złoty wóz parę białych gołębi i przybyła nad Wisłę, nie powstała pod wpływem ody Safony do Afrodyty?

..... πατρὸς δὲ δόμον λιποῖσα
χρύσεον ἦλθες
ἅρμ' ὑποζεύξασα, κάλοι δέ σ' ἆγον
ὠκέες στροῦθοι περὶ ᾖγὰρ μελαίνας
πύκνα δινεῦντες πτέρ' ἀπ' ὠρανῶ, αἰθέ-
ρος διὰ μέσσω.

Wzmiankę o opuszczeniu Cypru przez Wenerę ma i Horacy (carm. I, 19, 9, por. I, 30).

Ale nietylko starożytną lirykę przerabia Szarzyński na polską. W wierszu do Kasie (nr. 68) zrymował w pięknych strofach safickich opowiadanie Owidego o Narcyzie (Met. III, 413—510). Zaczął od w. 487 :

...sed ut intabescere flavae
Igne levi cerae matutinaeque pruinae
Sole tepente solent, sic attenuatus amore
Liquitur et caeco paulatim carpitur igni

i w odniesieniu do siebie napisał:

Jako lód taje przezroczysty z lekka,
Kiedy go ogień zagrzewa z daleka,
Tak ja na twarz twą na każdą godzinę
Patrzam a ginę.

Stosunek do Owidego w dalszym ciągu zillustrujemy jedną strofą (w. 48 nn.): Narcyz przemawia do swego wizerunku, odbitego w źródle:

Płaczesz, gdy płaczę; gdy żałośnie wzdycham,
Wzdychasz; śmiejesz się, gdy się ja uśmiecham;
Chcę cię obłapić, ręce twe rozciągasz
I mnie też siągasz.

Owidyusz pisze (w. 458 nn.):

Cumque ego porrexi tibi bracchia, porrigis ultro;
cum risi, arrides; lacrimas quoque saepe notavi
me lacrimante tuas..

Zakończenie opowiadania Owidyuszowego (w. 505 n.):

...Planxere sorores
Naides, et sectos fratri posuere capillos,
planxere et Dryades cet.

umieścił Szarzyński we »fraszce do Anusi« (nr. 67). Dokładne zbadanie motywów jego erotyków wykazałoby, że te płomienie do Zoś, Kaś i innych Anuś żar swój nie tyle sercu poety, ile antologii i anakreontykom zawdzięczają. Ale może już i przytoczone, bez szukania, przypadkiem znalezione próby wystarczą do scharakteryzowania — oryginalności Szarzyńskiego. Oryginalności w poezyi polskiej przed w. XIX szukać można jedynie u domorosłych nieuków. A Szarzyński do nich nie należy. Ktoby wątpił o jego humaniźmie mimo przytoczonych reminiscencyi starożytnych, tego może zachowane wiersze łacińskie Szarzyńskiego skłonią do wiary w jego humanizm.

Aby oszczędzić trudu szukania wśród epigramatów Martialisa źródła »fraszki z Marcyalisza« (nr. 42, 42a), dodaję, że źródłem jej jest nie Martialis, lecz Plutarch (apophth. reg. imp. Agathocl. nr. 1) i z niego powtarzają ją humanistyczni wydawcy apoftegmatów, jak Fulgosius, Erazm z Rotterdamu i Lykostenes. Z tego przejął ją Rej i opowiedział w 8 wierszach w »Zwierzyńcu« (I 30), a prozą w »Żywocie człowieka poczciwego« (str. 112 Turowski, I 157 Kallenbach). Ośmiowiersz Szarzyńskiego wyszedł może z chęci rywalizowania z Rejem w obrobieniu tego samego tematu.

Natomiast czterowiersz 43 (Z tegoż fraszka) jest rzeczywiście przekładem dwóch epigramów Martialisa:

V 81: Semper eris pauper, si pauper es, Aemiliane.
Dantur opes nulli nunc, nisi divitibus

i VII 55: Nulli munera, Chreste, si remittis,
nec nobis dederis remiserisque:
credam te satis esse liberalem.

Wreszcie drobny przyczynek do źródeł *X. sielanki Szymonowicza!* Wspomniałem (Eos XI, 1 str. 34), że pomysł próby dziewiczości zapomocą rodzaju sądów bożych wziął Szymonowicz z greckiego romansu. W r. 1154 wydał Włoch Annibale della Croce (Cruceius) w Bazylei (dziesięć lat przedtem publikował w Lyonie pierwszą

połowę) łaciński przekład ośmiu ksiąg de Clitophontis et Leucippes amoribus Achillesa Tatiosa. Pierwsze wydanie greckie ukazało się dopiero w r. 1601 ex officina Commeliniana. Otóż w tym romansie ma cudzołożna żona, Melite zstąpić dla oczyszczenia się do wody stygijskiej Gdy kto fałszywie przysiągł na swą niewinność a potem wstąpił do wody, woda podnosiła się wzburzona aż po jego szyję. Przy wstąpieniu osoby, która prawdziwie przysięgła, woda się nie podnosiła, zostawała tylko po kolana. Powstanie tego źródła Tatius tak objaśnia (VIII 15): Żyła raz piękna dziewica, Rodopis, oddana tylko łowom i gardząca miłością. Artemida przyjęła ją do swego orszaku, zobowiązując przysięgą do wiecznego dziewictwa Rozgniewana tem Afrodyta sprowadziła na jej drogę równie nieczułego na miłość młodzieńca, Euthynikusa, i w sercach obojga wznieciła gwałtowną namiętność, która w tej samej grocie, gdzie Rodopis przysięgała Artemidzie czystość, znalazła zaspokojenie Rzecz wyszła na jaw. Rodopis za karę została przemienioną w źródło stygijskie. — To opowiadanie, połączone z Owidyuszowską historyą o Kallisto, dało Szymonowiczowi zrąb do sielanki X.

Wpływ romanso-pisarzy greckich na literaturę polską XVII. w. należy jeszcze zbadać. Dowodem ich znajomości u nas jest choćby to, że Etyopika Heliodora przełożył pierwszy na język łaciński Polak, Stanisław Warszewicki i wydał w r. 1596 z greckim tekstem Kommelinusa; a w r. 1606 ukazało się w Wilnie polskie tłumaczenie tegoż romansu. A kto się rozczyta w romansach pasterskich, począwszy od Arkadyi Sannazara, ten znajdzie może i źródła dziwacznych imion dziewcząt i młodzieńców w »Roksolankach« *Szymona* Zimorowicza.

*Kraków.*

# MISCELLANEA.

## Grzegorz Nysseński o ciśnieniu ciepła słonecznego.

W odcinku »Czasu« (r. 1905, Nr. 18 z dnia 23. stycznia) podał Dr. Antoni K. kilka uwag o promieniowaniu słońca, z których najciekawszą była dla mnie następująca notatka: »Przed trzydziestu laty dowodził angielski uczony Clerk Maxwell, że na mocy jego elektromagnetycznej teoryi światła promienie powinny wywierać ciśnienie na powierzchnię ciała, które oświetlają i ogrzewają. Zjawisko to stwierdził rosyjski uczony Lebedew i Amerykanie Nichols i Hull; ci ostatni wymierzyli nawet wielkość tego ciśnienia z nadzwyczajną ścisłością. Jeżeli ciało ma jeszcze mniejsze rozmiary, niż średnica $^1/_{40.000}$ cm., wtedy ostatecznie zostaje odepchnięte od słońca«... Nie śledziłem oczywiście wstecz historyi tego spostrzeżenia, zwracam tylko uwagę, że pisarz kościelny 4. wieku, Grzegorz, biskup Nyssy, w Τὰ Μακρίνια (w dyalogu z siostrą Makryną o duszy) podobnie się wyraża o cieple słońca: »οἷς (sc. στοιχείοις) ἀνωφερής ἐστιν ἡ φύσις, ἐπὶ τὰ κάτω φέρεται, τῆς ἡλιακῆς θερμότητος διὰ τῶν ἀκτίνων καταῤῥεούσης« (= Migne, Patr. gr. tom 46, col. 25). Czy wiadomo komu o innych analogicznych zdaniach?

*Kraków.* *A. Miodoński.*

---

## Kilka słów o wydaniach Historyi Długosza.

Zajmując się Grzegorzem z Sanoka, miałem sposobność porównywać często oba wydania »Kroniki« Długosza: Lipskie i Krakowskie z r. 1878. Uderzyło mię więc, że recenzya tekstu, jaką uskutecznił Żegota Pauli, wprowadza nieraz zmiany, co najmniej wątpliwe. Objaśnię to jednym znamiennym przykładem.

Według notatki w Aktach grodzkich i ziemskich II. str. 51 (r. 1404) w pobliżu Dunajowa leżała wieś Zboratycze: in fluvio Weli-

kalyppa (dziś Złota Lipa), quod flumen granicies inter villam nostram Sboraythicze et inter villam Dunayow ipsius haliciensis Archiepiscopi. Wydawca Liske zauważył, że wsi Zboratycze obecnie nie można odszukać, »może była zniszczona przez Tatarów r. 1474, kiedy Grzegorz z Sanoka obronił się od Tatarów w posiadłości swej Dunajowie«. To przypuszczenie potwierdza Długosz, ks. XIII. str. 515, który donosi, że Tatarzy właśnie w tym czasie spalili prócz Kamieńca, Halicza, Glinian, Dunajowa, Gołogór — także Zboratycze: Thartarorum vilis.. exercitus... cladem ingentem circa Kamyenyecz, Halicz, Glinyani, Dunayow, Golegori, Zberaszicze igne, caede et omni vastationis genere egit. Tak czytamy w wydaniu lipskiem podczas gdy wydanie krakowskie (ks. XII. str. 608) podaje »Zbarasz« zamiast Zboratycze. Wzgląd na sąsiedztwo Dunajowa i osady Zboratycze przemawia za autentycznością tekstu lipskiego, czy natomiast »Zbaraż« jest prostem podstawieniem nazwy więcej znanej, czy też należy przyjąć, że była mowa o obu naraz miejscowościach, to zależałoby od stwierdzenia, jak daleko w tym roku posunęły się hordy tatarskie.

Byłoby rzeczą pożądaną, poddać dokładnej rewizyi tekst Długosza, porównać oba wydania i ułożyć jako dodatek, krytyczny wykaz różnic. Sądzę, że sumienny historyk, zwłaszcza Polak, nie będzie uważał takiej pracy za zbyteczną.

*Kraków.* *A. Miodoński.*

---

## Buonaccorsianum.

Nuper cum quaestionem de verborum ait, inquit in Callimachi libello de vita et moribus Gregorii Sanocei collocatione instituerem, incidi in locum, qui est c. 30, l. 5 sqq. (ed. Finkel. Mon. Pol. hist. VI (1893) p. 202): Ceterum ne aut ea, quae magno labore conquisierat (sc. Gregorius), neglegentia deperirent aut animus suus, quem ab omni perturbatione absolutum volebat, servilibus curis implicaretur, rerum suarum procuratores in locis opportunis designaverat, cum quibus administrationis rationes nunquam subducebat seu certus integritatis eorum seu timens cognita fraude destinatam sibi animi pacem inquietare. Illud certum est ipsum saepe usurpare solitum eorum, qui de fide procuratoris dubitarent aut inquirerent; etsi res maxime salvae sunt, tamen animum esse inquietum.

Verba »illud certum« cet. usque ad finem sensu carent, quapropter Miodoński (ed. Cracov. 1900) post vocem solitum vocabulum dictum addidit, Sinko (Eos VI (1900) p. 243 not. 3) genetivum eorum in ad eos mutandum esse putabat. Sed mea quidem sententia locus, de quo agitur, nulla mutatione eget, dummodo rectam interpungendi rationem adhibeamus. Illud certum est ipsum saepe usurpare solitum (sc. esse), eorum, qui de fide procuratoris dubita-

rent aut inquirerent, etsi res maxime salvae sunt, tamen animum esse inquietum. Pronomen illud non est subiectum, quod vocatur, enuntiati certum est, sed vice obiecti verbi usurpare fungitur (cf. c. 39, l. 14 sq. Id pro certo asseveraverim, cum de ieiunio admoneretur (sc. Gregorius), Isaiae illud usurpabat: »Non tale ieiunium elegi«, dicit Dominus), genetivus eorum non e pronomine illud, sed e substantivis res, animum pendet.

*Scr. in oppido Kołomyja.* *Z. Dembitzer.*

# Recenzye — Sprawozdania — Zapiski.

Ulrich von Wilamowitz-Moellendorff, Die griechische Literatur des Altertums (W zbiorze: Die Kultur der Gegenwart, herausgegeben von Paul Hinneberg, Teil I, Abteilung 8,*) str. 1—236), Berlin i Lipsk 1905, B. G. Teubner. 12 M. (za cały tom oprawny).

Ktokolwiek przegląda historyę filologii klasycznej w ostatniej ćwierci ubiegłego wieku i wyniki badań w rozmaitych jej działach, zebrane tak dostępnie w wydawnictwie W. Krolla: »Die Altertumswissenschaft im letzten Vierteljahrhundert« (Lipsk 1905, O. R. Reisland, str. 557), tego musi uderzyć ogromne znaczenie berlińskiego hellenisty, który w metryce, krytyce tekstu, historyi politycznej, a przedewszystkiem w historyi literatury, branej w najobszerniejszem znaczeniu tego słowa, mnóstwo problemów rozwiązał a więcej jeszcze poruszył. Nie można sobie poprostu wyobrazić, jakby wyglądał rozwój filologii greckiej w ostatnich 30 latach bez imienia i osoby Wilamowitza. Pracownika wszechstronniej wykształconego, badacza bardziej bystrego, pisarza bardziej żywego Niemcy dziś nie posiadają. A że współczesna filologia klasyczna ciągle jeszcze przebywa swój »okres niemiecki«, można bez wielkiej przesady powiedzieć, że Wilamowitz jest największym współczesnym hellenistą w Europie, więc na całym świecie.

Polscy czytelnicy, którzyby tej osobistości jeszcze nie znali, mogą się jej przypatrzyć w sylwetce, skreślonej z okazyi srebrnego jubileuszu doktorskiego przez ucznia jego, prof. S. Witkowskiego (Przegląd polski t. XX). A gdy ją przeczytają, gdy przypomną sobie o tak znanych dziełach, jak: Homerische Untersuchungen, Aus Kydathen, Einleitung in die attische Tra-

*) Tom I. część 8. mieści nadto: 2) Die griechische Literatur des Mittelalters von Karl Krumbacher (str. 237—285), 3) Die griechische Sprache von Jakob Wackernagel (str. 286—312), 4) Die römische Literatur des Altertums von Friedrich Leo (str. 313—373), 5) Die lateinische Literatur im Ubergang vom Altertum zum Mittelalter von Eduard Norden (str. 374—411), 6) Die lateinische Sprache von Franz Skutsch (str. 412—451).

gödie, Isyllos von Epidauros, Textgeschichte der griechischen Lyriker, ciekawość ich, by poznać historyę literatury greckiej, napisaną przez tego człowieka i uczonego, będzie dość naprężona.

Rzecz ukazała się w zbiorze encyklopedycznym, przypominającym gigantycznego Erscha i Grubera, ale znacznie dostępniejszym, w zamiarze nawet popularnym. Jakoż wiele ustępów może nawet wykształcony laik czytać z zajęciem i korzyścią. Ale całość, a także każde zdanie z osobna, przemówi tylko do filologa, znającego i autora, o którym mowa, i wszystkie problemy z nim związane. Laik najwięcej skorzysta, dowiadując się np., czego nie mamy z liryków greckich, o których się tyle mówi, a nadto poznając szereg wybitnych osobistości literackich. Filolog umocni się w przekonaniu, że filologia klasyczna jest jeszcze nauką bardzo młodą, zapamięta sobie, ile kwestyi trzeba jeszcze rozwiązać.

Wilamowitz wskazuje na nie przy każdej sposobności. Ale za podręcznik historyi literatury ta książka służyć nie może. Młodzieńcy, szukający w podręcznikach materyału do memorowania, systematycznie ułożonego w półkach i półeczkach, będą próbować podkreślać pewne zdania, aby się ich wyuczyć na pamięć. Ale wnet odłożą i ołówek i książkę. W niej trzebaby albo wszystko podkreślić, albo niczego nie tykać. Przejrzystością i trywialną przystępnością szkolarską dzieło to nie grzeszy.

Gdyby chodziło o analogie, to jedynie ustępy o literaturze rzymskiej, skreślone przez Teodora Mommsena w jego Historyi rzymskiej, możnaby zestawić z wywodami Wilamowitza. Taką literaturę grecką mógłby był napisać jedynie Mommsen, gdyby był pracował w tej dziedzinie, co jego zięć. Zresztą książka jest unikatem, jak jej autor.

Dwie dusze odsłoniły się Wilamowitzowi w literaturze greckiej: jońska i attycka. Jonizm jest wykładnikiem zbiorowej kultury wszystkich szczepów greckich, osiadłych w Azyi mniejszej, Na zjonizowanej ziemi eolskiej powstaje cechowa poezya epiczna, recytowana na dworach butnej szlachty (epos dworskie, nie ludowe; do illustracyi można użyć epopei starofrancuskiej, nie pieśni ludowych), najpierw w Azyi mniejszej i na wyspach, potem w samej Grecyi. Około r. 700 najznakomitsze jej produkty związane są już z imieniem osobistości historycznej, Homera. Wolno i trzeba wyróżniać w Iliadzie i Odyssei szereg źródeł (Vorlagen) Homera, ale nie wolno wątpić, że znane nam epopeje są dziełem jednego poety. Nie F. A. Wolf, ale Chr. G. Heyne i G. Hermann pomagają do zrozumienia i ocenienia Homera. Nie illustruje go też zupełnie sztuka mykeńska. Raczej styl geometryczny da się porównać z szablonowością, ale i architektoniką pieśni Homerycznych. Obok tej dworskiej i dwornej epopei kwitnie więcej »burleskowa« poezya popularna. Od Margitesa do jambów Archilocha i Hipponaksa prosta prowadzi droga. Antypodą Homera jest też pierwszy poeta kontynentu europejskiego, Hezyod, który bogów epopei jońskiej pogodził z bóstwami ludowemi Beocyi, stwarzając ich genealogie. — Więc Teogonia jest tylko spekulacyą jednego człowieka?!

Pomijamy rozwój elegii i liryki jońskiej (w Anakreonteach nie ma zupełnie Anakreonta) i eolskiej, nie zatrzymujemy się przy kitarodyce i poezyi chórowej, o której nie mamy wyobrażenia, a podnosimy fakt stworzenia naukowej prozy przez Jończyków: Anaksimandra, Heraklita i Hekatajosa. — Taki jest helleński peryod (ca. 700—480) literatury greckiej.

W peryodzie attyckim (480—300) przedstawia autor najpierw literaturę poza Atenami, więc lirykę chórową Simonidesa, Bakchylidesa i Pindara, poezyę filozoficzną, uprawianą w Grecyi Zachodniej przez Ksenofanesa, Parmenidesa i Empedoklesa; dalej prozaiczne pisma (w dyalekcie doryckim) lekarza Alkmajona i filozofów Filolaosa i Archytasa; wreszcie ludową poezyę Epicharma i Sofrona. Z koryneckich chórów Satyrów (nie z dytyrambów) powstaje na gruncie attyckim tragedya, a na jej modłę formuje się z pierwiastków flyakograficznych komedya. Równolegle z rozwojem attyckiej poezyi idzie jońska proza Herodota, Hellanika, Melissosa, Hippokratesa i Demokryta. Proza attycka pojawia się po raz pierwszy w mowach Peryklesa, a zwłaszcza w wymowie sądowej. Największym talentem formalnym jest Isokrates.

Nie możemy znowu streszczać wspaniałych charakterystyk mowców i filozofów attyckich (jako ludzi, osobistości i pisarzy) i przechodzimy do peryodu helleńskiego (320—30 przed Chr.), w którym Wilamowitz za Droysenem podnosi ogromne znaczenie hellenizmu, jako nowej formy kulturalnej, obejmującej cały świat cywilizowany. Na czele literatury hellenistycznej stawia autor Arystotelesa, przedstawia powstanie nowych form literackich, jak: »podręcznik szkolny«, hypomnema, list, diatryba, apoftegma; zastanawia się nad teoryami retorycznemi, które później doprowadziły do t. zw. azyanizmu i attycyzmu; kreśli hellenistyczną historyografię, biografię i romans. W ten ostatni gatunek wkłada (za E. Schwartzem) wszystkie elementy romantyczne, a przez to samo cofa problem na stanowisko Chassanga. Natomiast słusznie przyjmuje istnienie romansu komicznego przed Petroniuszem.

O ile rzecz o prozie hellenistycznej jest najlepszą partyą w całej książce, o tyle przedstawienie poezyi aleksandryjskiej przez najlepszego jej znawcę wiele pozostawia do życzenia. Żadnych grup literackich, żadnego powstawania i rozwoju gatunków w niej się nie widzi. Filitas podniesiony jedynie jako zbieracz gloss, Leonidas z Tarentu nazwany Euforionem epigramatycznym, Meleagros z Gadary ledwie wspomniany!

Z tem większem zadowoleniem czyta się peryod rzymski (30 przed Chr. do 300 po Chr.) raz dla znakomitego przedstawienia reakcyi attycystycznej, jej teoryi i praktyki; po drugie dla równorzędnego traktowania literatury chrześcijańskiej obok pogańskiej. Po raz pierwszy obok Filona z Aleksandryi staje Paweł z Tarsu (klasyk hellenizmu), obok romansu greckiego — Klementyny i historya Tekli, obok pism Hermetycznych — Apokalipsy i Hermas. W ustępie o zamieraniu (das Ausleben) literatury przesuwają się przed nami postacie blizkie Apostaty, więc Themistios, Himerios, Jamblich, Libanios, ale i trzej wielcy Kappadocyjczycy. Potężna postać Jana Chryzostoma zamyka literaturę grecką. Bo późniejsi to już Bizantyńcy.

Do czytania takiej książki zachęcać chyba nie potrzeba. Jeżeliby nawet jej lektura mogła poniekąd bałamucić »ucznia« przy okresie helleńskim i attyckim, to niechaj przynajmniej dalsze partye (nie obowiązujące przy egzaminach) stanowią źródło pouczenia się o literaturze greckiej w czasach hellenizmu i za cesarstwa rzymskiego. Bo innych tak dostępnych źródeł niema w ogóle. A w szczególności my Polacy jesteśmy skazani na kupowanie niemieckich podręczników. Własnych przecież zupełnie nie posiadamy! Kupujmyż więc towar najlepszy! A może kiedyś polski latynista, którego nieraz zestawiano z Wilamowitzem, zdecyduje się na wydanie swej historyi literatury

rzymskiej. Wtedy będziemy mieli własną książkę, godną porównania z tą niemiecką historyą literatury greckiej. Oby to wnet nastąpiło!

*Paryż.* *T. Sinko.*

Fr. Leo, Die römische Literatur des Altertums. (W zbiorowem dziele, wydawanem przez Hinneberga p. t. Die Kultur der Gegenwart. Bd. I, Teil 8 str. 313—373). Berlin und Leipzig 1903.

Aby tę oryginalną pracę należycie ocenić, wypada uwzględnić, że ona jest częścią w tytule oznaczonej zbiorowej całości i musiała być dostosowaną do celu, jaki wytknięto całemu dziełu, wydawanemu przez Hinneberga. Wydawca i współpracownicy wyszli z zapatrywania, że obecnie badania naukowe za nadto się rozstrzelają i w miarę rozrostu specyalnych gałęzi wiedzy za bardzo się od siebie odosabniają; że brak im węzła łączącego, którym jest pogląd na całość, a przecież tylko gruntowne opanowanie całości historycznego rozwoju ducha ludzkiego daje zdrową i wydatną podstawę do nowych zdobyczy duchowych w kierunkach specyalnych. A ponieważ niepodobna każdej naukowo pracującej jednostce opanować należycie drobne, szczegółowe a tak różnorodne i dzisiaj liczne gałęzie wiedzy, postanowiono stworzyć naukowo uzasadniony pogląd na główne objawy i kierunki rozwoju tych gałęzi, i do zestawienia tych poglądów specyalnych powołano zawodowe, poważne i wypróbowane siły współczesnych uczonych. Zadanie było trudne, bo wymagało nie tylko doborowych sił, nie tylko pewnego porozumienia się współuczestników co do zakresu i metody traktowania przedmiotu, ale nadto stosunkowego ograniczenia rozmiarów pojedynczych działów a wreszcie odrębnego talentu do przedstawienia jasnego i szerszym oświeconym warstwom przystępnego części w skład całości wchodzących.

Czy uda się w tej tak zakreślonej systematycznej encyklopedyi kultury osiągnąć wszystkie wyżej zaznaczone cele, czas pokaże, gdyż dotąd mała dopiero część dzieła wyszła z druku, ale już teraz można wydać sąd o tem, o ile te działy, które się dotąd ukazały, mają same w sobie wartość i odpowiadają celowi wydawnictwa.

Otóż, że referat Dra Leo o rozwoju literatury rzymskiej, który ma być przedmiotem niniejszego sprawozdania, jest gruntowny i stoi na wyżynie współczesnej krytyki, tego prawie stwierdzać nie potrzeba wobec tak znanego i wytrawnego autora. To też i sprawozdawca w Deutsche Literaturzeitung (r. 1905 Nr. 45 str. 2781) P. Wendland uznaje tę zaletę referatu Dra Leo, zaznaczając tylko drobne różnice swego zapatrywania w poglądzie na poemat Lukrecyusza i na elegię rzymską.

W całości przyznaje Dr. Leo literaturze rzymskiej więcej samodzielności i zalet, niż jej dotąd zwykle przyznawała krytyka. I można zgodzić się na to, że ten pogląd w licznych szczegółach jest słusznym i zgodnym z prawdą. Bronił też samodzielności rzymskiej wobec wpływów greckich już w starożytności Cyceron, np. w Tusc. disp. I, 1, 1 n. Z drugiej jednak strony świadczą krytycznie stwierdzone fakty, jak przejęcie alfabetu i liczne podania, sięgające w czasy królestwa, o odwiecznych wpływach greckiej kultury na rzymską.

Ani też Rzymianie nie wstydzili się tego, ani nie uwłacza im to wcale, że takim wpływom, czy to etruskim, czy to greckim, byli przystępni: owszem wielkość Rzymian, jak to widocznem i z ich stosunku do religij obcych, polega na tem, że z wszystkich dobrych przykładów umieli korzystać, że przeważnie przyswajali sobie to, co było dla nich pożytecznem; w tem też leżała jedna z ważnych przyczyn, że owładnęli tak wielki, jak nikt przed nimi, a przez tak różnorodne narody zamieszkały obszar ziemi. Mówimy, i to słusznie, o samodzielności Rzymian w zakresie sztuki wojskowej. A przecież dobrze wiadomo, ile w tym zakresie korzystali nie tylko z wynalazków greckich, ale i z urządzeń innych narodów w miarę potrzeby. Drugiem głównem niewątpliwie polem, na którem samodzielność rzymska się uwydatniła, jest umiejętność prawnicza. Ale jeżeli Dr. Leo chce w prawodawstwie rzymskiem widzieć zjawisko samodzielne w tem znaczeniu, że uważa historyczne podania o wpływie prawodawstwa attyckiego na prawa XII tablic wprost za baśnie, narzucone Rzymianom przez greckich uczonych (str. 3), to mojem zdaniem posuwa się za daleko. Za to łatwo godzimy się na zdanie autora, gdy przesadnie przez Drumanna i Mommsena potłoczonemu Cyceronowi przyznaje wiele samodzielności i zasługi, a oparłszy się na dziele Zielińskiego (Cicero im Wandel der Jahrhunderte), ocenia sprawiedliwie szeroki jego pogląd na kulturę i olbrzymi wpływ na potomnych. Obok Cycerona stoi w przedstawieniu Dra Leo wysoko Katullus jako liryk, dalej uzyskał niezwykle w naszych czasach pochlebne uznanie Horacy i Wergili, któremu przyznał autor nawet wobec Homera znaczną oryginalność. Z późniejszych pisarzów ceni Dr. Leo bardzo wysoko Tacyta a obok niego Petroniusa. Osobliwie charakterystyka Cycerona, Wergilego i Horacego jest oryginalną i godną czytania. Za to blado i skąpo, jak mniemam, wypadła charakterystyka talentu Owidyusza, Lukana i Stacyusza, osobliwie jego Sylw, nadto Marcyalisa; a z Juwenalem obszedł się autor nieco po macoszemu. Choćby na wzmiankę o Kornificyuszu, Korneliuszu Neposie, Warronie Atacyńskim, Licyniuszu Kalwie, Gracyuszu, Maniliuszu itp. nie pozwalały zapewne autorowi ciasne ramy planu zbiorowego dzieła Niema też wzmianki o charakterystycznych dla swych czasów przekładach Arata. Jeżeli dalej autor wiąże czasy młodości Augusta z początkami stylu retorycznego rzymskiego (str. 38), który do szczytu rozwoju doszedł w pismach młodszego Seniki, to dla uniknięcia nieporozumienia wypada dodać, iż Dr. Leo ma tu na myśli specyalnie styl retoryczny szkolny czyli zwyrodniały, bo piętno retoryczne w obszerniejszem znaczeniu czyli oratorskie mają na sobie już dawniejsze pomniki literatury rzymskiej. Sądzę nadto, że Dr. Leo niedostatecznie skreślił wpływ filozofii stoickiej począwszy od Scypiona Emiliana aż do II. wieku po n. Chr. P. na ducha Rzymian i ich literaturę, bo przecież ta filozofia była tłem, na którem w tym czasie powstały liczne utwory literackie i rozwijały się ówczesne poglądy republikańskie i wogóle polityczne, była też łącznią, która zbliżyła etyczne zapatrywania rzymskie do zasad szerzącego się chrześcijaństwa. Czy wreszcie zupełnie słusznie charakteryzuje autor archaistyczny kierunek literatury począwszy od II. stulecia po n. Chr. P. jako odwrócenie się od mowy ludowej (str. 54), możnaby wątpić wobec tego, że język Plauta, Enniusza i Katona był podobniejszym do współczesnej mowy ludowej, niż język klasycznych autorów,

a mowa ludowa zachowała pewne właściwości z okresu staroświeckiego aż w czasy upadku literatury.

Na jedno jeszcze zwracam uwagę. Dla człowieka nie tylko ogólnie wykształconego, ale i obeznanego z płodami literatury rzymskiej jest traktat Dra Leo nadzwyczaj pouczającym i płodnym w nowe poglądy, ale czy zdoła on tego, kto literatury rzymskiej nie zna wcale z pomników, pouczyć o jej duchu i wartości? Pod tym względem mam pewne wątpliwości. Kto chce dać nieobeznanemu poznać ducha pewnego autora, nie może ograniczać się do sądów oderwanych o nim, ale od czasu do czasu musi przejmować na siebie rolę wiernego tłómacza tego autora, musi mówić nieco jego językiem i jego stylem, tj. niejako cytować, przynajmniej w udatnych przekładach, i streszczać barwnie tegoż autora; inaczej czytelnika nieobeznanego z rzeczą nie tylko nie pouczy, ale nawet nie zajmie. Historya wiedzy da się przedstawić w ogólnych sądach i we własnych słowach, w historyi stylów literackich trzeba koniecznie, jeżeli rzecz ma być zrozumiałą, dać artystom stylu mówić ich własnym stylem. Gdyby traktat niniejszy objaśniał gruntowne i zwięzłe sądy o rzeczach takiemi streszczeniami i cytatami, odpowiadałby bez wątpienia lepiej wytkniętemu celowi, choćby nawet liczba autorów i dzieł ocenionych miała wskutek tego uledz jeszcze większemu ograniczeniu.

*Lwów.* *Br. Kruczkiewicz.*

Friedrich Leo, Die Originalität der römischen Literatur. (Festrede im Namen der Göttinger Universität zur akademischen Preisverteilung am 4. Juni 1904 gehalten von Fr. L.), Göttingen, Vandenhoeck u. Ruprecht, 1904, str. 18, 4o. — 40 fen.

Obok Vahlena, Buechelera i Woelfflina stoi młodszy od nich profesor z Gettyngi, Leo, w pierwszym rzędzie latynistów niemieckich. Postawiły go tam studya nad Plautem i Seneką (autorem tragedyi), poetami Augustowskimi i literaturą biograficzną, nad starożytnymi komentatorami i metrykami. Z Vahlenem i Buechelerem łączy go to podobieństwo, że i on zawsze *iungit cum Graecis Latina*; tem się zaś od nich różni, że, owiany duchem dawnego kolegi gettyngskiego, Wilamowitza, na większe zdobywa się książki i częściej dąży do syntezy, niż tamci autorzy drobnych przeważnie uwag i adwersariów.

Czytelnikom »Eosu« już przy sposobności referatu z dzieła Heinzego o epicznej technice Wergiliusza przedstawiłem w ogólnych zarysach reakcyę, która się obecnie dokonywa w Niemczech na polu oceny literatury rzymskiej. Reakcyą można jednak ten prąd nazwać tylko o tyle, że obaliwszy lekceważące literatów rzymskich komunały, schodzi się z sądami humanistów. Ale właściwie jest to nowy renesans literatury rzymskiej, rewizya sądów ujemnych i ustanowienie nowych, prawdziwych liczmanów. Ruchliwy i wrażliwy na wszelką nowość profesor gryfijski, W. Kroll, jeszcze przed czterema laty zebrał te liczmany w rozprawie: »Unsere Wertschätzung der römischen Dichtung (N. Jahrb. f. klass. Altert. VI (11), 1903). Ale że jego pełne temperamentu wywody mogłyby u starszych filologów budzić pewną nieufność,

jakoby zbyt hołdowały zasadzie: *tout nouveau tout beau*, streścimy złote słowa Fr. Leo, którego imię daje rękojmię wszelkiej przedmiotowości.

Nieśmiertelność dzieł sztuki polega na ciągłej ich produktywności w rozwoju cywilizacyi. Nieraz przerywa się ona na całe wieki, by potem z nową wybuchnąć siłą. Tak było z grecką plastyką, z Homerem, tak z Szekspirem. Działanie cywilizacyjne literatury rzymskiej objawiało się nieprzerwanie przez całe wieki średnie, których ostatnim wyrazem jest Dante. Petrarka i wszczęty przez niego ruch literacki wzmacnia je i rozwija. Odtąd Cycero i Wergiliusz są mistrzami i wzorami nowych wieków, póki Niemcy XVIII w. nie odkryją na nowo Homera, póki renesansu rzymskiego nie zluzuje grecki. Kto zapominał o różnicy czasów i ludzi i wprost Homera przeciwstawiał Wergilemu, Platona Cyceronowi, musiał być dla Rzymian niesprawiedliwym. A niesprawiedliwość ta rosła w miarę coraz to dokładniejszego odbudowania greckiej religii i państwowości, gramatyki i metryki, poezyi i filozofii. Studya nad nadobną literaturą rzymską ożywili dopiero Lachmann, Ritschl i Madvig, ale ożywili tylko interes dla jej formy. Jej treścią nikt się nie zajmował, wszak to wszystko z greckich było zaczerpnięte źródeł. Mommsen, obalając literacką wielkość Cycerona, utorował drogę do zbezczeszczenia całej literatury rzymskiej. Sąd, że jest ona niewolniczem naśladownictwem greckiej, przeszedł do podręczników, stał się komunałem.

Obalony posąg Cycerona wnet podniesiono. Nauczono się cenić człowieka, wnet poznano i wielkość literata. Zaczęto się dokładniej przypatrywać pracy Plauta, zastanawiać nad stosunkiem poetów augustowskich do ich czasów, zrozumiano wreszcie artyzm Wergilego. Leo może dziś bez paradoksu mówić o oryginalności literatury rzymskiej.

Właściwie istnieje w Europie tylko jedna literatura oryginalna: literatura grecka. Grecy tylko stworzyli i utrwalili żyjące do dziś dnia gatunki literackie. Z chwilą, gdy te były gotowe, i greccy literaci byli tylko następcami, by nie rzec naśladowcami, swych poprzedników. O oryginalności u nich stanowiła tylko osobistość. Takimi samymi następcami wielkich poetów greckich, jak ich późniejsi ziomkowie, są poeci, literaci rzymscy.

Z własnych zasobów gatunków literackich nie stworzyli. Ale kiedy kultura grecka napełniła Rzym i obudziła potrzebę literatury, oni nie zadowolnili się czytaniem po grecku, zapragnęli dzieł, pisanych po łacinie. W ten sposób oni pierwsi w Europie stworzyli sztukę tłómaczenia, sztukę przekładów i przeróbek. Italski plebejusz z dumą występuje jako *poeta barbarus*. Próby utrzymania wiersza saturnijskiego w formie, czynów rzymskich i życia rzymskiego w treści — na razie nie ostały się wobec wykształconego na greckich wzorach smaku literackiego. Poprzestano na przerabianiu (Nachmachen) greckich wzorów, póki się nie wzięto do ich naśladowania (Nachahmen). Proces ten skończył się przed wystąpieniem Lucyliusza. On zaczyna trzecią fazę literacką: kontynuacyę greckich gatunków na gruncie rzymskim (Nachfolgen). W tem następstwie okazali się Rzymianie większymi niż następcy klasycznych Greków w Aleksandryi. Z osobistościami Lucyliusza, Lukrecyusza, Katulla nie może się mierzyć żaden z Greków, urodzonych po 4. wieku. Cycero wlewa nowe życie w szkolną retorykę grecką i na podstawie bogatej praktyki, w której może się mierzyć z Demostenesem, stwarza najlepszy starożytny podręcznik wymowy w »*de oratore*«. On też jedyny z pośród na-

stępców Platona pisze dyalogi, przewyższające formalnie wszystkich greckich naśladowców ateńskiego filozofa.

Co Cycero dla prozy, to dla poezyi zrobili poeci augustowscy. Wergiliusz był Homerydą, jak nim był autor Hermana i Doroty. Ale mniej był zależny od Homera niż wszyscy greccy cyklicy i ich epigonowie. Jego narodowe epos rzymskie, wykonane w technice odmiennej niż Homerowa i aleksandryjska, było najpiękniejszym kwiatem, jaki ukazał się po przekwitnięciu starej epopei greckiej. W podobny sposób Horacy nawiązał wprost do liryki lezbijskiej i wypełnił jej formy treścią rzymską, ożywił je osobistością Rzymianina, w którym odbrzmiewały wszystkie tętna czasu. Tak ci dwaj poeci są godnymi piastunami największych tradycyi greckich. Elegicy kontynują mniejszą poezyę aleksandryjską, ale też ją przewyższają. Wielki i mały świat Rzymu odbija się w ich utworach nie mniej doskonale, jak np. dusza Goethego w »Rzymskich elegiach«. Goethego natchnął do nich Propercyusz, jak Propercyusza Kallimach i Filetas.

Nie wodociągiem więc była poezya rzymska, przeprowadzającym wodę grecką, ale żywem źródłem. Dante i Tasso, Milton i Pope, Corneille, Molière i Holberg czuli, że z żywymi wzorami obcują, nie ze sztucznemi mumiami. Bo tylko życie rodzi nowe życie.

Powiedzą może czytelnicy, że tego rodzaju pojmowanie i szacowanie rzymskiej poezyi dla nich nie nowe. Tem lepiej. Ludy romańskie nigdy inaczej nie zapatrywały się na poezyę rzymską, Anglicy zawsze jednakowo ją cenili. A u nas tylko ci, co z niemieckich podręczników czerpali swą wiedzę, powtarzali kalumnie antirzymskie. Na wiele lat przed ruchem niemieckim podobny do Leowego sąd o literaturze i poezyi rzymskiej wydał prof. K. Morawski w rozprawie p. t.: »Słowo i natchnienie w poezyi rzymskiej« (Przegląd Polski z r. 1884/5, kwart. 4), a jego uczeń, autor niniejszego referatu, starał się psychologicznie, na podstawie analizy samej twórczości poetyckiej, uzasadnić oryginalność poetów rzymskich w dwóch artykułach: »Ingenium et Ars« (Księga pamiątkowa Uczniów Uniw. Jagiell. Kraków 1900) i »Twórczość liryków rzymskich« (Przegląd Polski z Maja 1904).

*Kraków.* *T. Sinko.*

Drerup Engelbert, Die Anfänge der hellenischen Kultur. Homer. (Weltgeschichte in Karakterbildern hrgb. v. Dr. F. Kampers etc. I. Abteilung: Altertum). (Mit 105 Abbildungen). München. Kirchheim.

Lipsk i Monachium prześcigają się w popularyzowaniu wiedzy drogą wydawnictw przystępnych dla ludzi ze średniem wykształceniem. Ledwie jedna z firm nakładczych w Lipsku zainaugurowała z końcem roku 1901 szereg monografii historycznych, a już w rok potem monachijski nakładca Kirchheim poszedł w jej ślady i z większym jeszcze rozmachem stara się myśl lipskiej firmy zamienić w czyn. Historya starożytna i filologia klasyczna zawdzięczają nakładcy lipskiemu piękną i treściwą monografię O. Seecka »Der Kaiser Augustus«, pod niektórymi względami przewyższającą nawet dzieło Gardthausena: Augustus und seine Zeit, monachijskiemu zaś obok H. Schella:

Christus. Das Evangelium und seine geschichtliche Bedeutung i G. Hertlinga: Augustin. Der Untergang der antiken Kultur — piękną pracę Drerupa o Homerze, która dla swej zwięzłości i jasności zasługuje, by przed innemi wziąć ją do ręki. Czytelnik znajdzie tam zebrane rezultaty prawie wszystkiego, co dotąd o Homerze i epoce homerowej napisano, a do tego wiele rzeczy po raz pierwszy poruszonych lub z innego stanowiska pojętych. Całość, 290 kolumn zwyczajnej ósemki obejmująca i licznemi rycinami poprzeplatana, podzielona jest na trzy rozdziały o trzech lub czterech poddziałach. W rozdziale pierwszym autor zajmuje się wyłącznie kwestyą kompozycyi, w trzecim różnicą, która zachodzi między Iliadą i Odysseą a między nie jakby klinem wsuwa obszerny traktat o kulturze mykeńskiej. W krótkiem przedstawieniu historyi krytyki i egzegezy Homera autor wskazuje na doniosłość krytyki aleksandryjskiej, od której między innemi pochodzi podział na 24 pieśni, przez Codex Venetus poświadczony. Tekst jednak taki, jaki dzisiaj posiadamy, nie doznał zmian ze strony Aleksandryjczyków, jak widać z papyrusów egipskich. Z nowych badaczy wskazuje Dr. na znaczenie Anglików, a zwłaszcza Bentleya, i Niemców: Wolfa, Lachmanna i Nitzscha. Nie ograniczając się do przypomnienia ich teoryj, poddaje je krytyce i wykazuje ich braki, z których największym jest nieznajomość rozwoju poezyi ludowej. Od Steinthala i jego rozprawy: »Das Epos« (Zeitschrift für Völkerpsychologie u. Sprachwiss. V. 1868. pg. 1—57) studya nad Homerem wchodzą w inną fazę, porównawczą. Ale nie Steinthal ani potem Erhardt ani Pöhlmann nie doszli na tej drodze do zadowalających rezultatów: tamci dlatego, że nie znali najnowszych badań nad poezyą ludową fińską i słowiańską, Pöhlmann dlatego, że tylko niektóre najbardziej charakterystyczne rysy tej poezyi porównywał z pieśniami Homera, że tylko formalny rozwój epiki śledził, a treści, jej zmianom i modyfikacyom mało poświęcił uwagi. Drerup stara się uzupełnić braki poprzedników i gdyby nie musiał się liczyć z objętością książki, przedstawiłby w najdrobniejszych szczegółach kompozycyę Nibelungów, Orlanda i pieśni skandynawskich. Utwory te jako lepiej znane traktuje pobieżnie, za to szczegółowo rozbiera podania ludowe i pieśni Finów i Estów, Serbów, Kroatów i Bułgarów, rosyjskie byliny i podanie tureckich szczepów Kara-Kirgizów i Tatarów. Wielką rolę w tworzeniu się tych podań i pieśni odgrywała najpierw fantazya i improwizacya ludu a potem aojdów. Na podstawie tych podań i poezyi ludów obcych rozwija Dr. teoryę powstania epopei greckiej. Jak te pieśni w różnych okolicach różną wykazywały objętość i treść, a przez wędrownych śpiewaków często doznawały zmian, tak i podania i pieśni greckie, wędrując z okolicy w okolicę, rozszerzały się i zmieniały stosownie do pojęć i stosunków miejscowych i powoli zaczęły łączyć się w całość organiczną, aż się wreszcie złożyły na epopeję narodową. Taka jest treść części pierwszej, z której dalsze konsekwencye dla Iliady i Odyssei znajdujemy jeszcze w części trzeciej.

Punktem wyjścia dla Drerupa odnośnie do jedności obu epopei jest język, w którym eolizmom przyznaje bardzo znaczny zakres. Na podstawie języka stwierdza dalej rozszerzanie się podań greckich z Tessalii i Beocyi ku Peloponezowi, gdzie ostatecznie dokonuje się apoteoza bohaterów pieśni. Ale język Iliady jest odmiennym od języka Odyssei, a różnica wskazuje na oddalenie obu przynajmniej o półtora wieku. Ale gdy Iliada skonsolidowała się z podań wśród plemion na kontynencie Grecyi osiadłych, Odyssea ma

wybitne piętno wyspiarskie; początków jej należy szukać na Krecie. — Obie epopeje nadto różnią się wybitnie charakterem, bo gdy Iliada ma charakter bohaterski, Odyssea zbliża się do baśni.

Niepodobna przytaczać wszystkich przez autora poruszonych szczegółów, obfitość ich wielka, ale wskutek ograniczonego miejsca nie są traktowane szerzej, ani należycie poparte dowodami. — W rozdziale drugim autor przedstawił dobrze doniosłość wykopalisk na wzgórzu Hissarlik, w Mykene i Orchomenos, w Knosos, Phaistos i Gortynie. Zadanie to ułatwiła mu okoliczność, że sam wszystko widział i sumiennie zbadał. Wobec tego mógł też wyrobić sobie własny sąd o kulturze tych odległych czasów. Mówi dalej Dr. o stosunkach społecznych i politycznych, pojęciach religijnych i prawnych, o wpływie kultury wschodniej na rozwój stosunków greckich. Przytem umiał przedstawić krótko rzeczy najważniejsze, a nie przeładowując rzeczy cytatami, lekturę uczynił przyjemną. W hipotezach nie posuwa się nigdy za daleko, lecz zatrzymuje się na granicy, poza którą rzecz traci cechy prawdopodobieństwa. O rzeczach mniej pewnych woli wcale nie wspominać, niż gubić się w próbach ich rozwikłania. Słabszą stroną może się wydać opracowanie kwestyi homerowej i czasu powstania obu epopei, autor bowiem za mało tu przytacza dowodów na poparcie swego zdania. Na to jednak wpłynął cel pracy i przeznaczenie jej dla ogółu wykształconych a nie filologów specyalnie. Język jest potoczysty. Słowem książka zasługuje, by poznał się z nią każdy, kto w gimnazyum uczy filologii.

*Rzeszów.* *Fr. Nagórzański.*

R. H. Woltjer, De Platone praesocraticorum philosophorum existimatore et iudice, Lugduni Batavorum 1904.

Rzecz niebywała! Dysertacya doktorska na 206 stronicach, przyczem z rozkładu na str. 124 i nast. dowiadujemy się, że część druga, z której zaledwie drobną poznaliśmy cząstkę (str. 129 i nast.), składać się będzie w zamierzonem na wielką skalę dziele z 9 rozdziałów! Przedmiot jednak ciekawie i potoczystą łaciną opracowany, pomimo rozwlekłości, do której nas niemieckie rozprawy doktorskie nie przyzwyczaiły, istotnie wart bliższego poznania.

Autor położył sobie za cel zbadanie, co sądził Platon o swoich poprzednikach na polu filozofii. Okazuje się, że początek filozofii wywodzi Platon od οἱ παλαιοί (Fileb. 16 D), t. j. orfików, w przeciwieństwie do οἱ νῦν ἀνθρώπων σοφοί (tamże E), przez których rozumie Eleatów. Przeciw Dielsowi, który zgodnie z Zellerem odłącza orfików od filozofów, a za Gomperzem, Ed. Meyerem i Gruppem Woltjer uznaje doniosłe oddziaływanie orfiki na powstanie i rozwój filozofii greckiej. Zwłaszcza za tym ostatnim powtarza autor ze słusznym naciskiem, iż na długo przed narodzinami eposu powstały w Grecyi mistyczne doktryny, które w osłonie mitów najwyższą zawarły mądrość, później uczoną po misteryach i przedstawianą dogmatycznie. Na ogół filozofowie przed Arystotelesem bynajmniej nie stronili od mitów, stąd filozofia aż do Platona włącznie posiada charakter mityczny i poetyczny.

Żadnych hymnów ni dzieł, przypisywanych Orfeuszowi, Platon nie znał, znał tylko ludowe o nim podanie i o czarownej mocy jego muzyki. To przypuszczenie, jakoby Platon nie znał żadnego orfickiego utworu, wydaje się nieprawdopodobnem wobec badań Gruppego, który przypuszcza u Platona znajomość starszej orfickiej, w przeciwstawieniu do rapsodycznej teogonii. Bogowie tej teogonii orfickiej nie byli ludowymi bogami, ludową była ich genealogia u Homera jakoteż u Hezyoda. Nie sądzę, by tak ściśle odróżniał Platon mityczną osobę Orfeusza od doktryn i misteryów orfickich, jak to Woltjer czyni. Wpływ orfiki na Platona był znacznie mniejszym, niż autor mniema; nie trzeba tylko szlakiem utartym orfiki mieszać z pitagoreizmem, wbrew której ten u Platona stanowczo przeważa.

*Lwów.* *St. Schneider.*

W. H. Roscher, Die Sieben- und Neunzahl im Kultus und Mythus der Griechen (Abhandl. d. philol.-hist. Kl. d. königl. sächsischen Gesellsch. d. Wissensch. XXIV. B. Nr. 1). Leipzig 1904.

Są to przyczynki znakomite do dzieła tegoż autora p. t. Enneadische und hebdomadische Fristen und Wochen, wydanego w rozprawach tego samego towarzystwa (t. XXI. Nr. 4). Z niezwykłą skrupulatnością i erudycyą przechodzi znany autor nasamprzód znaczenie siódemki w kulcie i micie Apollinowym, następnie w kulcie i micie innych bogów oraz herosów. To samo czyni kolejno z liczbą 9. Która z tych liczb jest starszą, może być rzeczą wątpliwą; to jednak pewna, że liczba 9 nie tylko u Greków, lecz i u Indów, Persów tudzież najstarszych Rzymian stoi w stosunku do bóstw chtonicznych, zwłaszcza Eumenid, przytem do kultu zmarłych i lustracyjnych obrzędów.

Do najważniejszych wyników tej żmudnej pracy należy, że święta liczba 7 pojawia się przedewszystkiem w kultach Apollina i Dyonizosa, szczególnie zaś w tych kultach i mitach, które pochodzą z dziedziny kultu beocko-eubejskiej. Jak u Indów, Persów, Germanów, Chińczyków, Mongołów i t. d., podobnie u Greków pojawiają się obok hebdomadycznych okresów oraz tygodni także enneadyczne i odgrywają w greckim kulcie i micie pewną rolę. Enneadyczne okresy o wiele przeważają w epickiej poezyi Greków, natomiast w ich religii okresy hebdomadyczne z zastosowaniem liczby 7 są znacznie częstsze. Stąd wniosek: prastare hebdomadyczne okresy zostały po większej części wyparte we wieku heroicznego eposu przez enneadyczne. W przeciwieństwie do innych ludów grupy 9 bóstw i herosów w kulcie i micie Greków są nader rzadkie, tymczasem bardzo liczne są grupy z siedmiu.

Równocześnie z Roscherem i opierając się na dawniejszej jego rozprawie, wykazał całkiem tę samą walkę między enneadyczną a hebdomadyczną zasadą u starożytnych Celtów francuski celtolog J. Loth. Ale gdy Roscher poprzestaje na analogii i utrzymuje, że siedmiodniowy okres u Celtów mógł być tak samo prastarym i pierwotnym, t. zn. czystoceltyckim, jak był oryginalnym u Greków, Loth religijne znaczenie świętej siódemki odnosi do babilońskich wpływów. Nic nie pomoże, że Roscher żadnych śladów nie zna-

lazł oddziaływania babilońskiego w najstarszych czasach na Greków, wszakże sam przyznał pod koniec znamienitej rozprawy, zgodnie z dzisiejszem wywodzeniem liczbowej mistyki i spekulacyi Pitagorejczyków z doktryny babilońskiej, że taż nauka o liczbach pitagorejska »nicht eines der ersten, sondern vielmehr eines der letzten Glieder einer langen Entwicklung bedeutet und wenigstens zum grossen Teil auf uralten Volksanschauungen beruht« (str. 74).

*Lwów.* *St. Schneider.*

Ernst Kornemann, Kaiser Hadrian und der letzte grosse Historiker von Rom. Eine quellenkritische Vorarbeit. Leipzig (Theodor Weicher) 1905.

Jeśli dalsze badania potwierdzą przypuszczenie Kornemanna, szereg historyków rzymskich powiększyłby się o jedno wybitne nazwisko, godne stanąć blizko Tacyta. Lollius Urbicus za Aleksandra Sewera miałby być tą samą gwiazdą, a dzieje przez niego spisane, począwszy od r. 117 po Chr. (historia sui temporis), nosiłyby na sobie piętno rzeczowego przedstawienia o podkładzie annalistycznym, z wyraźną dążnością do psychologicznego oświetlenia osób. Jakkolwiek syn senatora i prefekta Rzymu, jako pisarz nie stanął na wyłącznem stanowisku senatorskiem i nie zniżył się do stronniczego oceniania panujących, z wyjątkiem tak marnych cezarów, jak Kommodus i Elagabal Dźwigniami rządu są dla niego prócz głowy państwa jeszcze lud i senat, chociaż dyarchię istotnie usunięto już z początkiem 2-go wieku, a zwłaszcza dynastya Sewerów ujęła władzę w despotyczną dłoń militarną. Ani dla Septimiusa Sewera, ani dla Hadryana, który pierwszy wprowadził rządy absolutne z pominięciem senatu, nie znajdujemy tu słów nieprzychylnych. Przeciwnie – o cezarach afrykańskiego pochodzenia wyraża się Lollius z wyrozumiałością i widoczną sympatyą, a Hadryana bierze w obronę wobec ujemnej i złośliwej tradycyi, bo z Afryki miała pochodzić rodzina historyka z wioski Tiddis niedaleko Cyrty, a ojciec jego doszedł do najwyższych godności w Rzymie dzięki Hadryanowi.

Hadryana nienawidził senat z całej duszy, głównie pod wrażeniem krwawych ciosów, jakich mu nie oszczędzał cesarz pod koniec swego życia. To też tylko za wpływem Antoninusa wstrzymał się senat od przeprowadzenia damnatio memoriae zmarłego władcy, nie dał się jednak odwieść od wykrzywienia i zatarcia jego rysów w portrecie literackim, dokonanym na życzenie i po myśli upokorzonego »zgromadzenia królów«. Tak sporządzony obraz skopiował Marius Maximus. Inną drogą poszedł Lollius. Zmysł poważnego historyka i losy familii skłoniły go do szlachetnej reakcyi, a wielką pomocą była mu autobiografia Hadryana, którą wyzyskał i uwzględnił w daleko większych rozmiarach, niż jego współzawodnicy. Sama autobiografia zaginęła, ale przez to właśnie pośrednictwo możemy mieć dzisiaj o niej lepsze pojęcie, z drugiej strony powaga Lolliusa pokazuje nam niepospolitą postać Hadryana w jaśniejszem i prawdziwszem świetle. Te źródła biograficzne nie przechowały się jako samoistne, odrębne dokumenty, trzeba je tylko rekonstruować z materyału, który zlepił w całość Spartianus w biografii Hadryana, umieszczone-

w zbiorowem dziele p. t. Scriptores Historiae Augustae. Kornemann dokładniej od innych badaczy oddziela wiadomości rzeczowe i poważne zapatrywania od balastu natury anekdotycznej i retorycznej, a nawet od najoczywistszych zmyśleń późniejszych.

Jeżeli więc czytamy, że sofista Favorinus, kiedy mu Hadryan zganił użycie jakiegoś wyrazu, uznał krytykę za słuszną, bo kto ma 30 legionów, musi mieć racyę i na polu naukowem, trzeba przyjąć, że zręczna odpowiedź przypomina bardzo słowa Polliona w odniesieniu do Cezara: at ego taceo, non enim facile in eum scribere, qui potest proscribere (Macrob. Sat. 2, 4), i dlatego wraz z sytuacyą robi wrażenie fikcyi, odgrzewanego dowcipu. Jak dalece sięga bezmyślna robota kompilatorów lub wprost przeciw Hadryanowi zwrócona ręka, wskazuje osławiony rozdział 14-ty, gdzie Spartianus upatruje w cesarzu największe sprzeczności, mieniąc go na przemiany srogim i łagodnym, oszczędnym i rozrzutnym, skromnym i zarozumiałym, przyjacielem uczonych i ich dręczycielem, gdzieindziej znowu wstrzemięźliwym a obok tego nienasyconym smakoszem. Schanz nazwał tę charakterystykę wyborną, inni zaś sądzili, że słowa »semper in omnibus varius« są kapitulacyą biografa wobec zawiłego zjawiska psychologicznego, jakiem był Hadryan. Zarówno z treści, jak i z języka wnosi słusznie Kornemann (str. 60), że powyższy ustęp należy do najgorszych w całej biografii, że to stek niedorzecznych i efektownych szczegółów, najniższy gatunek wrogiego źródła i wymysłu.

A jednak posunęlibyśmy się za daleko w apologii Hadryana, gdybyśmy na tej podstawie chcieli usuwać cienie i nierówności z jego życia duchowego. Podobne wygładzanie wizerunku nie liczyłoby się z charakterem epoki, nie bardzo sprzyjającej wyrobieniu się jednolitych charakterów, nie uwzględniałoby faktu, że znakomity administrator i wykształcony strategik, działający na widowni publicznej z energią i stałą gorliwością, miał nierzymskie porywy romantyzmu, wszechstronnie rozbudzoną ciekawość i pewną miękkość humanitarności. Niedawno ogłosił Wilcken list Hadryana w przekładzie greckim (Hermes 1902), w którym najwyraźniej zaznacza się sprzeczność cesarza, kiedy to samo rozporządzenie poprzedników nazwał raz οὐ σκληρόν, a nieco dalej τὸ αὐστηρότερον ὑπὸ τῶν πρὸ ἐμοῦ αὐτοκρατόρων σταθέν. Nie zapominajmy i o tem, że Hadryan w pierwszych latach rządów nie czuł się zupełnie pewnym na tronie, który prawdopodobnie dostał mu się w udziele raczej przez względy i zabiegi Plotiny, niż z woli Trajana i legalnego aktu adopcyi. A sam Hadryan nie zamilcza w autobiografii i tego ważnego objawu, że wojsko nie sprzyjało mu bynajmniej w latach młodości. Nie byłoby więc zupełnie rzeczą dziwną, gdyby pierwsze kroki władcy w tych warunkach na szczyt godności wyniesionego były chwiejne, albo nawet czasem między sobą sprzeczne. Wreszcie — audiatur et altera pars. Cesarz miał być zmienny, kapryśny w stosunkach z całą plejadą artystów, retorów i innych mniej lub więcej uczonych dworzan, nieraz posuwać się miał do obelg i inwektyw. Ale zechcijmy sobie uprzytomnić, że w tych głowach satellitów cesarskich, pochodzących przeważnie ze Wschodu, było co prawda nieco światła, za to częstokroć bardzo wiele pychy, arogancyi, niewątpliwie mnóstwo śmieszności. Kto sobie przypomni choćby cząstkę epizodów z życia ówczesnych retorów-sofistów, np. owo przyjęcie, jakiego doznał Antoninus Pius w Smyrnie w domu Polemona, nie bę-

dzie się dziwił, jeżeli natura bądź co bądź wszechstronnie oświeconego autokraty mniej grzecznie na podobne grzeczności odpowiadała. Wespazyan lub Trajan byłby wielu tych pyszałków krótką drogą odprawił poza rogatki miasta.

Analiza źródeł, której próbę podał nam Kornemann w przytoczonej pracy, ułatwi rozpatrzenie się w materyale pomocniczym, umożliwi przedewszystkiem odłączenie ziarna od plewy. Krytyk niemiecki, patrzący na Hadryana ze stanowiska historyka, uważa monografię o tym cesarzu i jego epoce za jedno z najkonieczniejszych zadań nauki. Niestety musiało ujść jego wiadomości, że nasza polska literatura posiada od lat 12-tu studyum w tym duchu pojęte i oparte na szerokiem tle ówczesnych prądów.

*Kraków.* *A. Miodoński.*

Hammer Severinus, Contumeliae, quae in Ciceronis invectivis et epistulis occurrunt, quatenus Plautinum redoleant sermonem. (Seorsum impressum e Tomo XLI. Diss. philol. class. Acad. litter. Cracov.), Kraków, Spółka wydawnicza, 1905, str. 42, lex 8o.— 1 korona.

Dużo pracy leży w tej pilnej rozprawie, która wyszła z krakowskiego seminaryum filologicznego. Autor nie poprzestał na zebraniu obelg z inwektyw i listów Cycerona, nie tylko porównał je z odpowiednikami Plauta, ale uwzględnił też Lucyliusza, Katulla, Horacego i Marcyalisa, zajrzał do fragmentów rzymskich mowców, a co najważniejsza, przytoczył wszędzie równoległe blasfemie greckie. Przez to praca jego otrzymała szerokie tło kulturalne, interesujące dla tego, który na podstawie obelg chciałby snuć wnioski o psychologii całego ludu. Bo kto choć trochę wszedł między uliczne typy obcych szczepów i pozwolił uszy swe obrazić ich wyzwiskami i przekleństwami, ten wie, jak doskonałą one stanowią charakterystykę duszy zbiorowej. Choć do takich wniosków psychologicznych autor większym rozporządza materyałem, niż G. Hoffmann w swym leksykonie obelg greckich i rzymskich (Schimpfwörter der Griechen u. Römer, Berlin 1892), nie poświęcił im ani trochę uwagi, a zadowolnił się leksykograficznem zestawieniem materyału.

Tytuł rozprawy jest poniekąd usprawiedliwiony obfitem przytaczaniem parallel Plautyńskich. Ale w błądby wprowadził tego, ktoby sądził, że Cycero »czerpał« swoje obelgi z Plauta. I oni obaj i wszyscy inni kalumniatorzy rzymscy kropili wodą, czy czemś mniej czystem, co zaczerpnęli ze wspólnych studni czy kałuż publicznych. O literaturze przy tych obelgach mowy być nie może. To dopiero Bizantyńczyk XI. w., Michał Psellos, zestawia sobie z komików attyckich i leksyków blasfemicznych obelgi, któremi zasypuje biednego Sabaitę. Gdyby ten był niewykształconym chłopem, ani setnej częściby ich nie rozumiał. Ale Cycero stał na rynku wśród żywych i z żywych ust czerpał.

Pominąwszy niepotrzebny, a nadto niewystarczający i nie dobrze objaśniony ustęp o — karesach Cycerona (autor powinien był zajrzeć do ładnej książki O. E. Schmidta o rodzinnem pożyciu Cycerona, o jego listach do żony), rozkład obfitego materyału tak się przedstawia, że autor mówi naprzód

o abstraktach, użytych jako obelgi np. portentum, prodigium, pestis, pernicies, furia, labes, calamitas, potem o takich konkretach, jak caenum, lutum, faex, sentina i t. p.; potem zestawia rzeczownikowe obelgi na żarłoków, pijaków; dalej przytacza takie (liczne u Plauta) obelgi, jak furcifer, carnifex, verber i inne, wzięte ze sfer niewolniczych; zastanawia się nad pospolitemi wyzwiskami jak scurra, histrio; przedkłada polityczne blasfemie w rodzaju parricida, hostis patriae; przechodzi porównania ludzi ze zwierzętami; zatrzymuje się (znów zbyt pobieżnie, nie uwzględniając literatury o humorze, dowcipie Cycerona i jego grze słów) przy przekręcaniu imion i tworzeniu z nich obelg; wspomina o piętnowaniu powierzchowności przeciwników, ułomności ich fizycznych i błędów toaletowych; napomyka o obelżywem użyciu nazw rzemieślników i t. p.; wreszcie podaje krótką listę przymiotników, którymi Cycero piętnuje moralną nicość swych adwersarzy.

Czysto leksykograficzne traktowanie przedmiotu pociąga za sobą niejednokrotne przytaczanie takich miejsc, w których nie mamy do czynienia z obelgami, ale z prostem skonstatowaniem faktu. Ale to bynajmniej nie obniża wartości zbiorów, bardzo przydatnych dla każdego komentatora miejsc, w których się obelgi znachodzą. A filologiczna akribia, wielka pilność i niezła łacina w uwagach wstępnych i tych, które łączą listy obelg, każą z radością powitać młodego autora w szeregu nielicznych pracowników polskich na polu filologii klasycznej.

*Kraków.* *T. Sinko.*

---

## Przegląd rozpraw z zakresu filologii klasycznej, umieszczonych w sprawozdaniach galic. szkół średnich za r. 1904/5.

1) Eckhardt Zenon, Arystotelesa »O poetyce«, przełożył z greckiego... Sprawozdanie Dyrekcyi c. k. Gimnazyum w Samborze za rok szkolny 1905. W Samborze. Nakładem funduszu naukowego. 1905. Str. 30.

W krótkim przeciągu czasu mamy zatem już drugie tłómaczenie poetyki Arystotelesa w sprawozdaniu gimnazyalnem. Pierwsze Stanisława Siedleckiego wyszło w sprawozdaniu dyrektora c. k. gimnazyum św. Anny w Krakowie za r. szk. 1887. Porównanie obu tych tłómaczeń, które już wynika z obowiązku sprawozdawcy, wypadnie na korzyść nowszego. Kiedy bowiem St. Siedlecki, przywiązując niepotrzebnie wielką wagę do rzeczy, mojem zdaniem mniej ważnych, zewnętrznych, stara się niewolniczo zatrzymać wszystkie właściwości stylu Arystotelesa a nawet języka greckiego, to przeciwnie Eckhardt usiłuje przedewszystkiem ująć myśl istotną Arystotelesa a co do sposobu oddania jej po polsku szuka wzorów w rozprawach naukowych polskich, nie krępując się ani językiem greckim ani stylem Arystotelesa. Pozatem jednak tłómaczenie Eckhardta nie jest wolne, jak większa część tłómaczeń niemieckich i francuskich, od wad i braków, których głównem źródłem jest niedostateczna znajomość filozofii Arystotelesa. Jest bowiem cały szereg wyrazów, znanych zresztą z stylu historycznego i retorycznego, jak ποιεῖν,

πράττειν, πάσχειν z pochodnymi ποίησις ποίημα, ποιητής, ποιητικός, πρᾶξις, πρακτικός; πάθος, πάθημα, dalej ἦθος, τέχνη, μῦθος, κάθαρσις, διάνοια i t. d., które w filozofii Arystotelesa mają funkcyę wyrazów technicznych na oznaczenie pewnych pojęć o ściśle określonym zakresie i treści. A ponieważ Poetyka jest ostatniem ogniwem w łańcuchu, którego pierwszem ogniwem są Kategorye, i jakby ostatnim rozdziałem w systemie filozoficznym Arystotelesa, przeto jasną jest rzeczą, że chcąc ją zrozumieć, trzeba koniecznie poznać pierwej poprzedzające rozdziały i książki tego systemu. Ponieważ jednak tłómacze Poetyki ulegają temu złudzeniu, że mogą poetykę i bez tego zrozumieć, stąd mamy dużo przekładów Poetyki, które nie dają nam jasnego poglądu na treść tejże. Dla udowodnienia tego wybieram jeden szczegół. Arystoteles wymienia między częściami tragedyi kwalitatywnemi następujące trzy: μῦθος, ἦθος, διάνοια, a więc akcyę, charakter i rozum, które są przedmiotem twórczości poetycznej. W nowożytnych estetykach poezyi zdaje się pod wpływem poetyki Horacego »rozum« rozpłynął się w charakterze osób działających, stąd tłómacze, nierozumiejąc tego wyrazu technicznego, nie mogą sobie z nim dać rady. Niemieccy tłómacze oddają to pojęcie na 16 sposobów. P. Eckhardt idzie w ślady niemieckich tłómaczów; w dedukcyi części kwalitatywnych z definicyi tragedyi (rozdz. 6) tłómaczy διάνοια przez »rozum«, ale o parę wierszy dalej pisze tak: »Musi więc tragedya mieć sześć części składowych, które są znamionami tragedyi. Te są: fabuła, charaktery, mowa, refleksya, scenerya i muzykalna kompozycya«. Tu więc już używa zamiast »rozumu« wyrazu bardzo mglistego i niejasnego »refleksya« i tak aż do rozdz. 24, gdzie zamiast tego pojawia się znowu »tok myśli«. Rozdział 19. czyta się w tłómaczeniu autora gładko, ale niestety nie daje zupełnie wyobrażenia o tem, co zawiera tekst Arystotelesa, który określa tu krótko stosunek wzajemny części kwalitatywnych λέξις, διάνοια i μῦθος t. j. mowy, rozumu i akcyi, odsyłając czytelnika po szczegóły co do rozumu praktycznego do Retoryki.

Ustęp o »rodzajach« tragedyi tłómaczy autor tak (rozdz. 18): »Cztery są rodzaje tragedyi, podobnie jak przyjęliśmy cztery rodzaje fabuły: pojedyncza, zawikłana, w której wszystko zależy od zmiany losu i rozpoznania, patetyczna (wstrząsająca), jak tragedye o Ajasie i Iksyonie, i tragedya charakterów, jak Fthiotidy i Peleus. Szczególnym rodzajem jest tragedya cudowna, jak n. p. Forkidy (córki Forkisa), Prometeus i inne, rozgrywające się w Hadesie«. Otóż tu autor, wprowadzając do tekstu aż trzy konjektury, uwikłał Arystotelesa i siebie w rażące sprzeczności. Naprzód τὰ μέρη <τοῦ μύθου> (Ueberweg) »cztery rodzaje fabuły« są w sprzeczności z rozdziałem 11, gdzie A wymienia tylko trzy części akcyi: περιπέτεια, ἀναγνώρισις i πάθος. Następnie mówi o czterech rodzajach tragedyi a wylicza ich pięć: pojedyncza, zawikłana, patetyczna, tragedya charakterów i »cudowną«. Tragedyi pojedynczej (raczej »prostej«), ἡ μὲν ἁπλῆ (Dacier-Vahlen), nie było, nie ma i nie będzie. Wprawdzie w roz. 24 Arystoteles mówi, że »epos musi mieć takie same rodzaje, jak tragedya; musi być albo proste, albo zawikłane, albo etyczne albo patetyczne«, skądby wynikało, że przecież i tragedya »prosta« być musi, ale o parę wierszy niżej czytamy, że »z obu poematów Homera Iliada jest prostą i patetyczną, a Odyssea zawikłaną i etyczną», a że nazwa bierze się a parte potiore, więc

i Iliady nie nazwiemy »prostą«, lecz »patetyczną«. Któryż zresztą poeta odważyłby się wystąpić w zawody z tragedyą prostą, któraby równocześnie nie była ani patetyczną, ani etyczną ani fantastyczną? Powód do tej konjektury był ten, że do końca XIX. wieku wydawcy nie mogli odczytać nazwy czwartego rodzaju tragedyi, która w rękopisie paryskim Ac brzmiała tak: τὸ δὲ τέταρτον ὁ η ς, z czego Schrader-Vahlen zrobili: τὸ δὲ τερατῶδες »tragedya cudowna«, i wiele innych konjektur niemożliwych do przyjęcia. Dopiero J. Bywater (Aristotelis de arte poetica liber. Oxonii 1897) odczytał i tę łamigłówkę: τὸ δὲ τέταρτον ὄψις (por. 1458 a 5, gdzie ten sam znak odczytał już Victorius jako ὄψ t. j. ΟΠΣ). Są to zatem tragedye takie, w których lwia część zadania przypada do spełnienia dekoratorowi i maszyniście (ὁ σκευοποιός). Arystoteles jako przykład przytacza Prometeusa Aischilosa, w której to tragedyi Prometeus wśród grzmotów i trzęsienia ziemi zapada się w podziemie, i nieznaną tragedyę p. t. Córki Forkisa (owe staruszki, które wszystkie razem miały tylko jedno oko), i wszystkie, których akcya odbywa się w Hadesie (καὶ ὅσα ἐν Ἅιδου). Z najnowszych możnaby tu przytoczyć Dzwon zatopiony G. Hauptmanna i Zaczarowane Koło L. Rydla. Jako nazwę dla tego rodzaju proponowałbym dlatego: tragedya »fantastyczna«.

Z mniejszych usterek wymieniam następujące. W r. 2 pisze autor: »przeto poeci są albo lepsi od nas, albo gorsi, albo tacy sami«. Arystoteles pisze: ἤτοι βελτίονας ἢ καθ' ἡμᾶς ἢ χείρονας ἢ καὶ τοιούτους (sc. μιμοῦνται οἱ ποιηταί) to znaczy: »poeci przedstawiają ludzi albo lepszych od nas, albo gorszych, albo takich samych« i w ten sposób rozróżnia znane trzy kierunki w poezyi: idealizm, pessymizm (w najnowszych czasach »dekadentyzm«) i realizm.

W definicyi tragedyi (r. 6), »a to w tym celu, aby przez uczucie bojaźni i litości sprowadzić błogie oswobodzenie od tego rodzaju wzruszeń umysłu«, wyrazu »błogie« niema w tekście Arystotelesa. Tamże na końcu σκευοποιός nie znaczy reżyser, lecz dekorator i maszynista; reżyser, którym był sam poeta, nazywał się διδάσκαλος.

Μῦθος jako część kwalitatywną tragedyi nazywa autor stale »fabułą«. Mojem zdaniem, — skoro już mamy »aktorów« i »akty«, wolałbym nazywać ją utartym wyrazem, nie obcym zresztą autorowi: »akcyą«. Wogóle zauważyć muszę pewien brak staranności w doborze wyrazów, jak n. p. scenerya (ὄψις) zam. przedstawienie sceniczne lub pojedynczy (ἁπλοῦς) zam. prosty w przeciwstawieniu do akcyi zawikłanej; nie rozróżnia autor ściśle pojęć μετάβασις, μεταβολή a περιπέτεια. W końcu jeszcze jedna uwaga. Pierwszy raz w życiu mam przed sobą przekład poetyki Arystotelesa tak zupełnie »nagi«, bez wstępu, bez żadnego komentarza, bez dodatku. Kto wie, ile rzeczy w takim przekładzie musi pozostać niejasnych, ile wątpliwych, gdzie czyta się na pewno myśli Arystotelesa, a gdzie może pomysły (nie zawsze szczęśliwe) nowszych wydawców i komentatorów, ten przyznać musi, że brak tych rzeczy dotkliwą ujmę przynosi dobremu zresztą przekładowi autora.

*Lwów.* *W. Wróbel.*

2) Dorożyński A., Quae fuerit Romae Ciceronis temporibus ludorum scaenicorum condicio. W sprawozdaniu Dyrekcyi c. k. gimnazyum I. za rok szk. 1904/5. Przemyśl 1905. str. 24, 8°.

Gdyby kto dziś przedrukował odczyt profesora filologii klasycznej na uniwersytecie warszawskim, Jana Wolframa, p. t. O widowiskach publicznych w starożytnym Rzymie (Warszawa 1869), lub jego wstęp do przekładu czterech komedyi Plauta (O dramacie rzymskim. O teatrze w Rzymie. O aktorach w Rzymie) wydanego w Poznaniu 1873, to filolog musiałby uważać takie przedsięwzięcie za bardzo niefortunne dlatego, że postęp nauki w przeciągu ostatnich lat trzydziestu przyprószył owe, w swoim czasie doskonałe, artykuły śniedzią — przestarzałości. Autor powyższej rozprawki Wolframa nie zna, ale i bez jego pomocy napisał rzecz równie — przestarzałą. Gdyby nie wymienione w spisie środków pomocniczych dzieła Oehmichena, Opitza i Ribbecka (bo z Schanza p. Dorożyński nie wiele korzysta), sądzi libyśmy, że rozprawa powstała około r. 1860. O starożytnościach rzymskich informuje się autor w podręczniku Adama (przekład niemiecki z angielskiego 1818!), o mimie u Grysara (1854), chociaż najnowsze dzieło o tym przedmiocie Reicha omówiono także i w naszej literaturze — w Eos. Do cantica posługuje się p. D. rozprawą Gottfryda Augusta Wolfa (1824), jak gdyby nic nie wiedział o badaniach Lea. A przecież bibliografia filologii klasycznej jest tak dokładna i doskonała, Bursiana Jahresberichte są dla każdego tak dostępne, że tego rodzaju nieznajomość nowszych prac o przedmiocie, o którym się pisze rozprawę naukową, zasługuje na zarzut — wielkiego lekceważenia nauki. Jeśli rozprawę pisaną po łacinie mają czytać filologowie, to, gdy się im nie podaje nic własnego i nauki nie posuwa naprzód, trzeba ich przynajmniej poinformować o dzisiejszym stanie pewnej kwestyi To, co znajdują w rozprawie p. Dorożyńskiego, wiedzą wszyscy, z jakiegokolwiek obszerniejszego podręcznika uczyli się literatury rzymskiej.

Wobec tego, że rozprawa jest przestarzała i że o jej treści poinformuje nas pierwszy lepszy podręcznik literatury rzymskiej, streszczać ją uważamy za rzecz zbyteczną. Wystarczy wspomnieć, że autor podzielił rzecz na ośm rozdziałów, podając w 1. (wstępie) bibliografię, którą (mówiąc nawiasem) można było na samym końcu lub w dopisku umieścić, w 2-gim mówi o organizacyi i karności państwowej i o charakterze Rzymian, w 3-cim o dawniejszych gatunkach poezyi scenicznej i o ich autorach, w 4-tym o nowszych gatunkach i pisarzach, w 5-tym o istocie i rodzajach widowisk scenicznych, w 6 tym o teatrze, w 7-mym o aktorach, wreszcie w 8-mym o maskach.

Błędy w treści tłómaczą się przestarzałością dzieł pomocniczych. Własnością jednak autora jest twierdzenie na str. 5, że poezya grecka popadła za sprawą gramatyków w pogardę i poniżenie[1]). Co znaczą dalsze słowa o gramatykach aleksandryjskich, zrozumieć trudno.

[1]) apud Graecos per grammaticos in contemptum quendam et humilitatem deiecta.

W opisie teatru wymienia p. D. kurtynę (aulea str. 17) wśród rekwizytów, jak gdyby jej znaczenie nie było takie same, jakie ma w naszym teatrze. Między adeptami sztuki dramatycznej wymienia łotrów (perditi homines str. 18), którzy albo dobrowolnie szukali ostatniego schronienia na deskach teatralnych, albo przez sądy zostali skazani — na pracę na scenie. Ten niepochlebny sąd o aktorach rzymskich przenosi p. D. i w dzisiejsze czasy, pisząc: Ceteroqui etiam apud nos actorum scaenicorum nomini plerumque nota aliqua turpitudinis et vitae dissolutae inusta est[1]). Całe szczęście dla autora, że jego łacińskiej rozprawy nasi artyści dramatyczni czytać prawdopodobnie nie będą. A i my, nie chcąc autora zdemaskować, przytoczyliśmy ten niepochlebny o aktorach sąd w jego oryginalnem brzmieniu.

Wobec tych braków w treści na zupełną pochwałę zasługuje wcale dobra łacina rozprawy i staranna korrekta. Mniejsze usterki zauważyliśmy: fuit tempus, cum... cuperent (pag. 6); non defuit (Cicero), quominus eum... appellaret (pg. 8). Czy to ma znaczyć: Daleki był od tego? Na str. 12 ma być: quidquid apti venit in buccam, protulit t. j. przecinek ma być po buccam, nie po venit. Tamże po cum explicativum: fundebatur, cum ei sese consociarent et . . . inter se conferrent consilia ma być indicativus; persuasum habuit (pag. 9) zamiast sibi persuasit lub ei persuasum erat.

Dwa razy przytoczony jest w toku rozprawy tekst niemiecki (str. 22 i 24), zamiast przełożyć go lub podać streszczenie w języku łacińskim a w przypisku, jeżeli tego potrzeba zachodziła, podać oryginalne jego brzmienie.

*Kraków.* *Stanisław Bednarski.*

3) Dykij Vladimirus, De sententiis et proverbiis Horatianis. Pars posterior. W sprawozdaniu Dyrekcyi c. k. gimnazyum II. za rok szk. 1904/5. Przemyśl 1905. Str. 22, 8°.

P. Dykij ogłosił w tegorocznem sprawozdaniu szkolnem część drugą rozprawki swej o sentencyach i przysłowiach Horacego, której część pierwszą omówiliśmy w Roczniku X. tego czasopisma. W tej części drugiej powyższej pracy uderza na pierwszy rzut oka brak wszelkiego planu i metody. Cytuje więc naprzód autor miejsca (nie wszystkie!) o powołaniu poety i nieśmiertelności poetyckiej, porównywując przytem los Ikara (Car. IV, 2, 1) z nowszemi przysłowiami. Potem przytacza wyjątki z poetyki Horacego, znów tu i ówdzie szukając przysłów. Słowem, co z Horacego weszło w skład »ulotnych słów« inteligencyi europejskiej, p. D. uważa za przysłowie i nieraz banalizuje owe lapidarne słowa przez zestawienie ich z przysłowiami ludowemi. Tak n. p. Audax omnia perpeti gens humana ruit per vetitum nefas ma zawierać tę samą myśl, co »Zakazany owoc najlepiej smakuje« i t. p. Po cytatach o cnocie, pobożności, patryotyźmie, stałym charakterze, chciwości, pysze, gniewie i innych grzechach głównych i powszednich, zachęca

[1]) str. 21.

p. D. czytelników, by przytoczone przez siebie maksymy Horacego zawsze mieli w pamięci, a będą szczęśliwi. Jestto więc filozofia stosowana do praktycznego życia, jak ją uprawiali zbieracze i wydawcy licznych »Flores poetarum Romanorum«. Z nauką ta czynność nic nie ma wspólnego. Wreszcie i na to uwagę autora zwrócić wypada, że dzieła cytuje się w oryginale, a nie w łacińskim przekładzie, jak to czyni w spisie dzieł pomocniczych.

*Kraków* *Stanisław Bednarski.*

4) Łuczakowski Konstanty Dr., Próby przekładu i interpretacyi szkolnej do T. Liwiusa, G. Salustiusa i K. Tacyta. (Sprawozdanie gimn. im. Franc. Józefa we Lwowie za rok szk. 1905 str. 3—72).

Żałować wypada, że szan. autor »Prób«, potępiwszy ogólnikowo dotychczasowe przekłady, z których »zaledwie niektóre celowi swemu jako tako odpowiadają« (str. 4), nie wyjawił poglądów swoich na kwestyę tłómaczeń z klasycznych prozaików wogóle, a przynajmniej na przekłady dla użytku szkolnego. W ten sposób byłby niezawodnie ułatwił ocenę własnych »prób przekładu«.

Nazywając je skromnie »próbami«, tem samem nie uważa dr. Łuczakowski przekładów swoich za wzorowe i zapewne spodziewa się z niejednej strony uwag, z których mógłby ewentualnie korzystać przy dalszej pracy nad przekładem powyższych autorów łacińskich. To przypuszczenie ośmiela mię do ogłoszenia kilku spostrzeżeń i uwag, które nasunęły mi się przy czytaniu pracy dra Łuczakowskiego.

Zacznę od tego, co mam jej do zarzucenia. Dostrzeżone błędy i uchybienia starałem się ująć dla lepszego oryentowania się w schematyczny przegląd, podzieliwszy je na dwie kategorye.

I. Do pierwszej zaliczam błędy, co do których, jak sądzę, dwóch zdań być nie może, błędy, które pozostaną błędami ciężkimi w każdem tłómaczeniu, jakiemukolwiek służyłoby ono celowi. Są to mianowicie uchybienia przeciw poprawności i czystości polskiego języka.

Przytaczam najbardziej rażące.

a) W przekładzie z Liwiusa: »Na znajomości historyi ta tedy polega szczególnie zbawienna korzyść« (str. 11. w. 51.) = hoc illud est praecipue in cognitione rerum salubre ac frugiferum, co możnaby oddać n. p. w sposób następujący: ze znajomości dziejów ta przedewszystkiem płynie zbawienna korzyść.

»..... Nie powinne mieć miejsca« (sc. żale — ibid. w. 70). Brzydki ten germanizm należałoby zastąpić przez »nie powinny się znajdować«.

b) W przekładzie z Salustiusa: »..... czego zaś bezinteresownie dokonywałem, nim przez was godnościami zaszczycony zostałem, żebym tego zaniechał, kiedy wynagrodzony zostałem, wcale nie mam zamiaru«, (str. 21. w. 28 i n.) Pomijając już kakofonię, pochodzącą z częstochowskich rymów, jest to chyba bardziej po łacinie, niż sam tekst łaciński, który

opiewa: quae ante vostra beneficia gratuito faciebam, ea uti accepta mercede deseram, non est consilium. Po polsku: co czyniłem bezinteresownie, zanim zaszczyciliście mnie godnościami, tego po otrzymaniu zapłaty wcale nie myślę zaniechać.

»Uczciwość s y m u l o w a l i« (ibid. w. 32.) zamiast: udawali.

»U w a ż a m wszystkich ludzi co do urodzenia r ó w n y m i« (str. 23. w. 28.) — poprawnie: uważam za równych. »..... Nie będę też im t r u d y zostawiał«. (str. 27. w. 10) — poprawnie: trudów.

Do kategoryi tej zaliczam wreszcie zwroty lub wyrazy zbyt trywialne, lub rażące wulgaryzmy, których użycia nie usprawiedliwia brzmienie oryginału. Należą tu w przekładzie z Liwiusa wyraz »romanse« (str. 27. w. 32.) zamiast właściwszego »miłostki« i (tamże w. 37) »przebrzydli ci ludziska« (turpissimi viri). W przekładzie zaś Tacyta znalazł się nawet dziwoląg: »b r u s co do dobrych zalet« (str. 59. w. 19.), co ma odpowiadać łacińskiemu: »rudis bonarum artium«, a co możnaby oddać przez: prostak, nieokrzesany prostak, człowiek bez wszelkiej ogłady i t. p.

II. Druga kategorya uchybień nie jest już natury tak bezwzględnej. Mogą one podlegać dyskusyi zależnie od wymagań, jakie kto stawia dobremu tłómaczeniu. Pierwszym jego warunkiem (poza poprawnością języka) jest bezsprzecznie m o ż l i w i e n a j d a l e j p o s u n i ę t a d o s ł o w n o ś ć p r z e k ł a d u. Postulat powyższy odnosi się zwłaszcza do przekładów szkolnych. Teoretycznie słuszny, w praktyce nastręcza ów postulat znaczne trudności ze względu na niemożliwość absolutnego oznaczenia granic i stopnia tej dosłowności. Zdolność jej stosowania zależeć będzie każdorazowo, t. j. u różnych tłómaczów, od stopnia ich znajomości języka, z którego się przekłada, jakoteż od stopnia władania mową, na którą się przekłada.

Otóż przeciw postulatowi dosłowności tłómaczenia zdaniem mojem grzeszy dr. Łuczakowski w »Próbach« swych niejednokrotnie.

Wskażę tylko kilka przykładów typowych.

1. Co do poszczególnych w y r a z ó w tłómacz odrazu je nieraz k o m e n t u j e zamiast przekładać, psując obrazowość oryginału. N. p. w przekładzie z Salustiusa »cum maxumo beneficio vostro« tłómaczy: »razem z k o n s u l a t e m waszym« (str. 21. w 9.). Podobnie str. 25. w. 22 i 29. — Innego znów rodzaju jest usterka w przekładzie z Tacyta, gdzie »nomine p r i n c i p i s« przełożono: »z tytułem k s i ę c i a« (str. 57. w. 7.). Odnosi się to do Oktawiana Augusta, mojem więc zdaniem należałoby może powiedzieć z tytułem »princeps«. Jest to bowiem pojęcie techniczne, dla którego dzisiejszy konwencyonalny wyraz »książę« nie jest dość ścisłym odpowiednikiem. Z tego samego względu zaraz poniżej w wierszu 14. znajdujący się wyraz »principatus« oddaćby należało raczej przez »pryncypał«, niż przez »rządy cesarskie«.

2. Co do składni wyrazów i zdań zdarzają się również za dalekie odstępstwa od oryginału. N. p w przekładzie z Liwiusa zdanie: »..... donec ad haec tempora, q u i b u s n e c v i t i a n o s t r a n e c r e m e d i a p a t i p o s s u m u s, perventum est« (str. 10. w. 38 i n.) przełożono: »aż oto doszliśmy do takich czasów, iż skutkiem wad naszych wprawdzie c i e r p i m y, ale środków na nie zaradczych n i e z n o s i m y«. Przez usunięcie dzeugmatycznego ściągnięcia w podkreślonem zdaniu względnem, tłómacz niepotrzebnie je rozwałkował, przez co rozluźnił niezwykłą jędrność jego budowy i finezyę myśli. A można było tego uniknąć, tłómacząc d o s ł o w n i e: aż oto doszliśmy

do takich czasów, w których ani wad naszych, ani środków na nie ścierpieć nie możemy.

Gdzieindziej znowu osłabia tłómacz żywość w opowiadaniu łacińskiego autora, zamieniając n. p. drugą osobę na mdłą nieosobowość (str. 11. w. 52), lub znosząc — nie wiadomo, dlaczego — pytanie retoryczne i to w namiętnej mowie Mariusa w »Wojnie jugurtyńskiej« (str. 23. w. 32 i n.).

Ani podniesione tu strony ujemne ani zalety przekładu dr. Łuczakowskiego, do których zaliczam język na ogół potoczysty, jasny i niewymuszony, nie pozwalają mi jeszcze wypowiedzieć o próbach tych coś stanowczego. Dotychczasowe bowiem próby są zbyt szczupłe, gdyż obejmują tylko »praefatio« z Liwiusa, mowę Mariusa z »Wojny jugurtyńskiej« rozd. LXXXV. i 5 rozdziałów z I. księgi Annałów Tacyta.

»Próby przekładu« powyższych 3 historyków łacińskich i dołączone do nich komentarze gramatyczne przeplatają 4 szkice, odnoszące się do starożytności rzymskich. Oto ich napisy: »Westa i Westalki«; »G. Marius; L. Kornelius Sulla Felix (porównanie)«; »Dwaj pierwsi cesarze rzymscy. Obraz ich czasów«; »Pogrzeb rzymski i 3 grobowce rzymskie«. Najbardziej zajmujący z nich i jako wstęp do lektury Tacyta wielce pożyteczny — to szkic przedostatni. Szkoda tylko, że szan. autor w odmalowaniu obrazu czasów pierwszych dwóch cesarzy ogranicza się przeważnie prawie — że tak powiem — do »kroniki skandalicznej«, a nie dotyka ani słowem zarysowującego się za nich i przez nich głębokiego przewrotu w stosunkach prawno-politycznych i społecznych rzymskiego imperyum. W nich to tkwiła przedewszystkiem utajona energia dziejowa, dająca rozpęd i kierunek przyszłym losom świata, a nie w tem, ilu to n. p. bezeceństw dopuściła się Liwia. Dlatego też do zalecanych przez dr. Łuczakowskiego uczniom dzieł dodałbym niedużą, ale niezwykle cenną i bogatą w treść pracę z tej dziedziny prof. Chudzińskiego p. t. »Staatseinrichtungen des römischen Kaiserreichs«. Dla uczniów klasy najwyższej będzie ona pod każdym względem dostępną i pożyteczną.

*Nowy Sącz.* *Dr. Maryan Janelli.*
(Dok. nast.).

---

Rzepiński Stanisław, Problem eines archäologischen Normalkabinetts an den Gymnasien. Thesen, Sätze und Streitfragen. — Nowy Sącz 1905. Str. 16.

Czynny na polu starożytnej archeologii — zwłaszcza pod względem wprowadzania jej znajomości w naszych szkołach średnich — założyciel wzorowego gabinetu archeologicznego nowosądeckiego gimnazyum wygłosił na kongresie archeologicznym, odbytym w Atenach w kwietniu b. r., zajmujący odczyt i treść jego podał w broszurze o tytule wymienionym w nagłówku. Broszura, przedstawiająca się wcale korzystnie pod względem typograficznym, składa się z szeregu tez, z których każdą autor wymownie uzasadnia. Przejdźmy je po kolei:

1. Cały materyał, unaoczniający naukę, należy po gruntownej rozwadze uporządkować i ustalić zasady, w myśl których objaśnień możnaby udzielać

jednolicie i zgodnie we wszystkich zakładach. — Autor zwraca uwagę, że obecnie jest tyle niemal sposobów objaśniania szczegółów archeologicznych, ilu jest nauczycieli: ten podług tego, tamten podług owego podręcznika; ten objaśnia rzeczy najważniejsze, tamten mniej ważne, ów wreszcie to, co wcale nie wymaga objaśnienia. Najgorsze zaś, że rozmaici nauczyciele objaśniają to samo w sposób wręcz przeciwny i żądają następnie ścisłego powtarzania swych objaśnień przy przepytywaniu. Niebezpieczeństwo jest tem większe, że nauczyciele dotychczas częstokroć mało mieli sposobności zapoznania się z klasyczną archeologią w czasie studyów uniwersyteckich. Następstwem tego łatwem to, że nauka w tej dziedzinie schodziła często na manowce.

2. Pomimo bardzo znacznej liczby środków unaoczniających nie jest materyał, którym można rozporządzać, ani wystarczający ani też we wszystkich kierunkach odpowiadający celowi. W tablicach ściennych i rycinach brak niektórych typów nieodzownych. Zdaniem autora nie odpowiadają celowi wszystkie te publikacye, które są albo zbyt małe, albo wykonane niedokładnie lub niedbale *). Atlasów przeto, zawierających naturalnie reprodukcye w znacznie pomniejszonych rozmiarach, używać należy tylko wtedy, jeżeli wszyscy uczniowie w klasie równocześnie mogą się przyglądać omawianemu obrazowi, a więc jeśli przynajmniej co dwóch uczniów ma przed sobą jeden egzemplarz. Niektóre atlasy należałoby zupełnie zarzucić, n. p. atlas Engelmanna do Homera i Owidego. Wyobraźnia ucznia powinna — zwłaszcza przy lekturze Homera — działać samorzutnie, bez poddawania jakichkolwiek wzoróiw a tem bardziej (jak we wspomnianych atlasach Engelmanna) wzorów wątpl - wej wartości, zaczerpniętych przeważnie z waz późnej epoki. Obrazy na wazach mają wielkie znaczenie, jeśli chodzi o objaśnianie szczegółów z życia prywatnego, z dziedziny starożytności sakralnych, ale możemy z waz śmiało zrezygnować wszędzie tam, gdzie rysunki, na nich umieszczone, możemy zastąpić wspaniałymi typami w rzeźbie.

3. Nauczycielowi trzeba dać do ręki obowiązujący go jednolity tekst, objaśniający materyał archeologiczny. Tekst ten powinna ułożyć zawodowa komisya stosownie do wyników dotychczasowych badań na podstawie najpiękniejszych, najlepiej zachowanych i uznanych za autentyczne pomników, posługując się najlepszemi publikacyami. Książkę, w ten sposób powstałą, należałoby zaprowadzić we wszystkich szkołach średnich. — Myśli zaprowadzenia »kanonu« pewnego rodzaju przyklasnąć tylko można; z drugiej przecież strony rodzi się obawa, by jego powstanie nie wytyczyło drogi szablonowi, wypaczającemu częstokroć myśl najlepszą.

4. Służące do objaśniania modele i tablice ścienne należy podzielić na dwie grupy: a) przedmioty, odnoszące się do wyjaśniania realiów i b) wkraczające w dziedzinę sztuki w ściślejszem słowa tego znaczeniu. Modele do pierwszej grupy należące mogą być zupełnie małych rozmiarów, byleby dokładnie unaoczniały to, co mają wyjaśniać; modele drugiej grupy powinny zawsze być wielkości naturalnej. I słusznie: model tkackiego warsztatu czy maszyny oblężniczej odpowiedni będzie swemu celowi, choć go się widzi

*) Co do tych i wielu innych żądań dyr. Rzepińskiego por. uwagi moje w referacie, zamieszczonym w jednym z dawniejszych roczników Eos.
*Przyp. redaktora.*

w rozmiarach bardzo zmniejszonych. Inaczej ma się rzecz z odlewami gipsowymi. Jeżeli popiersie Zeusa z Otricoli lub Praksytelesowego Hermesa ma działać należycie na oko widza, musi mieć wielkość naturalną.

5. Nauka unaoczniająca ma objąć tylko przedmioty codziennego życia (czy to z dziedziny starożytności prywatnych, sakralnych lub wojskowych czy też z dziedziny życia publicznego) i wybór dzieł plastycznych, pod żadnym warunkiem jednak nie ma być systematyczną nauką historyi sztuki. Autor nie chce, by omawianie archeologicznych szczegółów miało przynosić uszczerbek lekturze. Chodzi jednak o ułatwienie zrozumienia czytanych utworów, o usuwanie niejasności i niepewności, które się nasuwają. Dlatego powinno się wybierać do omawiania tylko prawdziwe dzieła sztuki, nie zaś rzeźby, mające jedynie wartość historyczną.

6. Filolog, korzystając ze zbiorów archeologicznych, powinien się ograniczyć do tego, czego wymaga zrozumienie czytanego tekstu, rzeczą nauczyciela historyi zaś jest wyjaśnienie szczegółów, wchodzących w zakres historyi rozwoju kulturalnego starożytnych narodów. Nauczyciel filologii tylko o tyle w tym ostatnim kierunku wkraczać powinien w zadanie nauczyciela historyi, o ile sama lektura autora (n. p. Cicerona, Tacyta; dodałbym Sallustyusza) nastręcza do tego sposobność. — Objaśnianie za pomocą zbiorów archeologicznych przedstawia sobie autor mniej więcej w ten sposób: nauczyciel przynosi model do klasy; po wyjaśnianiu danego ustępu autora pod względem językowym i przetłómaczeniu go — kilka minut przed końcem godziny — pokazuje uczniom model; uczniowie mu się dokładnie przypatrują i, o ile się nie nasuwają szczególne trudności, sami go opisują; od czasu do czasu nauczyciel opis uzupełnia swemi uwagami. Naturalnie wszelkiego rodzaju dyktowanie, spisywanie i mechaniczne pamięciowe wyuczanie się wykładu nauczyciela bezwarunkowo byłoby sprzeczne z celem nauki. Jeśli się w jakim zakładzie rozporządza odpowiednią salą i jeśli istnieje specyalny gabinet, możnaby urządzić stałą wystawę zbiorów archeologicznych. W dniach wolnych od nauki uczniowie mogliby pod kierunkiem nauczycieli dokładniej przyjrzeć się temu, co się w szkole przy lekturze omawiało. Kwestyi, czy, kiedy i w jakim zakresie należałoby uczniów klas najwyższych zaznajamiać z klasyczną archeologią i historyą sztuki zapomocą osobnych wykładów, autor broszury nie rozwiązuje.

7. Każdy normalny gabinet archeologiczny powinien być połączony ze specyalną archeologiczną biblioteką, obejmującą także publikacye z zakresu historyi sztuki: książki mogliby z niej wypożyczać nauczyciele zakładu i młodzież klas wyższych. Autor zapewnia na podstawie swej praktyki szkolnej, że uczniowie bardzo chętnie biorą do ręki książki treści archeologicznej.

8. Nauczyciele klasycznej filologii i historyi, zwłaszcza byli stypendyści, powinniby ogłaszać w rocznych sprawozdaniach szkół średnich rozprawy, popularnie napisane, któreby rozszerzały znajomość archeologii i budziły zamiłowanie do tej nauki. Stosunkowo niewiele polskich książek stanowiłoby zawiązek tak pojętej biblioteki archeologicznej, w każdym jednak razie przy dobrej woli zawiadowcy biblioteki nauczycielskiej i zawiadowcy zbiorów archeologicznych możnaby wybrać z naszych programów galicyjskich szereg rozpraw wspomnianej treści. Tu się nasuwa myśl, czyby nie było u nas na czasie wydawnictwo na wzór niemieckiej Gymnasialbibliothek prof. H. Hoff-

manna w Gütersloh, zawierającej obecnie 40, nieraz bardzo udatnych popularnych szkiców i obrazków z dziedziny filologii klasycznej i archeologii, że wymienię n. p.: Nr. 1. *Menge*, Troia und die Troas, Nr. 7. *Lohr*, Ein Gang durch die Ruinen Roms, Nr. 11. *Menge*, Ithaka, Nr. 14. *Ziegeler*, Aus Sicilien, Nr. 17. *Schulze*, Das römische Forum, Nr. 19. *Brandt*, Von Athen zum Tempetal, Nr. 27. *Ziegeler*, Ravenna, Nr. 30. *Hachtmann*, Olympia, Nr. 32. *Hachtmann*, Pergamon, Nr. 35. *Hachtmann*, Die Akropolis von Athen etc. Zręcznie napisane podobnej treści książki znalazłyby u nas niezawodnie chętnych nabywców a wydawcy mogłyby przynieść piękny dochód.

9) Jako środek pomocniczy w nauce klasycznej archeologii skioptikon może odgrywać jedynie ograniczoną i podrzędną rolę. — Ujemną cechą skioptikonu jest to, że wrażenia, jakie daje widzom, są przelotne i chwilowe; następujące po sobie coraz to nowe obrazy częstokroć zamiast rzecz wyjaśnić, sprowadzają niejasność i niepożądane pogmatwanie szczegółów. Nie może też nigdy skioptikon zastąpić ani dobrych odlewów gipsowych ani poprawnie wykonanych tablic ściennych. Zastosowywać je można zdaniem autora jedynie w dwóch wypadkach: a) jeśli chodzi o topografię, o krajobraz, tam bowiem wystarcza ogólne, przelotne wrażenie; b) jeżeli obraz eksponuje się przez czas dłuższy.

10. Gabinet archeologiczny powinien być nietylko zbiorem modeli, odlewów gipsowych, tablic ściennych i obrazów, ale w miarę możności powinien stanowić muzeum przedmiotów godnych pamięci z dawnych czasów — w zakresie kraju czy okolicy, w której się gabinet znajduje — a więc: oryginałów monet, dokumentów, dyplomów, rękopisów, portretów i korespondencyi znakomitych pisarzy i zasłużonych mężów. — Mogłyby w ten sposób istotnie powstawać po mniejszych miastach zawiązki muzeów, które dotychczas są jedynie przywilejem stolic.

Broszura, której treść piszący te słowa podał w nieco przydługiem sprawozdaniu, zasługuje, by na nią baczną zwrócili uwagę nasi nauczyciele filologii klasycznej i historyi powszechnej. Oby, dążąc do urzeczywistnienia myśli autora, postarali się stosownie do miejscowych warunków o założenie w każdem gimnazyum wzorowego gabinetu archeologicznego!

*Tarnów.* *Stanisław Homme.*

Hahn Wiktor, De Plutarchi Moralium codicibus quaestiones selectae, Cracoviae 1905. (tom XLI. Rozpraw Wydz. filol. Akad. umiej. w Krakowie). Str. 86 i 2 tablice.

Dr. Hahn daje w tej rozprawie przyczynek do rozjaśnienia zawiłej kwestyi tradycyi rękopiśmiennej tych pism Plutarcha, które nam się zachowały pod zbiorowym tytułem Ἠθικά. Skonstatowawszy we wstępie, że dotychczasowe wydania tych pism nie odpowiadają wymaganiom naukowym ani pod względem oceny spuścizny rękopiśmiennej ani pod względem dokładności w wyzyskaniu jej tekstów, opisuje autor w rozdziale pierwszym (str. 4—32)

240 znanych rękopisów tych pism, zwraca uwagę na to, o ile dotąd zostały zbadane, i dochodzi do uzasadnionego wyniku, że pracą nad zbadaniem tych rękopisów powinna się podzielić większa liczba uczonych, gdyż praca ta przechodzi siły jednostki. Następnie zastanawia się w rozdziale II. (str. 33—46) nad porządkiem, w którym rozmaite manuskrypty zachowały pod tytułem Ἠθικά 78 pism Plutarchowych, i dochodzi do wyniku, że tytuł ten odnosił się pierwotnie tylko do 20 traktatów, w dwóch manuskryptach wieku XI. lub XII. jeszcze w pierwotnym porządku podanych, inne zaś traktaty później, i to niesłusznie, zostały do nich przyłączone pod wspólny tytuł zbioru i pod tym tytułem ogłoszone drukiem pierwszy raz w r. 1509 przez Aldusa. Dalsze traktaty oprócz owych 20 etycznych, w liczbie 58, istniały w rozmaicie pokombinowanych częściowych mniejszych i większych zbiorach, z których w rozmaitym składzie i porządku przeszły do naszych manuskryptów. Największe, w ten sposób powstałe zbiory mamy obecnie w manuskrypcie paryskim (E) wieku XIII. i w kilku manuskryptach opartych na zbiorze uczonego mnicha XIV. w., Maksimusa Planudesa. Dr. Hahn zwraca tu (str. 42—45) uwagę na najważniejsze różnice ugrupowania traktatów Plutarchowych w rozmaitych rękopisach i podaje wyniki swych dociekań, które stanowić mogą cenne wskazówki dla tych, którzy się będą odtąd zajmować genealogią manuskryptów i krytyką tekstu Etyk Plutarcha. W rozdziale III. (de codicum generibus) dzieli autor wszystkie kodeksy na dwie klasy, z których pierwszą, zawierającą właściwe etyczne traktaty Plutarcha, najlepiej reprezentują dwa kodeksy weneckie (249—250) i jeden wiedeński (129), a drugą, zawierającą zbiory pomieszane, a przedstawiającą cztery odmiany, przedstawiają kodeksy paryskie (A, B i E), watykański (80), Ambrosianus (C), Laurentiani (80, 5; 56, 4; 80, 22), Marcianus (248), Harleianus (5692).

Jeżeli w tych trzech rozdziałach musiał Dr. Hahn opierać się przeważnie na rezultatach, przez innych uczonych podanych, które tylko pracowicie i bystro własnemi uwagami uzupełniał, to w rozdziale IV. (De Plutarchi Moralium codice Vindobonensi Philosoph. gr. 129) daje cenny samodzielny przyczynek do krytyki tekstu Etyk Plutarchowych, mianowicie zestawia na str. 51—86 z niebadanego dotąd a ważnego rękopisu wiedeńskiego XI. wieku aparat krytyczny do 20 pierwotnych etycznych traktatów Plutarcha. Do cennej pracy dodane są przy końcu dwie tablice, z których pierwsza daje pogląd na treść i porządek t. zw. etyk Plutarcha w najważniejszych manuskryptach i wydaniach Alda tudzież Henryka Stefana, druga zaś przedstawia genealogię manuskryptów, opartą na wynikach do których autor doszedł w rozprawie.

*Lwów.* *Dr. Br. Kruczkiewicz.*

Terlikowski Franciszek, Życie publiczne, prywatne i umysłowe starożytnych Greków i Rzymian do użytku młodzieży szkolnej skreślił... Trzecie wydanie, przerobione i uzupełnione. Lwów. Nakł. Tow. Pedagog. 1905. Str. IX + 474. Cena egz. opr. 4 K. 50 h.

Jeżeli podręcznik do użytku młodzieży szkolnej przez władze szkolne oficyalnie niepolecony doczeka się, zwłaszcza u nas, w przeciągu 16 lat trzeciego wydania, to fakt ten chyba jest najlepszym dowodem pożyteczności książki. Pierwsze wydanie z r. 1889 nie doznało, o ile mi wiadomo, oceny w żadnem polskiem czasopiśmie naukowem, drugie, przerobione, z r. 1893 omówił krótko F. Majchrowicz (Muzeum, 1893 str. 835—836, por. sprawozdanie podpisane literą M., Szkoła, 1894 s. 38—39), trzecie, przerobione i uzupełnione, jest przedmiotem niniejszego referatu. Omawiając podręcznik, zawierający wiadomości z zakresu tak obszernej nauki, nie będę się zastanawiał nad pytaniami, czy szczegóły są przedstawione zgodnie z dzisiejszym stanem nauki, czy autor nie pominął rzeczy ważniejszych, czy nie pomieścił czasem wiadomości dla uczniów szkół średnich zbytecznych i t. p. Czytelnicy, dla których niniejsze sprawozdanie jest przeznaczone, wyrobili sobie w 12 latach, które upłynęły między 2. a 3. wydaniem, sąd o treści książki p. T. Pod tym względem ona nie ustępuje prawie w niczem kompendyom tego rodzaju, wydawanym za granicą, zwłaszcza w Niemczech, tembardziej, że autor postępuje naprzód z wiedzą filologiczną i archeologiczną. Także pod względem języka i przedstawienia rzeczy dzieło niniejsze odpowiada słusznym wymaganiom. Aby poznać różnice między obecnem a dwoma pierwszemi wydaniami, porównywałem przy pomocy uczniów tutejszego gimnazyum (Osterera, Ritigsteina, Sitnikiewicza i Wielgusza, którym serdeczne wyrażam podziękowanie za pomoc) wszystkie trzy wydania szczegółowo i przekonałem się, że p. T. daleko sięgających zmian do najnowszego wydania nie wprowadził. Mimo to wydanie zasługuje na nazwę przerobionego i uzupełnionego, gdyż starano się usunąć braki rzeczowe i formalne, dostrzeżone w pierwszem i drugiem wydaniu, nadto musiano wskutek dodania rzeczy o sztuce greckiej (str. 191—253) i rzymskiej (str. 433—460) zmienić dotychczasowy układ książki, przenosząc z ustępów, traktujących n. p. o religii i mitologii Greków i Rzymian, niejedno do ustępów o sztuce. Do ważniejszych zmian należy i to, że na czele ustępów, traktujących o życiu publicznem w Atenach i w Rzymie, dodano rzecz o topografii Aten (str. 25—31) i Rzymu (str. 257—267), której brak odczuwać się dawał w 2 pierwszych wydaniach, a którą każdy powita z zadowoleniem. Przez nieuwagę opuszczono w obecnem wydaniu dodatek o przyborach do pisania, książkach, handlu księgarskim i bibliotekach (1. wyd. str. 329—334, 2. wyd. str. 352—357, por. 3. wyd. str. 56, gdzie autor odsyła czytelnika do nieistniejącego »dodatku na końcu książki«). Pomyłki tej należy żałować, gdyż rzecz była dla uczniów i ciekawa i potrzebna, choćby ze względu na Owidego Trist. I, 1. Niepożądaną zmianą jest także opuszczenie przekładów dzieł autorów greckich i łacińskich na język polski w dziale literatury. Żałować także należy, że od 2. wydania dzieło wychodzi bez przedmowy, zwłaszcza że nie jest dozwolone do użytku szkolnego przez Radę szkolną krajową. Wydawanie dzieł bez przedmowy, jakto się teraz praktykuje, jest poprostu abusus; jeżeli przedmowa dla uczniów jest zbędną, to dla nauczycieli jest potrzebną i powinna być dołączona osobno do egzemplarzy nieprzeznaczonych dla uczniów, albo umieszczona w czasopiśmie dla nauczycieli dostępnem, n. p. w »Muzeum«. Podręcznik p. T. powinienby uzyskać aprobatę Rady szkolnej kraj., a wydatek 4 K. 50 h nie dawałby się uczniom tak bardzo we znaki, bo wydania szkolne autorów kla-

sycznych znacznieby potaniały, gdyby wychodziły bez ustępów i dodatków, których treść zawarta jest w książce p. T. (por. wydania Tempsky'ego i Towarzystwa naucz. szkół wyższych). Przez najnowszą edycyę swego podręcznika dodał p. Terl. do dawniejszych swoich zasług około filologii szkolnej nową, umożliwiając młodzieży szkół średnich poznanie świata starożytnego.

*Kołomyja.* *Z. Dembitzer.*